

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 10/216

1965



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

P. HOSTOWIEC : **EPITAPHIUM**

G. HERLING-GRUDZIŃSKI :
WIECZNY WIĘZIEŃ

H. ZBINDEN :
POLSKA SZUKA DROGI NA ZACHÓD

P. SOWA :
PAMIĘTNIK ZNALEZIONY W ... BOCHNI

SPIS RZECZY

Paweł Hostowiec:	<i>Notatnik nieśpiesznego przechodnia ..</i>	3
Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Wieczny więzień</i>	11
W. A. Zbyszewski:	<i>Mackiewicz a wolność prasy w Polsce</i>	22
Wacław Iwaniuk:	<i>Zapiski bywalca</i>	35
Paweł Sowa:	<i>Pamiętnik znaleziony w... Bochni (1)</i>	41
Alicja Iwańska:	<i>Świat przetłumaczony</i>	54

WIERSZE

A. Cz.:	<i>William Butler Yeats</i>	65
William Butler Yeats:	<i>Wielkanoc 1916 r.</i>	66
Jan Darowski:	<i>Homo Faber</i>	68
Jan Darowski:	<i>Dzieci nasze będą mówiły</i>	68
Jan Darowski:	<i>Droga</i>	69
Anonim:	<i>O kapłaństwie</i>	70
Anonim:	<i>Pytania</i>	71

KRAJ

—	<i>Głos z kraju</i>	72
Hans Zbinden:	<i>Polska szuka drogi na Zachód</i>	82

ARCHIWUM POLITYCZNE

Juliusz Mieroszewski:	<i>Religia a polityka</i>	109
Londyńczyk:	<i>Kronika angielska</i>	118
S. W. Kozłowski:	<i>Przegląd niemiecki</i>	125

SPRAWY I TROSKI

Stanisław Szwejs:	<i>Sprawa Kolonizatory</i>	129
-------------------	----------------------------------	-----

KRONIKA KULTURALNA

Maria Danilewiczowa:	<i>Toast nie spełniony</i>	136
—	<i>Komunikat</i>	145

KSIĄŻKI

Tymon Terlecki:	<i>Żeromski i echa społeczne</i>	148
Tadeusz Nowacki:	<i>Osiemdziesięciolecie prof. Kukiela ..</i>	151
—	<i>Nadstane nowości wydawnicze</i>	155



W. W. Ciał, K. Górski, H. Lassota, T. Terlecki :	<i>Listy do Redakcji</i>	156
--	--------------------------------	-----

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Październik - Octobre 1965

INSTYTUT



LITERACKI

NOTA BIOGRAFICZNA

Hans ZBINDEN jest znanym szwajcarskim eseistą, piszącym o aktualnych zagadnieniach cywilizacji zachodniej. Jego książka *Kryzys moralny Zachodu* zwróciła nań uwagę w początku okresu międzywojennego. Będąc z urodzenia i usposobienia człowiekiem środka, zachowuje we wszystkich okolicznościach jasność i bezstronność sądu. Z temperamentu jest mówcą, i książki jego są najczęściej zbiorami odczytów. Ostatnie publikacje Dr. Zbindena traktują o *Humanizmie w gospodarce współczesnej* i o *Bezsilności elit*. Hans Zbinden jest prezesem związku pisarzy szwajcarskich i profesorem historii kultury Uniwersytetu berlińskiego. Był kilkakrotnie w Polsce w okresie międzywojennym i posiada tam licznych przyjaciół.

WPŁATY NA FUNDUSZ "KULTURY"

Kazimierz Zdziarski, Caracas (Venezuela) po raz ósmy F.18,00

DZIĘKUJEMY

Notatnik nieśpiesznego przechodnia

EPITAPHIUM

Ostatni *Mercure de France* — numer podwójny za lipiec i sierpień — liczy koło 300 stron, z czego 150 samych recenzji. Znajdujemy wśród nich nie tylko przegląd nowości wydawniczych francuskich, lecz także niemieckich, amerykańskich, włoskich, greckich, brazylijskich itd. Szerokość horyzontu literackiego *Mercure'a* jest zapewne ostatnim, odległym echem XVIII wieku, kiedy Paryż był środkiem świata. Piszac dla czytelników całego globu — lub przynajmniej kontynentu — literaci paryscy musieli orientować się w aktualnych zagadnieniach krajów, do których się zwracali. W swej *Historii Karola XII* Voltaire wykazuje znajomość spraw ukraińskich, jaką żaden z dzisiejszych pisarzy francuskich nie mógłby się zapewne pochwalić. Ale czasy uniwersalnego języka encyklopedystów dawno minęły, i *Mercure* jako organ symbolistów także go już nie reprezentował.

Mercure de France przestał wychodzić. Znikł bez pożegnania z czytelnikami, zostawiając im tylko na pamiątkę podwójny numer, na który złożyły się najlepsze rękopisy z teki redakcyjnej. Otwiera go esej E.-M. Ciorana o nowych bogach, który zasługiwałby sam na obszerniejsze omówienie.

Francuskie czasopisma literackie zdają się przechodzić okres krytyczny. *Les Lettres Nouvelles* przestały również wychodzić. Czytam w *Le Figaro Littéraire*, że organ Sartre'a *Les Temps Modernes* i sama nawet *La Nouvelle Revue Française* są dziś mniej czytane niż przedtem. Felietonista *Figara* widzi w pomorze czasopisma jeden z objawów marazmu literackiego Francji.

Zejsście *Mercure'a* z widowni nie wywołało komentarzy. Jeden z felietonistów, wzmiankując w kronice ten wypadek, radzi za-

jąc się historią i archiwami czasopisma. Dawny organ symbolistów przeszedł więc do historii anegdotycznej.

U czytelnika wschodnio-europejskiego śmierć *Mercur*e'a wywołuje inne refleksje. Jest kamieniem milowym, znaczącym ważny etap przebytej drogi.

Moja znajomość z organem symbolistów datuje z 1910. Spędziłem wówczas kilka miesięcy w Odessie, bogatym mieście portowym. Odessa posiadała dobry teatr, orkiestrę symfoniczną, brało jej natomiast własnych czasopism i środowiska literackiego. Zimą pojawiali się tam przyjezdni z Moskwy i Petersburga, poszukujący łagodniejszego klimatu.

Książka francuska docierała wówczas aż do Uralu. W najdalszych zakątkach Rosji można było widzieć tomiki w żółtych okładkach z napisem 3 frs. 50. W Odessie znajdowała się francuska księgarnia, *Librairie Rousseau*, w której nowości paryskie sprzedawano *comme des petits pains*.

Będąc jej stałym klientem zauważyłem, że dwa razy na miesiąc zbierała się tam grupa osób, które zdawały się na coś czekać. Okazało się, że czekano na skrzynkę z kilkudziesięciu egzemplarzami ostatniego numeru organu symbolistów. *Mercur*e de France był natychmiast rozchwytywany, i stali czytelnicy obawiali się, że nazajutrz już go nie znajdą. Nie wiem czy w Paryżu oczekiwano go kiedykolwiek z równą niecierpliwością.

Powodzenie paryskiego czasopisma literackiego w czarnomorskim mieście portowym nie dałoby się wytłumaczyć bez trwającej przeszło dwa stulecia zawrotnej kariery języka francuskiego w Europie Wschodniej. Zrazu był to język dworów naśladowujących wzory wersalskie, język Fryderyka Wielkiego i Katarzyny II; potem stał się językiem wyższych sfer towarzyskich, wreszcie drugą mową ojczystą — jak niegdyś łacina — osób wykształconych. U Tołstoja widzimy tę dwujęzyczność w *Wojnie i pokoju*.

W zwyczajnym pochodzie francuskiego wielka rola przypadła encyklopedystom. Voltaire był gościem Fryderyka, Diderot Katarzyny. Pod rządami monarchów absolutnych klarowny język encyklopedystów posiadał szczególny urok. Był językiem dworu, niemal oficjalnym a jednocześnie sugerował myśli liberalne, zdrowe, nieprawomyślne. Nawet po utracie aktualności w ojczyźnie Voltaire zachował autorytet literacki w Europie Wschodniej. Batiuszkow notuje w swych wspomnieniach, że w 1814 oficerowie posuwających się ku Paryżowi wojsk rosyjskich zbaczali z drogi do Cirey, aby w pałacu markizy du Châtelet zobaczyć pokój zajmowany niegdyś przez autora *Candide*'a. Turyści wojskowi zapisywali w swych notatnikach słowa, znajdujące się tam na komin-

ku: *Deus nobis haec otia fecit*. Ten cytat wergiliński, pamiątkę z wizyty w Cirey, znajdujemy potem rozsiany po obszarach imperium rosyjskiego. Na wrotach majątków nadanych przez cesarza, na bramach więzień pisano: *Caesar nobis haec otia fecit*. I tu zwraca uwagę ambiwalencja wpływów francuskiego Oświecenia.

Rozpowszechnieniu się znajomości francuskiego sprzyjała szczególnie okoliczność, że jako język dworu i szlachty francuski był symbolem awansu społecznego. Na kresach polskich nawet walcząca o swe prawa szlachta zaściankowa uczyła się francuskiego. Honorna szlachcianka ignorowała język okupanta i z carskimi urzędnikami porozumiewała się po francusku.

Z początkiem XIX wieku francuski stał się językiem republiki, światoburczych pomysłów Napoleona, językiem wolności, nowinek politycznych i prądów patrzących w przyszłość.

W połowie stulecia pozycja jego w Europie Wschodniej zaczęła ulegać głębokim przemianom. Dwory pozbywają się wersalskiego pokostu, przybierając ostentacyjnie barwy i obyczaje narodowe. Francuski pozostaje wprowadzić najbardziej rozpowszechnionym językiem obcym, ale w bibliotekach prywatnych, których katalogi miałem sposobność oglądać, książki francuskie tracą w tym czasie dominujące stanowisko, pojawiają się natomiast pierwsze książki niemieckie.

Drugie Cesarstwo nie miało na eksport wielu idei, mogących obudzić entuzjazm lub chociażby głębsze zainteresowanie mieszkańców Europy Wschodniej. Paryż jest dla nich bezwzględny autorytetem w dziedzinie mód kobiecych, gorsetów, krynolin, *frou-frou* i kankana, gallomania staje się jednak przedmiotem żartów. U nas dworuje z niej August Wilkoński. W Rosji eleganki naśladowujące mody paryskie noszą nazwę „bonapartystek”. W dziedzinie mody i *savoir-vivre*'u męskiego na ten czas przypadają początki anglomanii.

Dzięki odziedziczonej po pokoleniach poprzednich znajomości języka Europa Wschodnia pozostawała otwarta dla wpływów francuskich, zmieniały się tylko koła ulegające tym wpływom i przedmioty ich zainteresowania. Do stałych przedmiotów zainteresowania należała przede wszystkim książka francuska. W bibliotekach prywatnych uderza wczesne pojawianie się nowości paryskich. Balzaca znajdujemy w nich już przed 1840. Obok niego figuruje mniej znany we Francji Charles Nodier. O wpływie jego dają pojęcie *Pamiętniki pantofla*. Mój dziadek miał wyżła zwanego *Sbogarem*. Takie szczegóły pozwalają nieraz ocenić zasięg popularności autora. Koło 1850 pojawiają się George Sand i Eugène Sue. Są to jednak biblioteki znawców, czytających tyl-

ko dobrych autorów i umiejących ich odróżnić od razu wśród nowości wydawniczych. W miarę wzrostu liczby czytelników wybór ich staje się coraz szerszy i coraz mniej pewny.

Dla czytelnictwa w Rosji lata 1900-1910 były okresem przełomowym. Rosja, przy pomocy finansowej Francji, przeżywała wówczas swą rewolucję przemysłową. Miasta rozrastały się z zawrotną szybkością. Na Ukrainie widziałem nowe dzielnice wznoszone z takim pośpiechem, że murarze pracowali nawet nocą przy świetle reflektorów. Na wsi jadącemu wpadały w oko ogromne napisy *Mac Cormick* i *Deering*, wskazujące najbliższy skład części zamiennych do amerykańskich maszyn rolniczych. Mechanizacja rolnictwa była już w pełnym toku. Łatwo sobie wyobrazić powstający w takich warunkach wzrost zapotrzebowania na gotowe ubrania, obuwie i inne artykuły pierwszej potrzeby.

Teatry i sale koncertowe były przepełnione. Claude Debussy nie widział zapewne nigdy tylu na raz słuchaczy, ile znalazł ich w 1909¹ w Moskwie, gdzie na serii koncertów wykonano wszystkie jego, nawet najrzadziej grane utwory. W 1913 podczas krótkiego pobytu w Moskwie chciałem zobaczyć znajdującą się w Tretjakowskiej Galerei kolekcję *pieredwiznikow*, naśladowanych dotąd przez malarzy sowieckich. Galeria znajdowała się za rzeką, na Zamoskworzeckiu; gdy skręciłem w Tretjakowski Piereułek, zobaczyłem tam spory tłum ludzi. — Co się tu stało? — zapytałem. — Nic. Idziemy oglądać obrazy.

Podobne sceny można było oglądać w latach wielkiej *prosperity* także na Zachodzie, ale tam powszechna potrzeba rozrywek została szybko skanalizowana przez organizatorów festiwali, widowisk i turystyki. W Rosji było to zjawisko nowe, nieoponowane, o charakterze żywiołowym.

Równie żywiołowe były przemiany, jakie szybki wzrost czytelnictwa wywołał na rynku księgarskim. Powieści popularniejszych pisarzy drukowano od razu w stu tysiącach egzemplarzy. Honoraria autorskie osiągnęły poziom nieznany poprzednim pokoleniom. Zamożniejsze gazety płaciły felietonistom po pół rubla od wiersza². Zawód pisarza dawał w Rosji zawsze wysoką rangę społeczną, teraz stał się zajęciem, z którego można się było utrzymać. Tysiące młodych ludzi zaczęły się uczyć literackiego rzemiosła. Z notatnikami w rękach studiowali wzorem naturalistów środowiska społeczne lub zapisywali szczęśliwe kombinacje słów. W przededniu wojny wielu miało już za sobą

(1) Być może myślę się co do daty. Współczesny opis tych koncertów czytałem w gazecie *Russkija Wiedomosti*.

(2) Rubel równał się 2,66 ówczesnych tj. złotych franków.

pierwszy tomik opowiadań lub wierszy. Los obszedł się z nimi okrutnie. Wielu zginęło na wojnie. Rewolucja również potraktowała ich jak macocha. Jedni zginęli w wojnie domowej, inni zmarnowali talent pod cenzurą, inni wreszcie zamilkli na zawsze w zsyłkach i egzekucjach. B. L. Pasternak był z tego pokolenia bodaj jedynym pisarzem, któremu udało się pozostawić po sobie trwałe świadectwo swego czasu.

Wracam jednak do lat przedrewolucyjnych. Wielkie zapotrzebowania nie sprzyjają standardyzacji produkcji. Towarzyszy im zwykle poszukiwanie nowości, znane już Rzymianom jako *novarum rerum studio*. Tłumaczy to powodzenie w Rosji futuryzmu i wszystkich nowych prądów, szkół i technik artystycznych. Z atmosfery tych czasów wyrosli Malewicz i Kandinsky. Pomyślność własnych nowatorów nie wystarczała, szukano jej niestrudzenie u obcych. Gdziekolwiek pojawił się jakiś utalentowany pisarz, tłumaczono go natychmiast na rosyjski. Tak powstało rosyjskie wydanie kompletnych dzieł Stanisława Przybyszewskiego. W 1910 widziałem na wystawie odeskiej księgarni książkę, noszącą na karcie tytułowej słowa: *Połnoje sobranje soczinienij Wiczestawa Grubinskogo*, tom III. Tytuł ten wprowił mnie w zdumienie jako rodzaj kanonizacji autora młodego, mającego jeszcze tyle do powiedzenia.

Możliwości wypływające z *novarum rerum studio* trafnie ocenił i wykorzystał moskiewski wydawca Antik, noszący swe nazwisko jak gdyby przez omyłkę, powinien był bowiem nazywać się Moderne. Antik stworzył nowy typ tak zwanej *livre de poche*, książki formatu kieszonkowego. Serie książeczek tego formatu istniały już przedtem na Zachodzie, jak francuska *Bibliothèque Nationale* i kolekcja Ph. Reclama, zawierały jednak bądź teksty klasyczne, bądź dzieła autorów uznanych. Wydawnictwo Antika miało inny charakter: zawierało same nowości. Rosja nie podpisała umowy międzynarodowej o prawach autorskich, i każda mniej więcej czytelna książka drukowana za granicą mogła w miesiąc później ukazać się bez żadnych ceremonii w wydawnictwie Antika. Jego żółte tomiki w cenie 30 kopiejek sprzedawano we wszystkich kioskach. O ile wiem, Antik drukował swe przekłady autorów obcych od razu w 20.000 egzemplarzy.

W latach tych czytelnicy mogli zapoznać się z wielką ilością formuł, manieryzmów i talentów literackich. Znajomość ich nie tylko nie wywoływała u nich przesytu, lecz przeciwnie zdawała się podniecać jeszcze *novarum rerum studio*. *Mercure de France* odpowiadał najlepiej tym zainteresowaniom i nastrojom czytelników. Był organem ówczesnej awangardy, przychodził z Paryża, podówczas centralnego laboratorium mód i nowinek literackich i

przynosił bogaty dział recenzji, z którego można było wyłowić niejedną nowość wydawniczą przed jej ukazaniem się w kolekcji Antika. Okoliczności te tłumaczą, dlaczego stali klienci *Librairie Rousseau* czekali na pocztę mającą przynieść ostatni numer *Mercur*e'a.



Od tamtych czasów minęło przeszło pół wieku. Przeszły dwie wojny, zostawiając Europę mniej więcej w takim stanie, w jakim znajdowała się Grecja po wojnie peloponeskiej.

Wracając pamięcią do 1910 myślę, że z ówczesnych klientów francuskiej księgarni w Odessie ja tylko pozostałem przy życiu. Znikła *Librairie Rousseau*, znikli czytelnicy nowości francuskich. W ciągłości życia ukazała się głęboka wyrwa. Później w Polsce, będąc upartym i zapewne samotnym abonentem *Mercur*e'a, miałem wrażenie, że sam jeden trzymam w palcach wątłą nitkę pewnej tradycji i ciągłości. Samotność jest zresztą jedynym tytułem, upoważniającym mnie do udziału w obcym obrzędzie pogrzebowym.

*Mercur*e pozostał wierny sobie i jego ostatni numer był bardzo podobny do pierwszego, jaki widziałem przed pół wiekiem. Nie sądzę jednak, aby stałość zniechęciła doń czytelników. Swe stanowisko w Europie Wschodniej *Mercur*e utracił na skutek głębokich przemian ogólnych. Po prostu zabrakło Europy Wschodniej czytającej francuskie periodyki literackie.

Postaram się wyliczyć po krótko te przemiany. Przede wszystkim znajomość języka francuskiego cofnęła się w Europie niemal do granic Francji. Francuski utracił najstarsze nawet i najsilniejsze na pozór pozycje. Tak niedawno jeszcze był językiem dworów i dyplomacji. Dziś Erhard i Cyrankiewicz, składając wizyty oficjalne w Paryżu, muszą porozumiewać się przez tłumacza.

Książka francuska dochodziła dawniej na własnych nogach aż do Uralu, dziś zatrzymuje się zakłopotana nad Renem. Nie pomaga jej opieka rządowa. Podróżując odwiedzam wszędzie *centres culturels français*, aby z dawnego przyzwyczajenia przejrzeć nowości wydawnicze i czasopisma. Jestem tam zawsze jedynym gościem.

Na pewnym kongresie w 1949 siedziałem obok bardzo sympatycznej starszej pani, sprawującej funkcje ministra oświaty w Wolnym Mieście Hamburgu. Słyszac o moich podróżach do Niemiec dała mi następującą radę: — Jadąc do Hamburga niech pan nie zapomni wziąć kilku egzemplarzy książki Gabriela Marcela o chrześcijańskim egzystencjalizmie. Książka ta otworzy panu

drzwi najbardziej ekskluzywnych domów. Rzecz w tym, że jako demokraci chrześcijańscy powołujemy się często na tę filozofię, ale znamy ją tylko z drugiej ręki. Nikt z nas nie widział książki Marcela. Słowa mojej sąsiadki dają pojęcie o przeszkodach, na jakie książka francuska natrafia na Renie, nie mówiąc już o Wiśle, Dnieprze i Dunaju.

Słyszałem niedawno przez radio francuskie, że jego emisji słucha sto pięćdziesiąt milionów osób. Nie wiem, gdzie — poza Belgią i Szwajcarią — szukać tych „frankofonów”. Na pewno nie w Europie Wschodniej.

Różne na to złożyły się przyczyny, pomijając takie bagatele jak cenzura i propaganda. Między kapitalistycznym Zachodem i komunistycznym Wschodem stosunki są niejasne i prowadzą często do nieporozumień. W czasach stalinowskich np. redaktor pewnego szanowanego czasopisma katolickiego we Francji w każdym niemal numerze usiłował przekonać Polaków, że powinni wyrzec się marzeń i znosić cierpliwie rządy narzucone im przez Rosję, z którą los związał ich na zawsze. Wypowiadał myśli, które wielu Polaków zapewne podzielało, słuchanie tego francuskiego kazania musiało jednak wystawiać na ciężką próbę cierpliwości nadwiślańskich czytelników. — Czy Francja — pytali — nie ma nic innego do powiedzenia?

Wiele takich nieporozumień widziałem na festiwalu młodzieży we Wiedniu. Studenci austriaccy ogłosili bojkot tego komunistycznego przedsięwzięcia nie biorąc wcale pod uwagę, że połowa uczestników przybyłych z za żelaznej zasłony mieszkała jedynie w zonie wpływów sowieckich i nie miała nic wspólnego z oficjalną ideologią. Była to ich pierwsza wizyta na „wolnym” Zachodzie. Czemu nas odpychają — pytali? Czemu traktują nas jak zapowietrzonych lub wrogów?

Spotkania komunistów wschodnich i zachodnich nie były również wolne od nieporozumień. Pamiętam ironiczne uśmiechy, z jakimi młodzi Rosjanie patrzyli na burzliwy entuzjazm przybyłych na festiwal komunistów zachodnich. Rzecz w tym, że po czterdziestu kilku latach wiara rewolucyjna w Rosji utraciła część swej żarliwości. Komunizm przestał być powodem do entuzjastycznych okrzyków. Stał się faktem natury, przedmiotem mniej lub więcej rozsądnej administracji. Komunistów zapalczywych, fanatycznych łatwiej dziś znaleźć na Zachodzie. Komuniści rosyjscy muszą robić gorzkie refleksje czytając w czasopismach francuskich apologie czystek stalinowskich, pisane przez ludzi wolnych, których nikt do tego nie zmuszał.

Wymienię wreszcie brak kontaktu między Europejczykami wschodnimi i kołami lewicowymi we Francji. W 1910 *les intel-*

lectuels de gauche uchodzili za awangardę sił dążących do lepszej przyszłości. Dziś wielu z nich robi wrażenie rosyjskich patriotów, gniewających się, gdy ktoś w ich obecności mówi bez należącego szacunku o Związku Sowieckim. Ich formacja umysłowa nie da się wytłumaczyć obcym bez długich wywodów historycznych i dla młodych pokoleń Europy Wschodniej jest niezrozumiała. Linia demarkacyjna z 1945 nie jest dziś jedyną granicą dzielącą w Europie Wschód od Zachodu.



Nie wiem czy bogaty dział recenzji *Mercure'a* budził wciąż, jak za czasów Alfreda Vallette, zainteresowanie czytelników francuskich. Po 1918 zainteresowania Francuzów uległy pewnemu przesunięciu. Zrozumiałem to w parę lat później czytając powieść Giraudoux *Siegfried et le Limousin*. Powieść ma fabułę następującą: Francuz, który utracił całkowicie pamięć i w niewoli niemieckiej wychowany został jako Siegfried, odzyskuje utraconą osobowość słuchając o tym jak łowiono ryby w jego rodzinnym departamencie. Myśl, że na najgłębszym dnie naszej pamięci i w samym rdzeniu naszej osobowości znajdują się *les vins régionaux* i *les plats du pays*, podobała się zapewne powracającym z wojny. Ja sam, po pół wieku emigracji i wędrówek przychyliam się chwilami do takiej koncepcji. Myśli takie wprawiłyby jednak w zdumienie Voltaire'a Cokolwiek o tym sądzić, rafinacje kuchni i automobil zajęły w wyobraźni naszych współczesnych tyle miejsca, że nie starcza go zapewne na nowości literackie włoskie i brazylijskie. Dział recenzji *Mercure'a* był zaledwie przeglądany, i żadne nowe czasopismo nie przejęło po nim tego spadku.



Mercure zmarł śmiercią naturalną, bez rozgłosu, otoczony tylko najbliższą rodziną. Nie zostawił po sobie żadnego spadku prócz anegdot, zebranych już częściowo przez P. Léautaud.

To, co o nim pamiętam jest nie wiele więcej jak anegdota. Jest to coś jak stara fotografia. Tak dzisiejszy zmarły wyglądał przed pół wiekiem, oparty o kontuar *Librairie Rousseau*. Z wdzięcznością, jaką zachowuje się dla dawnych lektur, składam tę pamiątkę na grobie *Mercure'a*.

Paweł HOSTOWIEC

Wieczny więzień

Razumnik Wasiliewicz Iwanow, znany lepiej jako Iwanow-Razumnik, był chyba jednym z ostatnich „narodników” rosyjskich. Urodził się w roku 1878 w Tyflisie. W roku 1901 aresztowano go podczas demonstracji studenckiej na *Kazanskiej Płoszczy* w Petersburgu i wkrótce potem zesłano do Simferopolu. Był słuchaczem wydziału fizyki, wrażliwym równocześnie na literaturę i zagadnienia społeczne; dopiero na zesłaniu zmienił ostatecznie „orientację”. Pisze o tym tak w swoich pamiętnikach:

Kiedy znalazłem się w Symferopolu, byłem całkowicie odcięty od możliwości kontynuowania pracy laboratoryjnej, ale mogłem za to bez przeszkód poświęcić się studiom literackim. Poznałem tam właściciela znakomitej biblioteki, bogatej w dzieła literatury rosyjskiej XVIII i XIX stulecia. Zacząłem zbierać materiały do planowanej już dawniej książki *Istoria ruszkoj obszczestwienoj mysli*. Opracowałem najpierw szkic, który w książce miał być rozdziałem końcowym, o postawie Maksyma Gorkiego wobec kultury współczesnej i inteligencji. Po roku pobytu w Simferopolu pozwolono mi przenieść się do małej wioski w gubernii włodzimirskiej. Jeden z tamtejszych majątków należał do rodziców mojej narzeczonej, która została moją żoną w roku 1903. Tam też wziąłem się na serio do pisania mojej książki. Wyszła ona, w dwóch tomach, pod koniec roku 1906. I zdecydowała o moich dalszych losach jako pisarza. Gdyby mnie nie zesłano w roku 1902, nie znalazłbym zapewne nigdy dość czasu na tak szeroko zakrojoną pracę. Moje zamiłowania literackie trwałyby nadal, ale według wszelakiego prawdopodobieństwa nie porzuciłbym fizyki... Nie będę się tu rozwodził nad moją późniejszą karierą literacką i publiczną. Powiem po prostu, że w walce między marksizmem i *narodniczym* należałem do tego drugiego kierunku. Pisałem artykuły skierowane przeciw marksizmowi, krzyżując szpady zarówno z jego najinteligentniejszym przedstawicielem, Plechanowem, jak i z najbardziej powierzchownym, Łunaczarskim. Wszystko to użyto przeciw mnie we właściwym czasie — w ćwierć wieku później,

— gdy byłem przesłuchiwany w GPU i w NKWD. Ale opowiedziawszy się po stronie *narodniczestwa*, nie wstąpiłem do partii która je podówczas politycznie reprezentowała — do eserów. Mówiąc słowami dowcipnej powiastki Kiplinga, byłem kotem chadzającym własnymi drogami: nie uznawałem końskich okularów partyjnych. Nie przeszkadzało mi to uczestniczyć we wszystkich literackich przedsięwzięciach eserów. Kiedy Postnikow założył w Petersburgu popularne czasopismo eserowskie *Zawieity*, redagowałem w nim dział literacki. A kiedy w pierwszych dniach rewolucji 1917 roku powstał codzienny organ eserów *Dieło Naroda*, objąłem w nim znowu dział literacki i wszedłem do ścisłego komitetu redakcyjnego. Jesienią 1917 roku rozłam podzielił eserów na „prawych” i „lewych”. Ponieważ moje sympatie były po stronie „lewych”, zgodziłem się sprawować kuratelę nad działem literackim w ich dzienniku *Znamia Truda* i w ich miesięczniku *Nasz Put*. Wszystko to zapisano w czarnych księgach Czeka i GPU, i za wszystko to trzeba było wcześniej czy później zapłacić”.

Zanim jednak będzie mowa o owej „zapłacie”, warto rzucić okiem na kartę bibliograficzną Iwanowa-Razumnika. Zawiera ona, od roku 1906 do roku 1930, siedemnaście pozycji oryginalnych: o rosyjskiej myśli społecznej, o inteligencji, o „sensie życia”, o „literaturze i społeczeństwie”, o „twórczości i krytyce”, o rewolucji 1917 roku, o Tołstoju, o Puszkynie i Bielińskim, o Herzenie, o Sałtykowie-Szczedrinie, o Błoku i Biełym; oraz kilka pozycji nazywanych zazwyczaj skromnie „opracowaniami”: pełne wydanie Bielińskiego, pełne wydanie Sałtykowa-Szczedrina, utwory zebrane Błoka, pamiętniki Panajewa, pamiętniki Apollona Grigoriewa, dwa suplementy odnalezionych ineditów Szczedrina.

Potem długo długo nic, i urwaną na dwadzieścia z górą lat nic odnajdujemy w Nowym Jorku. Rok 1951: mała książeczka pod znamienym tytułem *Sudby pisatielej* (o losach pisarzy rosyjskich po Rewolucji Październikowej). Rok 1953: pamiętniki pod niemniej znamienym, zapożyczonym z *Byłoje i dumy* Herzena, tytułem *Tiurmy i ssyłki*, wydane niedawno także po angielsku przez Oxford University Press jako *The Memoirs of Ivanov-Razumnik*.

Uczeń Herzena, Czernyszewskiego, Czernowa i Michajłowskiego otrzymał zatem „pierwszy chrzest” (jak go sam nazywa) więźnia z rąk caratu. To co nastąpiło po rewolucji 1917 roku, którą powitał z otwartymi ramionami, było już historią Wiecznego Więźnia — aresztowanego, zsyłanego, wracającego do domu, znowu aresztowanego, znowu zsyłanego, znowu wracającego do domu, znowu aresztowanego i tak bez końca. Gdyby nie wybuch wojny rosyjsko-niemieckiej w roku 1941, koło toczyłoby się aż do śmierci rozpiętego na nim *narodnika* którego rewolucja uznała za *wraga naroda*. Trudnym do odgadnięcia okolicznościom, albo zwykłemu przypadkowi, należy przypisać że nie przypięczutowano wcześniej jego losów strzałem w lochach Łubianki czy katorgą łagrów.

W lutym 1919 roku Iwanow-Razumnik, podówczas pracownik Departamentu Teatralnego zorganizowanego przez Meyerholda, został aresztowany w swoim mieszkaniu w Puszkynie (dawnym Carskim Siole). Tej samej nocy sieć obławy zagarnęła Błoka, Remizowa, malarza Pietrowa-Wodkina, historyka Lemkego, Zamiatina, profesora Wiengerowa. Było to jednak tylko próbne „rekonesansowe” nawiązanie kontaktu przez Czekę ze środowiskiem kulturalnym w Petersburgu i okolicach: Zamiatina zwolniono po dwóch godzinach, Błoka po kilku dniach, Iwanowa-Razumnika po dwóch tygodniach. Rozdział pamiętników zatytułowany po dumasowsku *W dwadzieścia lat później* (czyli po „pierwszym chrzcie” więzienia i zesłania carskiego) kończy się słowami:

„Nie tknięto mnie w ciągu następnych piętnastu lat i pozwolono mi kontynuować pracę literacką, choć w warunkach dalekich od swobody. Lecz przypatrując się temu co działo się dokoła, nie wierzyłem nigdy w trwałość mego domu zbudowanego na piasku. W przekonaniu GPU byłem ideologiem *narodniczystwa* i zdecydowanym przeciwnikiem marksizmu, aczkolwiek przeciwnikiem który nie mógł wypowiadać swoich poglądów. Czekano jedynie na sposobność, na bylejaki powód, na wymówkę; a kiedy się dobrze szuka, znajduje się na ogół to czego się szuka. Wybiegam jednak w przyszłość. Dwadzieścia lat upłynęło między moim pierwszym więzieniem i drugim; piętnaście lat miało upłynąć przed trzecim. I Jeśli moje pierwsze więzienie było tylko zabawnym a drugie trochę mniej zabawnym wprowadzeniem, o trzecim i o dalszych można powiedzieć za starym przysłowiem rosyjskim: od kwiatuszka do jagody”.

W lutym 1933 roku Iwanow-Razumnik obchodził podwójny jubileusz: trzydziestolecia pracy pisarskiej i trzydziestolecia małżeństwa. Po całym dniu spędzonym nad korektami VIII tomu utworów Błoka i VIII tomu dzieł Sałtykowa-Szczedriny zasiadł z żoną i parą przygodnych gości do kieliszka wina. Około północy odprowadził gości do drzwi, zgasił światła i poszedł spać. Wytrąciło go niebawem z drzemki gwałtowne pukanie. W GPU wybiła godzina „domu zbudowanego na piasku”, w którym od piętnastu lat uprawiał bez większych przeszkód ogród literatury rosyjskiej „ideolog *narodniczystwa*” i „zaprzysiężony przeciwnik marksizmu”.

Przesłuchania w więzieniach w Lenigradzie i w Moskwie trwały do września.

„W więzieniu liczy człowiek nie miesiące czy tygodnie, lecz dni. Nadzedeł w końcu 219 dzień mojego uwięzienia. Jakaż bezsensowna strata czasu! I ileż można było w ciągu tego czasu włożyć pracy w wydania Sałtykowa i Błoka! Nawiasem mówiąc, korekty V tomu Błoka zostały mi doreczone w celi któregoś dnia marcowego i natychmiast po ich zrobieniu odesłane wydawcom (co zresztą nie uchroniło tego tomu od przerażających błędów). Oczywiście po otrzymaniu i przed zwrotem poddano je w

urządzie mojego sędziego śledczego drobiazgowym badaniom. Nie sędzę by Błokowi mogło być kiedykolwiek przyjsć do głowy, w jak spokojnym i owocnym zaciszu będą poprawiane odbitki szcztokowe jego rewolucyjnych poematów *Dwunastu i Scytowie!*”.

Rezultatem ośmiomiesięcznego śledztwa był wyrok skazujący Iwanowa-Razumnika na trzy lata zesłania w Nowosybirsku, licząc od dnia aresztowania.

„Moi dwaj nadzorcy i ja rozmawialiśmy mało i większość czasu oglądałem przez okno wagonu krajobraz. Minęliśmy Wołogdę i ruszyliśmy w kierunku Wiatki. Wpatrywałem się z ciekawością w polne drogi, przecinające linię kolejową: tymi oto drogami, przed stu blisko laty, jeździł często zesłany urzędnik z Wiatki, Sałtykow. Opisałem te jego podróże w pierwszym tomie mojej monografii, a teraz sam byłem zesłańcem. Sałtykow podróżował bryczką pocztową pod eskortą jednego żandarma, mnie towarzyszyło dwóch cerberów z GPU. Byłem bardziej od niego uhonorowany”.

W. Nowosybirsku zaprzyjaźnił się z rodziną Gwizdorów.

„I.S. Gwizdor, stary mieniszewik (a raczej członek Polskiej Partii Socjalistycznej), znajdował się z małymi przerwami na zesłaniu na Syberii od roku 1903 — obchodził więc również swój jubileusz trzydziestolecia”.

Dygresja zasługuje na kontynuację.

„Gwizdora skazano najpierw w r. 1903, jako uczestnika polskiego ruchu wyzwolenieckiego, na dwanaście lat katorgi; spędził cały ten okres zakuty w kajdany. Na dwa lata przed rewolucją zwolniono go i pozwolono mu osiedlić się w małym miasteczku według własnego wyboru; wybrał Barnauł. Rewolucja uczyniła go przewodniczącym Gorsowietu, i w ciągu następnych kilku lat fale przewrotu to wynosiły go na swój grzbiet, to spychały na dno. Przychodzili Czerwoni i sadzali go uroczyście na stolcu przydyalnym; przychodzili Biali i wsadzali go do kryminału, grożąc mu plutonem egzekucyjnym. Ta huśtawka powtarzała się wielokrotnie. To inspekcjonował więzienie jako główny dygnitarz barnaulski, to leżał na jego pryczach jako główny więzień barnaulski. Nie zmieniano strażników więziennych, którzy nie wiedzieli po prostu jak go traktować”.

Na krótko przed rewolucją ożenił się z robotnicą fabryczną, zagorzałą bolszewiczką. Kiedy bolszewicy ugruntowali wreszcie swoją władzę na Syberii, zaczęła się *inną piesnją*: Gwizdor, jako były mieniszewik a więc kontrrewolucjonista, wędrował to za kraty to na zesłanie. Jego żona stała się zagorzałą antybolszewiczką. Na zesłaniu w Czimkencie przeprowadzono którejś nocy w ich mieszkaniu rewizję. W szufladzie stołu czekista znalazł kawał łańcucha. „A cóż to jest?” — zwrócił się do Gwizdora. „To? — odpowiedział zagadnięty. — Mój Order Rewolucji. Odkrwawiłem dwanaście lat katorgi w tym łańcuchu”. Czekista wybuchnął drwiącym śmiechem. Gwizdorowej pociemniało w oczach, z furią skoczyła mu do gardła. „Ty świnió, — krzyczała, — ty bydlaku, powinienes uklęknąć przed tym łańcuchem, po-

winienieś go całować!'. Czekał sięgnął odruchowo do kabury po rewolwer, ale natychmiast oprzytomniał i w milczeniu wrócił do rewizji. „W królestwie bolszewików” — powiada autor pamiętników — właściwym miejscem dla ludzi pokroju Gwiżdza jest oczywiście więzienie i zesłanie, a nie siedziba władzy”.

Po dwóch miesiącach przeniesiono Iwanowa-Razumnika z Nowosybirsk do Saratowa. Jechał tam, powtarzając sobie w myślach słynny okrzyk Famuzowa z *Gorie ot Uma* Gribojedowa: „W drogę, do tej dalekiej zapadłej dziury, do Saratowa!”. Dziura była istotnie „zapadła”, odczuwał więc coraz boleśniej swoją przymusową bezczynność. W lipcu 1934 roku wysłał długi list do Maksyma Gorkiego, podówczas przewodniczącego Związku Pisarzy Sowieckich, prosząc o interwencję w stworzeniu warunków umożliwiających mu dalszą pracę nad niedokończonymi edycjami Sałtykowa i Błoka. Pisał w nim:

„Słyszało się często zdania że Pan stracił kontakt z rzeczywistością, że ze swoich wyzyna nie dostrzega Pan, błahostek życia. Możliwe że moją pracę nad Sałtykowem i Błokiem uważa Pan za jedną z takich błahostek. Wolę jednak myśleć o ludziach zgodnie ze wskazaniem Herzena: 'Myśl lepiej o ludziach, niż się o nich mówi w potocznej gadaninie'. Ponieważ zaś nasze koleżeńskie stosunki literackie w ciągu ćwierćwiecza nie były nigdy ani ścisłe ani nawet szczególnie ożywione, to wskazanie Herzena pozwala mi wierzyć że weźmie Pan sobie tym więcej do serca moją pracę nad dwoma wymienionymi autorami, niezależnie od tego jak błaha może się ona wydawać na tle współczesnego życia. Zresztą w dziedzinie kultury nie ma 'błahostek'; jest tylko to co posiada wartość z jednej strony, a co szkodzi i nie przynosi żadnego pożytku z drugiej. W jakim stopniu moja praca nad Sałtykowem i Błokiem jest cenna i pożyteczna, nie mogę rzecz prosta, jako stronnicy sądzić, osądzić; ale że przymusowe zniszczenie tych przedsięwzięć byłoby stratą i nieszczęściem dla literatury, uznają jak myślę wszyscy bezstronni sędziowie”.

List pozostał naturalnie bez odpowiedzi, choć z całą pewnością doręczono go adresatowi.

W Saratowie przebywała wtedy niewielka grupka zesłańców, głównie mienszewików oraz „prawych” i „lewych” eserów. Przeczorność nakazywała unikać ich towarzystwa, ale w jałowej pustce i nudzie zesłania zapomina się o nakazach przeczorności. Tak, na wizytach u innych zesłańców i na dość postnych lekturach, upływały miesiące i lata. Wreszcie luty 1936 roku: dzień wygaśnięcia wyroku. Paszport wystawiony w saratowskiej milicji przywracał co prawda swobodę ruchów, ale z wyjątkiem Moskwy i Leningradu oraz wszystkich miejscowości położonych w promieniu stu kilometrów od tych dwóch miast; czyli w praktyce uniemożliwiał powrót do domu i do żony w Puszkynie. Leningrad nie posiada „naszyjnika” nieco bardziej peryferycznych miaste-

czek. To, i świadomość że tylko w Moskwie istniała perspektywa znalezienia jakiegoś zajęcia literackiego, skłoniło Iwanowa-Razumnika do osiedlenia się w Kaszirze, w odległości 108 kilometrów od stolicy.

„Żyłem tam w całkowitej izolacji: nazywałem ją sześcienną izolacją, gdyż mój pokój w Kaszirze był doskonałym sześciannym. Spokój i cisza. Idealne warunki do pracy. Trzeba było jednak znaleźć najpierw pracę”.

Listy rozesłane do głównych wydawnictw moskiewskich nie odniosły skutku. Dopiero jesienią 1936 roku los uśmiechnął się na krótko do kaszirskiego samotnika. Państwowe Muzeum Literatury w Moskwie ogłosiło projekt wydania listów Andreja Biełogo do Błoka. Dowiedziawszy się o tym, Iwanow-Razumnik przypomniał sobie o własnej korespondencji z Biełym i zaproponował opracowanie do druku dwustu posiadanych listów autora *Srebrnego gołębia* z lat 1913-1933. Muzeum zaakceptowało jego sugestię i wyjednało mu zezwolenie na dwukrotne, miesięczne, wyprawy do domu w Puszkynie.

„Zgodnie z kontraktem miałem przedłożyć gotowy do druku tom w lipcu 1937 roku: czterdzieści arkuszy tekstu i dziesięć arkuszy komentarzy. Po siedmiu miesiącach wytężonej pracy wykonałem zadanie na oznaczony dzień. Data ukazania się książki jest inną kwestią. Nie należy uprzedzać jutrzeńki bezklasowego (i wolnego od cenzury?) społeczeństwa”.

Ośmielony tym interludium, wysłał do komisji amnestyjnej Centralnego Komitetu list z prośbą o wystawienie „paszportu leningradzkiego”. Kazano mu poczekać na odpowiedź: przyszła 29 września 1937 roku w postaci nocnej wizyty NKWD. Nakaz rewizji i aresztowania, przedstawiony przez kaszirskiego sędziego śledczego, nosił pieczęć moskiewską. Na następnych stu pięćdziesięciu stronicach pamiętników toczy się powoli tortura dwuletniego blisko śledztwa i więziennej subwegetacji: Łubianka, Butyrka, Taganka. Zwolnienie nastąpiło 17 czerwca 1939 roku, wraz ze stopniowym odpływaniem fali *jeżowszczyzny*. Certyfikat wspominał o „umorzeniu sprawy”, ale stwierdzał jednocześnie że nie jest równoznaczny z „prawem pobytu”.

To stwierdzenie oznaczało naturalnie nową formę zesłania, a w każdym razie coś w rodzaju wilczego biletu i zakaz powrotu do domu w Puszkynie. Iwanow-Razumnik powtórzył swoją prośbę sprzed dwóch lat. Została odrzucona. Udało mu się jednak, głównie dzięki pomocy Państwowego Muzeum Literatury, przemieszkać półlegalnie w Puszkynie do września 1941 roku, czyli do ewakuacji miasteczka przez władze sowieckie i wkroczenia Niemców.

„Sowieckie obozy koncentracyjne ustąpiły miejsca innym. Wkrótce znalazłem się wraz z żoną za drutami niemieckiego *Beobachtungslager* w Choj-

nicach i Starogardzie (Prusy), gdzie przebywaliśmy półtora roku. O pracy nie było, rzecz prosta, mowy. Zwolniono nas w połowie 1943 roku. Przygarnęli nas do siebie krewni na Litwie, i tam w ciągu ośmiu miesięcy mogłem nareszcie pisać. W początkach 1944 roku wir wojny popchnął nas znowu na zachód: ofiarowała nam schronienie znajoma rodzina w Chojni-
cach. Tu właśnie wykańczam moje *Tiurmy i ssylki*".

O dalszych dziejach Iwanowa-Razumnika wiemy z przedmowy wydawców. Po długiej tułaczce przez zniszczone wojną Niemcy dotarł z żoną do Rendsburga nad Kanałem Kilońskim. Warwara Nikołajewna („z którą przeżyłem w ciągu czterdziestu lat wypadki opisane w niniejszej książce” — jak głosi dedykacja pamiętników) zmarła tam w marcu 1946 roku. Owdowiały Razumnik Wasiliewicz przeniósł się do dalekich krewnych w Monachium. Był już jednak schorowany, przybity śmiercią „najwierniejszej towarzyszki”, i po ukończeniu pamiętników przekonany zapewne że nie ma nic więcej w życiu do zrobienia. Umarł 9 czerwca 1946 roku.

W dwa miesiące później do jego monachijskich krewnych zgłosił się jakiś nieznajomy. Podał się za ucznia i przyjaciela Iwanowa-Razumnika, wyraził niepokój o los drogocennych rękopisów Mistrza, zaofiarował się z pomocą w ich wydaniu: chciał w ten sposób spłacić dług wdzięczności wobec swego dawnego i umiłowanego Nauczyciela. W jego głosie brzmiała nuta natarczywości. Odprawiono go z kwitkiem, ale w roku 1948, kiedy krewni Iwanowa-Razumnika płynęli z Niemiec do Ameryki, na statku wykradziony został z walizki egzemplarz pamiętników. Na szczęście, jeden z trzech istniejących.

Sowiecka *longa manus* próbowała dosięgnąć i ugodzić jeszcze za grobem Wiecznego Więźnia.



Był bowiem Wiecznym Więźniem, choć w sumie spędził w więzieniu i na ścisłym zesłaniu „zaledwie” sześć lat. Był nim, gdyż jego *Prisoner's Progress*, jego kafkowski prawie proces „winnego bez winy”, nie mógł — podobnie jak w kronikach Inkwizycji — posiadać kresu poza absolucją śmierci. Nie miały sensu ani podstaw realnych powtarzające się monotennie, w nieskończoność, podczas śledztwa oskarżenia o założenie „centrum ideologicznego *narodniczestwa*” i „centrum politycznego eserów”. Wiedzieli o tym sami sędziowie śledczy. Czego jednak nie chcieli otwarcie i jasno przyznać, to że wybitnego pisarza rosyjskiego, byłego więźnia carskiego i rzecznika rewolucji, zwycięska rewolucja ścigała bezustannie za zbrodnię *innowierstwa*. „Dyktatura proletariatu — zauważa ironicznie Wieczny Więzień — powinna

była działać śmielej i oświadczyć bez obłonek: Tak, wiemy i zsyłamy ludzi nie tylko za organizowanie stowarzyszeń politycznych, lecz za to że inaczej myślą i w co innego wierzą". Bo innowierstwa nie wypierał się nigdy. Kiedy w pierwszym śledztwie usiłowano go nakłonić do podpisania deklaracji że „ani jawnie ani ukrycie nie będzie brał udziału w propagandzie antymarksistowskiej”, odmówił i zaproponował następujące sformułowanie: „Jeśli chodzi o tendencje mojej pracy literackiej, to nie mogę gwarantować, nie będąc marksistą, że będą one zawsze zgodne z oficjalnym punktem widzenia; ale cenzura istnieje po to by tropić niepożądane tendencje idealistyczne, i jej zadaniem jest czuwać nad interesami rządowego punktu widzenia”. Innowierca w sytuacji przymusowej podsuwał kompromis, broniąc uporczywie mizernych resztek swego prawa do wyłamywania z karnych szeregów. Jedynowiercy w mudurach policyjnych odrzucili go z oburzeniem i odesłali zuchwalca do celi.

Gwałcili w ten sposób nawet zasady swego „marksizmu”. Zamiatin opowiadał autorowi pamiętników, że po aresztowaniu w roku 1919 wywiązała się między nim i sędzią śledczym taka rozmowa:

„— Do jakiej należeliście partii? — zapytał sędzia, przygotowując grunt do oskarżenia politycznego.

— Do bolszewickiej. (W czasach studenckich Zamiatin należał rzeczywiście do partii bolszewickiej, ale stał się jej zaciętym przeciwnikiem w okresie rewolucji).

— Co takiego? Byliście bolszewikiem?

— Tak jest.

— A teraz nie jesteście bolszewikiem?

— Nie.

— Kiedy i dlaczego wystąpiliście z partii?

— Dość dawno, z przyczyn ideologicznych.

— Nie żałujecie swego kroku teraz, kiedy partia zwyciężyła?

— Nie żałuję.

— Nie rozumiem. Wytłumaczcie się jaśniej!

— Ależ nic prostszego. Jesteście komunistą, obywatelu sędzio?

— Oczywiście.

— I marksistą?

— Oczywiście.

— Hm, jesteście zatem złym komunistą i złym marksistą. Gdybyście byli prawdziwym marksistą, wiedzielibyście że warstwa drobnomieszczańskich poputczyków bolszewizmu ma tendencje do dezintegracji, i że tylko robotnicy są niewzruszoną podporą klasową komunizmu. Ponieważ zaś ja należę do klasy dro-

bnomieszczańskich intelektualistów, nie rozumiem czemu się tak dziwicie”.

W roku 1919 to nieskazitelne rozumowanie odniosło błyskawiczny skutek: Zamiatina natychmiast zwolniono. Ale później, po usadowieniu się rewolucji w siodle, „skorygowano” je w takim mniej więcej duchu: „Kto nie może być z nami z obiektywnych przyczyn klasowo-ideologicznych, musi dezintegrację w domu zamienić na dezintegrację w więzieniu”. W roku 1938 odbył się w moskiewskim więzieniu między Iwanowem-Razumnikiem i sędzią śledczym Szeptałowem trochę inny dialog:

„— Państwo powinno karać ludzi za to co robią, a nie za to co myślą. Prawo rzymskie głosiło, że *cogitationis poenam nemo patitur*.

— Cóż to znaczy?

— Znaczący to, że myśli nie są karalne. Juryści rzymscy ustalili tę zasadę przed dwoma tysiącami lat.

— Byli z całą pewnością niespełna rozumu — odparł ze szczerem osłupieniem Szeptałow”.

Z przyczyn „klasowych” czy nie, Iwanow-Razumnik nie mógł być z komunistami bo był z samym sobą.

„W czasie całej mojej kariery literackiej wykladałem poglądy społeczne i filozoficzne głoszone przez Herzena. W mojej historii rosyjskiej myśli społecznej zarysowałem punkt widzenia który wydał mi się wtedy słuszny, i pod którym dziś jeszcze gotów jestem się podpisać. W dojrzałszej książce o sensie życia kontynuowałem moją interpretację (nie bez pewnych założeń od Kanta) idei Herzena: Człowiek jako Cel Sam w Sobie... Moja postawa była zawsze indywidualistyczna, wolna od jakichkolwiek serwitutów partyjno-politycznych... Począwszy od pierwszego przesłuchania od mówiłem dyskusji na temat mojego stosunku do władzy sowieckiej, dopóki mój status był statusem więźnia... Ostateczne cele komunizmu — społeczeństwo bezklasowe, zniesienie Państwa — były całkowicie zgodne z koncepcją Człowieka jako Celu Samego w Sobie; środki i metody użyte przez bolszewizm przekreślały ten cel, nie mogłem ich więc przyjąć”.

Bierdiajew twierdził, że „Herzen i Michajłowski byli bliżej prawdy broniąc socjalizmu w imię jednostki, w imię człowieka”. Billington pisze w swojej książce *Mikhailovsky and Russian Populism*: „Michajłowski i narodnicy wierzyli że wszystkie reformy społeczne należy podejmować w imię indywidualności ludzkiej, najwyższego źródła wszelkich wartości... Mimo pośmiertnej krytyki zarówno z lewicy jak z prawicy, poglądy Michajłowskiego przeżyły poprzez wpływ jaki wywarły na największych kronikarzy dziewiętnastowiecznej myśli rosyjskiej — Masaryka, Bierdiajewa i Iwanowa-Razumnika”.

Artykuł o Iwanowie-Razumniku w redagowanej przez Łunaczarskiego *Encyklopedii Literackiej* potępiał te poglądy jako „immanentny subiektywizm”. Wieczny Więzień zatem, w przerwach

między jednym uwięzieniem i drugim, mógł je głosić tylko starym wypróbowanym sposobem przemytniczym, pamiętając że nie zagwarantował „prawomyślności” w swojej pracy literackiej i że tropienie w niej akcentów niezgodnych z „rządowym punktem widzenia” pozostawił cenzorom. Zdarzało się niekiedy, że cenzorzy spostrzegali dopiero po niewczasie co nabroili, i co mimowoli sami wraz z nim nabroili. Tak było z komentarzem do *Historii pewnego miasta* Sałtykowa, w którym gorliwość „wpływologiczna” kazała mu zacytować fragment ze skierowanego przeciw Napoleonowi III pamfletu Laboulaye *Le Prince-Caniche*: trzech ministrów w Królestwie Głupców przedkłada panującemu księciu najlepsze metody rządzenia — jeden stworzenie młodzieżowej organizacji „pionierów”, wychowywanych pod okiem inspektorów rządowych w duchu „głupawego myślenia”; drugi konfiskatę wszystkich bibliotek prywatnych i usunięcie z bibliotek państwowych wszystkich książek niezgodnych z „głupawą filozofią”; trzeci zamknięcie wszystkich gazet niezyczliwych „głupawemu systemowi” i założenie jedyne go dziennika rządowego pod nazwą *Prawda*, obowiązkowego źródła informacji dla wszystkich „głupawych podwładnych”. Tak było, gdy w tomie ineditów Sałtykowa zamieścił czwartą i najdłuższą wersję *Opowieści o gorliwym naczelniku*: w bliżej nieokreślonym państwie jeden z naczelników postanawia „osiągnąć dobro środkami zła”; że jednak wszystko mu się układa inaczej niż to sobie uplanował, zwraca się do licznej w owym państwie gromady łajdaków z prośbą o pomoc; owszem — powiadają łajdacy, — chętnie pomożemy, ale muszą być spełnione pewne warunki, a mianowicie że tylko my łajdacy gadamy a reszta siedzi cicho, że tylko my łajdacy żyjemy po królewsku a reszta klepie biedę, że tylko my łajdacy robimy co nam się żywnie podoba a reszta jęczy w kajdanach, że tylko my łajdacy decydujemy o tym co jest prawdą a co kłamstwem.

Przez usta Sałtykowa jego uczony wydawca i komentator zdołał wypowiedzieć we własnym kraju jedyną tyradę przeciw swym prześladowcom.



Czytelnik posiadający za sobą jakie takie sowieckie doświadczenia więzienne nie znajdzie w pamiętnikach Iwanowa-Razumnika nic nowego, choć na każdej stronie będzie podziwiał jego ścisłość i jasność, jego ostrożność w formułowaniu sądów, jego ostrość obserwacji i zdumiewającą pamięć, jego niezakłócony niczym spokój i naturalną zyczliwość człowieka naprawdę rozumnego, jego poczucie godności zwycięskie w najbardziej poniżających okolicznościach; i — *last but not least* — ten szczególnie ton któ-

ry on sam określa jako „ironiczny i żartobliwy, jedynie stosowny w naszych czasach”.

Ale wartość pamiątek Iwanowa-Razumnika wybiega daleko poza ich oczywiste zalety ludzkie i pisarskie. W osobie ich autora spotyka się znowu przedstawiciela *innej* tradycji rosyjskiej, zbyt silnej by ją można było zniszczyć doszczętnie. Wiele wskazuje na to, że w mglistych jeszcze formach zaczyna ona w Rosji powoli odżywać.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

NAJTAŃSZA WYSYLKA DO POLSKI

z magazynów tranzytowych

Towary wszelkich krajów po cenach eksportowych kraju produkcji. Przykład: płaszcze włoskie (ortalion) 4,96 dol, papierosy (np. Chesterfield) paczka 0,13 dol, czekolada w tabl. 1 kg 1, 20 dol.

Ceny z portem i asekuracją pełnej wartości.

PIENIĄDZE WYŚLANE W TOWARZE

1 dolar = 180, — zł

Gotówkę przekazujemy po najwyższym kursie.

"POLTEMA"

Anvers, 11 Gen. Belliardstr. tel 333009.

Mackiewicz i wolność prasy w Polsce

Autentyczna anegdota.

W czasie wojny Michał Łubieński, przez 20 lat urzędnik MSZ'u i szef gabinetu Becka, służył w lotnictwie polskim w Anglii; ze względu na wiek nie nadawał się już na pilota i pełnił obowiązki adiutanta któregoś z generałów lotnictwa, bodajże gen. Zająca. Jak sam Łubieński mi opowiadał, któregoś dnia jego przełożony zwrócił się do niego w te słowa: „Panie Michale, kazania niedzielne naszego kapelana są niemożliwie nudne i długie, a poza tym się z nimi nie zgadzam. Jakoś mi trudno to jemu powiedzieć, ale Pan, jako dyplomata, zrobi to łatwiej...” Na to Michał Łubieński mu odpalantował z miejsca: „Panie generale, słuchanie kazania nie jest przyjemnością, ale UMARTWIENIEM...”

Trzy nudne obowiązki.

Każdy kapłan, obojętne czy ksiądz czy pastor protestancki, ma obowiązek rok rocznie, co miesiąc, co niedziela, co dzień nawoływać do walki z grzechem, bo nasza natura jest grzeszna, i, niezależnie od dogmatów, trzeba z tą smutną skłonnością ludzkości walczyć nieustannie. Kapłan, który by tego obowiązku zaniedbywał, a cóż dopiero grzech lekceważył lub patrzył nań pobłażliwie, byłby niegodny sukni duchownej. Każdy ekonomista, każdy minister skarbu ma obowiązek co najmniej 365 razy w roku przestrzegać przed INFLACJĄ, przed spiralą płac i cen, bo ta łatwizna, *le chemin de la facilité*, jest i zawsze będzie najbardziej tentującym dla rządów i dla społeczeństwa wyjściem ze wszystkich trudności gospodarczych. To przestrzeganie przed inflacją i jej zgubnymi skutkami jest obowiązkiem w gospodarce liberalnej, i w gospodarce planowej, w kapitalistycznej i socjalistycznej, w autarkicznej i wolnohandlowej. I wreszcie tak samo

walkę o wolność trzeba prowadzić zawsze i w każdym ustroju, bo samo istnienie organizacji społecznej, prawa, państwa, jest zawsze i *eo ipso* ograniczeniem wolności obywateli. Od czasów przedhistorycznych ograniczanie wolności obywateli jest najłatwiejszym sposobem rządzenia. *L'homme est né libre et partout il est dans les fers* — to pierwsze zdanie „Contrat Social” Rousseau zawiera więcej mądrości, niż cały Marx. Obrona wolności, stała, codzienna, nieubłagana, jest równie konieczna, i równie... nudna, jak nawoływania kapłanów do brzydzenia się grzechem, jak przestrogi ekonomistów przed niebezpieczeństwem inflacji.

Wolność prasy w schemacie ogólnej wolności.

Przez tysiąclecia wolność słowa była wszystkim, dopiero od XVI wieku wolność druku uzupełnia wolność debaty słownej, wolność wiecowania, wolność obrad. Dzisiaj jeszcze wolności parlamentarne uważane są przez specjalistów prawa konstytucyjnego za „wyższą”, „przedniejszą”, „ważniejszą” formę wolności *tout court*, niż wolność druku i wolność prasy, bo krytyka parlamentarna jest zaopatrzona w sankcję votum nieufności, a krytyka prasowa takiej sankcji nie posiada. Ale czy ten pogląd, formalnie oczywiście trafny, nie jest przestarzały? W londyńskim „Observer’ze” z 12-go września korespondent paryski zwraca uwagę, że w swej ostatniej konferencji prasowej gen. de Gaulle ostrzej atakował „uprzywilejowanie” dolara, niż „monopol” atomowy U.S.A. w łonie Organizacji Atlantyckiej. Korespondent ten twierdzi, jakoby gen de Gaulle miał powiedzieć niedawno na Radzie Ministrów: „Stany użyły bomby atomowej raz tylko, i są liczne dane, że nie użyją jej nigdy więcej, ale dolar używają codzień dla narzucenia swej hegemonii na świecie”. Niedyskrecje są w Paryżu zjawiskiem codziennym, i chętnie wierzę, że tej formuły francuski prezydent istotnie użył. Otóż można powiedzieć, że votum nieufności dla rządu przez parlament — to jest bomba atomowa, to *ultima ratio*. Że na wielu sesjach, w czasie wielu kadencji do votum nieufności nie dochodzi, to dlatego że tam gdzie tego votum nieufności nadużywano, jak we Francji, broń ta okazała się zbyt ciężką kolubryną i groziła zahamowaniem już nie tylko polityki, ale po prostu administracji i porządku publicznego. Natomiast krytyka prasowa odgrywa dzisiaj, i to WSZĘDZIE, taką rolę w obronie wolności, jaką, według de Gaulle’a ma odgrywać dolar w podmurowaniu pozycji amerykańskiej na świecie. Brak wolności prasy, czy choćby jej ograniczenia ustawowe lub faktyczne są bardziej miarodajne dla charakterystyki reżymów i rządów, niż przepisy konstytucyjne o odpowiedzialności ministrów. Autorytaryzm Franco różni się od autorytaryzmu de Gaulle’a przede wszystkim innym stosunkiem do prasy: we Francji panuje wolność prasy absolutna, dużo większa niż w Anglii, bo nie ma knebla w postaci prawa o *Libel*, natomiast w Hiszpanii cenzura jest wszechmocna, i ta właśnie

okoliczność, a nie takie czy inne uprawnienia Cortezów, nadaje dzisiejszej Hiszpanii charakter reakcyjny, czy faszystowski, podczas gdy Francja bez wątpienia nadal należy do bloku „demoliberalnego”. Prasa przejęła dzisiaj na całym świecie kompetencje i atrybucje parlamentaryzmu 19-wiecznego. Wolność prasy ma dzisiaj większe znaczenie dla obywatela, niż wybory i uprawnienia parlamentu. Poseł na Sejm jest dzisiaj osobistością dużo mniej potężną i mniej znaczącą od redaktora dobrego pisma, a coś dopiero od znakomitego publicysty, który dzisiaj, w każdym wolnym społeczeństwie, ma wpływy omal równie wielkie jak sam premier, a nieskończenie większe, niż ministrowie, generałowie czy dyplomaci, nie mówiąc o hordach pomniejszych urzędników i urzędniczek.

Dawid wobec Goliata.

Prasa znajduje się wobec rządu w każdym kraju i w każdym ustroju w pozycji Dawida wobec Goliata. Weźmy Francję: rząd francuski zatrudnia w charakterze urzędników, oficerów i żołnierzy, policjantów i funkcjonariuszy aż 1.640.000, dosłownie milion sześćset czterdzieści tysięcy osób. Poza tym państwo francuskie zatrudnia milion pracowników w przedsiębiorstwach należących do państwa (koleje, *Electricité de France*, *Gaz de France*, upaństwowione kopalnie węgla etc.). Wreszcie państwo francuskie posiada liczne udziały w wielu spółkach akcyjnych, bankach, ubezpieczeniach etc., np. *Compagnie Française des Pétroles* należy w 35 % do państwa, i td. bez końca. W państwach „socjalistycznych” prawie wszyscy są zatrudnieni przez państwo. Nawet w Anglii 40 % inwestycji pochodzi z kasy publicznej. Rozmaite reglamentacje rozszerzają zakres ingerencji państwa *ad infinitum*: np. związek prywatnych banków francuskich skarżył się ostatnio w memoriale do rządu, że przy udzielaniu każdego większego kredytu (powyżej miliona franków) rozpatrzenie sytuacji finansowej kandydata zabiera 10 % czasu potrzebnego dla opracowania odpowiedniego *dossier*, natomiast zbadanie wszystkich przepisów i rozporządzeń w danej gałęzi zabiera aż 90 % czasu i pracy kompetentnych urzędników i dyrektorów.

Niektóre działy z natury rzeczy, przynajmniej w dzisiejszym stanie techniki, nie nadają się do inicjatyw indywidualnych, a więc są specjalnie podatne dla wszelkich nacisków. Radio, telewizja są klasycznym przykładem: we Francji naciski rządowe na radio i telewizję są dużo większe, niż na prasę; coś dopiero w totalitarnych krajach „socjalistycznych”! Co prawda rozwój techniki przynosi pewne nadzieje na lepsze: już teraz wzrost zainstalowanej mocy stacyj nadawczych sprawił, że nawet w Rosji, nie mówiąc o „satelitach”, monopol radiowy przestał istnieć, a zagłuszanie mija się z celem; za kilka lat retransmisja programów telewizyjnych przy pomocy satelitów obali monopole telewizyjne także w imperium sowieckim, co notabene da nie-

porównanie większe możliwości programom zachodnim, przeznaczonym dla krajów za Żelazną Kurtyną i w ich własnych językach: człowiek jest stworzeniem bardziej wizualnym, niż słuchowym, i program telewizyjny bez porównania silniej działa się w pamięć, niż najlepszy program czysto radiowy: wpływ telewizji jest bez porównania większy, niż był czy jest wpływ jakiegokolwiek programu radiowego, i dlatego stworzenie licznej sieci KONKURENCYJNYCH stacji telewizyjnych jest absolutnym wymogiem walki o wolność słowa, prasy, o wolność w ogóle.

Prasa musi być opozycyjna.

Prasa tak dzisiaj jak i zawsze musi dawać obfite, szybkie i pełne informacje: głód informacji obiektywnej i bezstronnej jest zarówno w Polsce, jak na całym świecie, olbrzymi. Że prasa w Polsce tego prymitywnego obowiązku nie spełnia, widać choćby z olbrzymiej roli radiostacji zagranicznych w życiu polskim, przede wszystkim kolosalnej liczby słuchaczy Radia Wolnej Europy. Sam jestem stale zdumiony, kiedy spotykając ludzi z kraju zupełnie mi nieznanych, raz po raz słyszę: „A, to pan przemawia w poniedziałki i czwartki za dziesięć dziewiąta!” Z czasów wojny BBC i Voice of America zachowały przez dłuższy czas obszerne programy francuskie; siłą bezwładu i interesów pracowników programy te szły gdzieś do roku 1955 czy jeszcze dłużej, ale w końcu je skasowano, bo ich nikt nie słuchał. Liczba słuchaczy radiostacji zagranicznych jest aktem oskarżenia danego reżymowi. Gdyby w Polsce istniało minimum wolności radia, oraz uczciwości wobec czytelnika czy słuchacza, to audytorium radiostacji zagranicznych spadłoby od razu o połowę.

Poza tym prasa ma być *dialogiem* z rządem, z władzą. Inaczej nie ma sensu. Publicystyka pro-rządowa mija się z jakimkolwiek celem: ludzie popierają czy popierali rządy Churchilla, Roosevelta, de Gaulle'a, Adenauera nie dlatego, że namawiała ich do tego taka czy inna prasa, ale dlatego, że argumenty tych przywódców trafiały do ich serc czy rozumu. We Francji ludzie głosują, a może i nadal głosować będą na de Gaulle'a nie dlatego, że „broni go” p. Jean de Montalais w „Nation” (nakład 6 tys. egzemplarzy), ale dlatego, że akcja czy też przemówienia samego de Gaulle'a wywołują ich podziw czy zaufanie. Nawet poparcie tak wybitnego pisarza jak Mauriac prawdopodobnie nie zdobyło dla de Gaulle'a ani jednej kreski wyborczej, podobnie jak w Polsce „popieranie” Piłsudskiego przez Kadena, Sieroszewskiego czy Stpiczyńskiego raczej go depopularyzowało i deprecjonowało. Siłą rzeczy każdy godny tej nazwy publicysta, zaczyna krytykować własny rząd, bo tylko wtedy ma poczucie własnej użyteczności, własnej racji bytu. W Polsce przedwojennej Mackiewicz był do śmierci Piłsudskiego i odejścia Sławka tylko redaktorem i publicystą „Słowa”, a stał się *a national figure* dopiero w dniu, gdy z posta BBWR stał się czołowym i zaciętym opozycjonistą

wobec Rydza, Becka, Sławoja, Mościckiego — ówczesnych kierowników państwa i rządzącego obozu. We Francji „Le Monde”, najlepsze pismo francuskie i na świecie, było krytyczne wobec *régime d'Assemblée* przed *Treize Mai*, dzisiaj jest jeszcze bardziej krytyczne wobec Piątej Republiki, a z każdym rokiem jego poczytność i wpływy wzrastają. W Stanach Walter Lippmann był osobiście fetowany przez Kennedy'ego, który zaraz po wyborze, pierwszy udał się do niego do domu z wizytą, mimo tego ten starzec, wiedziony nieomylnym instynktem, krytycznie zapatrywał się na większość posunięć prezydenta, a dzisiaj także zajmuje stanowisko krytyczne wobec polityki Departamentu Stanu. W Anglii „Times”, tuba *Establishment*, rodzaj „Figaro” (oba te pisma „bez jaj” są bliskimi kuzynami naszego śp. „Kurjera Warszawskiego”) podupadł zupełnie, prawie nikt go nie czyta, i nikt się z nim nie liczy, a „Financial Times”, który miał i ma odwagę stałego krytykowania rządów konserwatywnych i partii Torysów, stał się *leaderem* nie tylko City ale i całej światłej opinii ekonomicznej w Anglii. W tymże kraju krytyczny „Observer” zdobył sobie większą pozycję, niż bardziej układny „Guardian”, a silnie opozycyjny Rhees-Mogg wybił się w ciągu dwóch lat na czoło młodszej generacji publicystów. Wracając do Polski, Matuszewski więcej sobie zdobył autorytetu i miru przez rok walki z rządem w „Gazecie Polskiej”, niż przez mnożenie Bóg wie ilu dostojenstw i honorów w ciągu poprzednich dziesięciu lat. Ba, nawet w Rosji tylko sprofilowani publicyści, którzy nic sobie nie robili z oficjalnej linii, jak Hercen czy Katkow, potrafili wpłynąć na opinię, i nawet na carów.

Cztery warunki by być wielkim publicystą.

Wielki publicysta musi mieć przede wszystkim talent, potem trybunę, czyli niezależność, potem temperament, wreszcie odwagę. Tak zwana stałość poglądów jest nonsensem: tylko idioci nie zmieniają zdania. Jeszcze głupsze jest kratkowanie „światopoglądów” czy „ideologii”: iluż znam dziennikarzy na emigracji, którzy często piszą plus minus to samo co ja, ale ponieważ piszą to nudno, nieudolnie, niezdarne, głupawo, tylko mnie drażnią i irytują. Ze St. Mackiewiczem nie zgadzałem się i nadal się nie zgadzam właściwie nigdy, co w niczym nie umniejsza mego podziwu dla jego talentu, dla jego odwagi i jego temperamentu.

Oto kilka, pierwszych z brzegu, różnic „ideologicznych” (w terminologii bęcwaków) między nim a mną. Mackiewicz, jak olbrzymia większość Polaków, ze wszystkimi prawie polskimi pseudo-marksistami włącznie, należy do szkoły Nietzscheańskiej, do szkoły, która wierzy w przemożny i zbawienny wpływ tak zwanych wielkich ludzi, postaci „historycznych”, która ponadto głosi stale *politique d'abond*, wierzy w „rację stanu”, w „dyplomację”, jakby w jakiś tajny eliksir, który jest funkcją „idej”,

rodzi się w mózgu „geniuszów”, jak Minerwa w głowie Jowisza etc. Oczywiście wszyscy zwolennicy kultu herosów są pozornie skłóceni, bo jedni będą wierzyć w geniusz Roosevelta, inni de Gaulle’a, inni Lenina, tak samo jak nacjonaliści, rasiści i faszysty też muszą się zawsze żreć między sobą, bo każdy wyznaje zasadę: „Kali zrobić — dobrze, Kalemu zrobić — źle!”. De Gaulle wołał 14 stycznia 1963, że Anglia nie może dostać się do Wspólnego Rynku póki nie zaakceptuje Traktatu Rzymskiego. *TOUT le Traité*, a 9 września 1965 nagle sam odkrył, że w tymże traktacie przepisy o kompetencjach Komisji Brukselskiej i głosowaniu większościowym są *des mythes abusifs*. W najlepszym razie po rządach każdego Wielkiego Człowieka przychodzi niezdarny następca, jak np. Shastri po Nehru, czy Rydz po Piłsudskim.

Wszystkie etykiety są w gruncie rzeczy bez sensu. Jestem dużo bliższy „socjalizmu” niż Mackiewicz, bo jestem przeświadczony, że o potęgę państw decyduje wyłącznie dobrobyt, bogactwo, stopa życiowa obywateli, a prestiżowe fanfreluski mi są zupełnie obojętne. Natomiast Mackiewicz, tak samo zresztą jak i jego brat, jak Józef Czapski i wielu innych, są znacznie bliżsi obecnej Polski, niż ja, w tym sensie, że są ludźmi głęboko przeoranymi kulturą rosyjską: a wszelki „filizm” bez przesiąknięcia daną kulturą, bez ukochania, jest tylko płytkim i powierzchownym lakierem, bez żadnych cech trwałości. Wyznaję krakowską, stańczykowską doktrynę, że Rosja — to jest Wschód, a Wschód — to Barbaria, a Barbaria jest wrogiem Numer Jeden i nic wspólnego z nią mieć nie można i nie trzeba. Pamiętam, jak na pierwszym seminarium Adama Krzyżanowskiego, gdy nowym słuchaczom rozdawał tematy do prac seminaryjnych, zaproponowałem mu opracowanie o handlu polsko-sowieckim. Krzyżanowski, który widział mnie pierwszy raz w życiu, spojrzał na mnie z prawdziwym osłupieniem: „Panie, zawołał, kogo handel z tymi barbarzyńcami może interesować, dla cywilizowanego kraju handel z ludożercami czy z Rosją, to to samo”. A St. Mackiewicz kocha Dostojewskiego i zna Tiutczewa na pamięć. Gdyby mnie zapytano, z przedstawicielami jakiego narodu Mackiewicz mógłby nawiązać naprawdę serdeczne stosunki, wymieniałbym w pierwszym rzędzie Rosjan, a w drugim Francuzów (być może też Litwinów, ale tych naszych braci niestety znam za mało). Ale nie znam ani jednego Niemca, który mógłby w Mackiewiczu gustować czy choćby go brać na serio. Tak samo zresztą, jak i Studnickiego. Ten rezoner i pryncypialista nadawał się na interlokutora pewnych kół inteligenckich rosyjskich, ale gdy Goebels kazał go zamknąć w domu wariatów, myślę, że przemawiał przez niego nie tylko sadyzm czy nienawiść do Polaków, ale że w tym wypadku był nawet szczerzy, powiedział sobie: „Ten śmieszny staruszek — to wariat!”

Żaden wielki mąż stanu nie nadaje się do szufladki, do etykiety, do kategorii. Każdy z nich jest sobą, bo żeby być mężem stanu trzeba być *indywidualnością*. Tak samo z publicystami a także z wielkimi pisarzami. Każdy z nich musi wywoływać wię-

cej oporów i niechęci, niż sympatyj. Publicysta ma dawać pewien szok opinii. *Les bien-pensants* są zupełnie zbędni w publicystyce. Mogą być dobrymi technikami gazetowymi, mogą być — dużo rzadziej — niezłymi urzędnikami prasowymi. Rubel — by wymienić na chybił-trafił pierwsze z brzegu nazwisko — był porządnym człowiekiem, był przed wojną dobrym łamaczem numeru, był układny, gorliwy, wszyscy jego kolejni pracodawcy, poczynając od Dąbrowskiego czy Eug. Kwiatkowskiego zawsze jego lojalność chwalili, ale jako publicysta był katastrofą: zamazywał papier i nikomu nie zdobył jednego zwolennika.

Nagonka na Mackiewicza.

Gdyby obecne próby reżymu zaszczucia i zniszczenia St. Mackiewicza był tylko przejawem znanego obskurantyzmu komunistów, można by się tym nie przejmować. Rządy komunistyczne nie tylko w Polsce, ale w całym bloku wschodnim są skazane na zagładę. Gdy Mahomet obiecywał swym wyznawcom hurysy w niebie, to wiara w Mahometa mogła przetrwać po dziś dzień, ale gdy się te hurysy obiecuje na ziemi, to w końcu nawet najgłupszy musią przejrzeć. Komunizm utrzyma się jako ruch rasowy narodów i kontynentów upośledzonych, zapewne pod egidą Chin: Rosja się zapewne stanie despotią czynowniczą bez żadnej „ideologii”, a jej satelici znajdą się tak czy owak w orbicie Środkowej Europy, bo geografia jest zawsze silniejsza od ideologii, a także od samej siły wojskowej. Obecny reżym w Polsce znajduje się na nizinach życia umysłowego: sam Gomułka jest przede wszystkim człowiekiem przerażająco głupim, a więc reżym taki MUSI z konieczności nienawidzić życia umysłowego, pisarzy, intelektualistów. Reżym tak wyprany z inteligencji i kultury, jak reżym obecny, nie będzie nigdy w stanie zrozumieć, że dla samych rządów wolność prasy jest potężnym wentylem bezpieczeństwa: po śmierci de Gaulle’a kryzys polityczny we Francji będzie mniej niebezpieczny, niż kryzys po śmierci Franco dla Hiszpanii. Przy wolności prasy obecny reżym w Polsce, w gruncie rzeczy urzędniczy, mógłby się dłużej utrzymać. Cenzura uniemożliwia Gomułce i Cyrankiewiczowi zdawanie sobie sprawy z niezbędnych korektur, nawet tych które są w interesie reżymu; cenzura nie daje żadnego wentyla nastrojom opozycyjnym. Przeczytanie mocnego artykułu opozycyjnego daje wielu jakby rozgrzeszenie z codziennego oportunistu: widzę to codzień w Paryżu, gdzie nie tylko urzędnicy, ale policjanci w mundurach czytają otwarcie w autobusie lub w metrze najbardziej namiętne periodyki antygaullistowskie, „Minute” i „Canard Enchaîné”, i tym we własnych oczach ekskuzują siebie z wielu kompromisów z sumieniem czy choćby zdrowym rozsądkiem.

Nagonka na St. Mackiewicza płynie jednak nie tylko z głupoty i złej woli reżymu. Z innych źródeł najważniejszym wydaje

mi się głębokie *zurządniczenie* polskiej inteligencji. Już przed wojną ideał urzędniczy przesłonił inne, szlachetniejsze ambicje. Już przed wojną Polak był nie tylko urzędnikiem, ale *marzył* o karierze urzędniczej. Zacytuję tu przykład, który mi utkwiał w pamięci. Niedawno zmarłego śp. Adama Romera poznałem w pałacu Rady Ministrów, gdy w 1924 r. urzędował przy Grabskim a raczej przy Kauziku, który był szarą eminencją ówczesnego premiera i ministra skarbu. Potem Romera spławiono i 15 lat żył z dziennikarstwa, i to w opozycji. Nie był to wielki dziennikarz, i nie był to bojowy opozycjonista, ale był zawsze Sikorszczykiem i sanatorzy, a już specjalnie Beck, może go nie prześladowali, ale sekowali. W czasie wojny Romer znowu stał się szefem biura prezydialnego premiera, co było zresztą godnością czysto honoraryczną, nie tylko ze względu na warunki emigracyjne — bo cóż to była za władza? — ale także wobec faktu, że istotnym szefem gabinetu Sikorskiego był od początku do końca Retinger. Zdawałoby się, że po 15 latach chlebka opozycyjnego dziennikarza, Romer powinien był poczuwać się do jakiejś solidarności z publicystami. Ale gdzież tam! Pamiętam jak chodził po wszystkich Strattonach, krzycząc — bo głos miał z natury strasznie krzykliwy i donośny — że „Mackiewicz to warchoł”. Ledwo dostał tę posadkę urzędniczą, a już dla niego każda opozycja stała się po prostu „warcholstwem”. Po odejściu Sikorskiego inni dziennikarze, którzy dochrapali się skartabellatu urzędniczego, mówili to samo o Romerze: „Romer — to warchoł”. Otóż i w Warszawie jest dużo ludzi, którzy nawet nie lubią reżymu, ale jednak uważają, że w krytyce ministrów, coś dopiero samego Gomułki, jest coś gorszącego, coś nienaturalnego, coś przeciwnego ustalonemu porządkowi świata — tak jak mój ojciec uważał za rzecz gorszącą, by jego syn, urodzony na Ukrainie, mógł barszczu nie lubić. Pamiętam, jak przed wojną, 8 września 1935, to znaczy w dniu wyborów do Sejmu, spotkałem na ulicy Łychowskiego, który był wówczas jakimś urzędniczyną w Ministerstwie Skarbu. Jak wszyscy porządni ludzie oczywiście nie poszedłem głosować na tę straszną ordynację Sławkowską. Ale zapytałem się Łychowskiego: „A pan skąd wraca?” Łychowski na to z całą powagą i namaszczeniem: „Właśnie spełniłem obowiązek *obywatelski*”. Nic się nie zdziwiłem, że znowu po wojnie załapał jakieś dygnitarstwa. I niestety, nie tylko reżym, ale wszystkie kolejne rządy myślały i myślą, że rozdając takim ludziom posady, znajdują oparcie w kraju i stwarzają obóz polityczny.

Poza tym grają i inne momenty. Nie znam społeczeństwa bardziej przeżartego zazdrością, jak polskie. Pomijam szalenie wzrastającą zazdrość o uposażenie, o dochody: w społeczeństwie tak wynędzniałym, jak nasze, tak bezgranicznie i upodlająco ubogim, to jest nieuniknione, to jest zrozumiałe. Ale zadziwia mnie ta zazdrość wobec każdego talentu. We Francji nienawiści są stokroć gwałtowniejsze niż u nas, bo Francuzi są narodem mściwym i okrutnym, ale nienawiść i mściwość nie zaślepiają: La-

wała nikt nigdy za głupiego nie uważał, i skazano go na śmierć nie dlatego, że był głupi, ale dlatego że był człowiekiem wielkich zdolności. Mauriac ma miliony wrogów, czemu się nikt nie dziwi, uchodzi słusznie za Tartuffe'a, ale znowuż nikt nie neguje jego talentów. A w Polsce i na emigracji pełno mamy malutkich kryzypiórków, którzy szczerze uważają siebie za ludzi utalentowanych. By nie mówić o tych, którzy nadal „zasilają” łamy prasy emigracyjnej, wspomnę kilka takich figur z dawniejszych czasów: taki Strumph-Wojtkiewicz, nicość zupełna, naprawdę uważał siebie za wybitnego człowieka, taki Dunin-Kępcicz — to samo, taki Wrzoś ditto, i setki, tysiące innych. Pamiętam jedną urzędniczo-dziennikarską miernotę, której nazwiska przez litość dla jego potomstwa nie wymienię, który mnie w czasie wojny zagabnął: „Czytał pan, jak przejechałem się po Mackiewiczu?”. „Czytałem, odparłem, i doprawdy nie mogę się nadziwić pańskiemu tupetowi, pan nawet nie jest kapralem, a ciska się pan na generała broni!” Ten się nawet nie obraził, tylko wytrzeszczał oczy i rzekł: „Panie, co też pan wygaduje, przecie umieściłem X artykułów w prasie angielskiej, nawet „Times” wydrukował mój list, miałem tyle to a tyle odczytów...” Polska uznawała dawniej hierarchię rodów i herbów, dzisiaj uznaje hierarchię gwiazdek wojskowych, rang urzędniczych, choćby przedpotopowych, od biedy tytuły profesorskie czy pozycje w sitwach i kanapach, zwanych obozami partyjnymi. Ale dla publicysty, zwłaszcza niezależnego, dzisiejszy inteligent polski ma tylko lekceważenie, a kolega-dziennikarz tylko zazdrość.

Trudno: żadna opera nie stoi chórem, ani administratorem, ani kierownikiem sprzedaży biletów czy programów: stoi gwiazdami, stoi Marią Callas, czy Renatą Tebaldi, czy Elżbietą Schwarzkopf i td. Nie ma gwiazdy — jest kłapa. Paryska opera decyduje się wreszcie na sprowadzenie Callas, i przez miesiąc wszystkie bilety, o 100 % droższe od normalnych, są wysprzedane. Dyrektor Metropolitan wypędza Callas, może i słusznie, bo nie ma ona słodkiego charakteru, i popularność Metropolitan spada na łeb na szyję. Von Karajan kłóci się z dyrektorem Opery w Wiedniu, żąda dymisji tego dyrektora, dyrektora departamentu teatrów w ministerstwie oświaty, wreszcie samego ministra, i wszystkich wylewają, rząd ryzykuje kryzys gabinetowy, byle tego wielkiego dyrygenta nie stracić, bo rozumie, iż opera wiedeńska bez Karajana, to tancbuda z Ryczywołu. Tak samo każdy skrzypek rozumie, że bez wielkiego kapelmistrza nie ma dobrej orkiestry. A u nas nie tylko rządy, nie tylko dygnitarze, ale co gorsza sami współpracownicy, sami redaktorzy, sami wydawcy głęboko wierzą, że można ujechać każdą mizerotą, każdym beztalenciem. Biorą ludzi, którzy położyli po dwa, po trzy pisma, których brak zdolności został stokrotnie stwierdzony. A Mackiewiczą będą się bali. Liczą na bierność czytelnika polskiego. Że wszystko przełknie. Liczą, że czytelnicy są przywiązani do szyldu pisma, a nie do jego treści i poziomu, że *à cette enseigne* każdy zakalec klienta potulnie połknie i jeszcze będzie rozpyływać się w po-

dziękowaniach. Wydawca jednego z tygodników emigracyjnych, który piastuje to samo stanowisko od 40 lat, bożył się przede mną, że gdyby sam Mickiewicz zaczął pisywać do jego pisma, to by nakład nie drgnął w górę choćby o 10 egzemplarzy. I co gorsze, ten augur zdaje się głęboko wierzyć w te brechty. Gdy tak mówią rzekome asy, to jak się dziwić, że płotki dziennikarskie za nic nie chcą uznać jakiegokolwiek hierarchii dziennikarskiej, z uporem twierdząc, że byle cymbał i nudziarz wystarcza zupełnie. I że w rezultacie taki Mackiewicz nie ma trybuny, i nie miał jej także na emigracji, a natomiast elewów jakiegoś Budkiewicza, kreatora prasy Czerwonej, kokietuje się i hołubi. By nie powtarzać wiecznie tych samych nazwisk: pomyśleć, że ktoś jeszcze dzisiaj angażuje Hrabyska! że w Polsce taki Drohojewski może wydawać książki! że wypracowania Smogorzewskiego jakieś biura jeszcze uważają za „pozytywną propagandę”!

Mackiewicz a Augstein.

Groźby reżymu pod adresem Mackiewicza są dokładnym odbiciem „afery Spiegla”, oczywiście na polską a nie niemiecką skalę, to znaczy są ewenementem lokalnym i prowincjonalnym, i nie mają rezonansu światowego, bo ten rezonans jest przywilejem — często *odiosum* — wielkich mocarstw, Augstein jest takim niemieckim Mackiewiczem, to znaczy jest *Einzelgaenger*. Jego „światopogląd” jest mi wyjątkowo antypatyczny. Podskórnie Augstein jest namiętnie antykatolicki — skąd jego dzika, chorobliwa nienawiść do Adenauera i do Straussa — jest namiętnie antyfrancuski i jest po cichu rusofilem: marzy o Rapallo. Bardzo przypomina polskich rusofilów: ich rusofilizm wynika z kompleksu niższości wobec Niemców, a u Augsteina wynika z kompleksu niższości wobec Francuzów. „Ci będą zawsze się uważać za coś lepszego, o oczko wyżej” wywodzi Augstein, „wobec Francji zawsze nam grozi i grozić będzie satelictwo, więc grajmy na Rosję, bo ta jest od nas słabsza i głupsza, i w końcu to nie wilk nas poniesie, ale my poniesiemy wilka”. Teorie polityczne Augsteina i jego elewów w FDP, jak Dehlera i wielu innych, są dla nas w najwyższym stopniu niebezpieczne.

Przeciw Augsteinowi i Spiegelowi minister obrony Strauss próbował wytoczyć proces. Dowody „winy” redakcji „Spiegel” okazały się pozorne, i w rezultacie Strauss wyleciał z rządu, a cała kariera tego zdolnego polityka stanęła pod znakiem zapytania. Strauss palnął głupstwo, i srodze za to zapłacił, i pewno dalej płacić będzie: po ostatnim pobycie w Niemczech doszedłem do wniosku, że nowa teka dla Straussa jest wątpliwa, a w jego ewentualne przyszłe kanclerstwo nie wierzę zupełnie. Dlaczego Strauss poszedł na tę rozgrywkę z Augsteinem, a więc z wolnością prasy? Myślę, że zrobił to z poduszczenia kół oficerskich: „Der Spiegel” z całą pasją zaczął się zajmować stosunkami wewnętrznymi w Bundeswehrze, wychodząc z założenia, że gdy cho-

dzi o „obronę państwa” nie ma żadnego tabu, żadnej racji stanu, żadnej tajemnicy wojskowej, że opinia ma takie samo prawo wiedzieć, co się w wojsku dzieje, i na to wpływać, jak np. gdy chodzi o ministerstwo poczt i telegrafów. Nie tylko w Polsce dzisiejszej, ale i przedwojennej, „Der Spiegel” byłby z miejsca skonfiskowany, a Augstein by powędrował do Berezy, a raczej byłby powieszony, jako „szpieg”, lub co najmniej zamordowany przez „nieznanych sprawców”.

Tym niemniej uważam, że Augstein oddał NRF i sprawie demokracji niemieckiej wielką przysługę. Ci co mają władzę, jeżeli nie mają swej pozycji nadużywać, muszą kogoś się bać: dzisiaj, kiedy na całym świecie większości parlamentarne są za nadto zdyscyplinowane, tym biczem dla urzędników, dla dygnitarzy, dla sztabów w partyjnych i sztabów wojskowych musi być prasa. Przed aferą „Spiegla” prasa w Niemczech była zbyt dobrze wychowana, zbyt salonowa. Augstein dowiódł, że prasa może też dać po łbie, gdy się z nią zadziera. Afera „Spiegla” jest analogią do sprawy Dreyfusa. W obu wypadkach hałas był niewspółmierny do przyczyny. W obu wypadkach pogładowa lekcja dla amatorów cenzury i kneblowania opinii poskutkowała.

Analogia Mackiewicz-Augstein idzie dalej. Do czasu „afery” „Der Spiegel” był tygodnikiem, jak wiele innych. Teraz z cieniego kajetu „Der Spiegel” stał się tomikiem o 150 stronicach, poczytność jego wzrosła astronomicznie, Augstein stał się potentatem politycznym i finansowym. Podobnie jak bumerangiem okazały się represje Chruszczowa na autora „Dra Żiwago”: dzięki Chruszczowowi słaba literacko książka zdobyła Nobla, a Pasternak zyskał sławę światową. Nie tylko małe pionki, jak Gomułka czy Cyrankiewicz, ale i ludzie wybitni wojny z prasą, z wielkimi publicystami, zawsze przegrywają. Piłsudski też nie wygrał wojny z Nowaczyńskim ani ze Strońskim, a z Dmowskim przegrał ją z kretesem: dzisiaj sami Piłsudczycy robią z niego prekursora linii Odry, o której Piłsudski nigdy nie napisał i nie powiedział ani jednego słowa.

Do czasu ostatnich pogrózek i prześladowań, powrót Mackiewicza do Polski był oczywiście interesem grubo przegranym. Nie miał trybuny, był niewolnikiem, nie mógł się wypowiadać, młode pokolenie już go nie pamiętało, nawet starsi zapomnieli o jego wielkim talencie, i jego wielkiej odwadze. Spadł do poziomu omal seryjnego literata. Rzucając się na niego, grożąc procesem, próbując zamorzyć go głodem i nędzą, rząd mu oddał największą usługę: całą przepaść, jaka dzieli go od ludzi, którzy wrócili do Warszawy do pierzyny i posady, ujawniła się jaskrawo nawet najgłupszym. W dzisiejszej Polsce Mackiewicz nie może wygrać żadnej batalii, z wyjątkiem jednej: bitwy o wolność prasy. I właśnie tacy ludzie jak Gomułka, Starewicz, Kliszko i im podobni, dali mu jedyną okazję odbicia się w opinii krajowej, emigracyjnej i na całym świecie. „Le Monde”, który Mackiewicza absolutnie ignorował, cytując obficie jakichś karzełków PZPRu, teraz proklamuje: *Monsieur Mackiewicz est universellement re-*

connu comme l'un des plus brillant écrivains polonais. Reżym sobie hoduje swego Pasternaka.

Cenzura i cenzorzy.

Każda akcja sprowadza się do ustalenia *priorytetów*, bo kto pragnie wszystko załatwić i na wszystkich polach mieć sukcesy, ten kończy klęską. Jakie miejsce znajduje w walce o wolność w Polsce sprawa wolności prasy, i jej najważniejszy odcinek, który mnie najbardziej, jeżeli nie wyłącznie, interesuje — to znaczy wolność publicystów? Bardzo wysokie, ale nie pierwsze. Pierwsze miejsce musi zawsze zajmować wymiar sprawiedliwości, walka z terrorem, bezlitosne tępienie każdego policjanta, prokuratora i urzędnika, który znęca się nad więźniami. Gdy czytalem w ostatnim numerze „Kultury” świetne opracowanie Jugosławianina Mihajlova, ciarki mi przechodziły przez plecy: póki nie będzie przykładnego ukarania torturowiczów, a zwłaszcza wszystkich tych, którzy podobne bezeceństwa nakazywali, czyli wszystkich Bermanów, Radkiewiczów etc., póty tylko bohaterzy, tylko ludzie nieustraszeni mogą pisywać i krytykować. Pierwszy więc warunek wolności prasy, to skasowanie samego pojęcia przestępstwa prasowego: dialogu z prasą, z piszącymi nie wolno prowadzić prokuratorom, ani sędziom, ani policji, a cenzura musi być zniesiona. Żadnych tabu, żadnej „racji stanu”, żadnych tajemnic „państwowych”, bo tych tajemnic nie ma: dzisiaj politykę wszyscy prowadzą *sur la place publique*. Tak samo trzeba skończyć z „debitem”, który jest monstrualnością, oraz z zakazami pisywania do prasy zagranicznej, a cóż dopiero emigracyjnej. Znam osobiście wybitnych Żydów polskich w Anglii, (nie mówię o grafomanach i hebesach), którzy szczerzą się tym, że pisują dla radia niemieckiego, i Żydzi wymieniają z dumą i cmokaniem ich nazwiska, a w Polsce napisanie artykułu dla „Kultury” ma być zbrodnią? Więc pan Philippe Ben może robić dla „Monde’u” wywiad z Adenauerem, i w Warszawie mu czapkują, a p. Mackiewicz nie ma prawa napisania kilku słów o literatach czy korupcji w Polsce dla „Kultury”? Co to za logika, i jak można takie duractwa brać na serio?

Wolność prasy jest formą bogactwa, formą mało wymierną, ale równie istotną, jak dobry teatr, czy dobra opera, czy wielka sztuka, czy wielka literatura etc. Kraj, który ma cenzurę, jest zawsze krajem duchowo ubogim. W Hiszpanii odczuwa się to od razu: od gazety hiszpańskiej bije nuda. Konformizm zabija prasę. Nie jestem w stanie czytać polskiej prasy krajowej, nie mówiąc o prasie sowieckiej. Nie tylko prasy komunistycznej, ale i każdej innej: Kisielewski ma talent, pani Starowieyska-Morstinowa, którą znam z młodych lat, jest zacności osobą, ale każdy czuje, że współpracownicy „Tygodnika Powszechnego” piszą nie dla siebie, nie dla czytelnika, ale dla cenzora. Więc ględzą. Bez dobrej, bojowej prasy cały poziom umysłowy obniża się. Nie

mogę żyć bez „Monde'u”. A nigdy nie spotkałem nikogo z kraju, kto by mi powiedział, że tęskni do „Trybuny Ludu”.

Presja cenzury oficjalnej, nie mówiąc o groźbach procesu czy więzienia, jest oczywiście najgorsza. Ale poza tym Polska stosuje — niestety nie po raz pierwszy — presję pośrednią ale omal równie skuteczną w kraju, w którym wszystko jest znacjonalizowane i gdzie panuje przerażająca bieda, potworne ubóstwo, mianowicie grozi niesfornym śmiercią głodową. Krnąbrnym nie dają zarobić. Nie dają pisać. Nie dają wydawać książek. Nie dają paszportu ani dewiz na wyjazd zagranicą, który jest koniecznością psychiczną dla każdego dziennikarza, nie tylko w Polsce, ale na całym świecie: ja np. mieszkając we Francji, mając całą prasę całego świata w każdym kiosku, zaczynam cierpieć na klaustrofobię, jeżeli co najmniej co trzy miesiące nie zwiedzę kilku innych krajów. Dzisiaj pojedyncze kraje są parafią, są zaściankiem. Dopiero przez porównania, przez podróże można wyczuć tętno świata i trafnie, uczciwie, informować Kraj o tym, co się na świecie dzieje.

I wreszcie jest kwestia cenzury redaktorów. Ta jest o tyle najgorsza, że może istnieć w najlepsze nawet w najliberalniejszym państwie. A jednak jest ona dla publicysty równie groźna, równie wyjąłkująca, co cenzura rządowa. Pomiędzy intelektem, kulturą umysłową i moralnością pp. Giedroycia czy Grydzewskiego, a Gomułki i Starewicza istnieje oczywiście niezmierna przepaść, ale nawet cenzura tych dwóch redaktorów jest zabójcza dla stylu, dla treści, dla kompozycji, dla szwungu pisarskiego i dla poczucia odpowiedzialności ich współpracowników. Dlatego żadnemu dyrektorowi „Zachęty” nie przyjdzie do głowy powiedzieć Czap-skiemu: „Niech pan tu domaluje różę, a kolor stolika zamieni na zielony”, a prawie każdy redaktor współczesny bezceremonialnie przejeżdża się po tekstach autorskich, skraca, przerabia, zamienia, dodaje, poprawia, jednym słowem wyżywa swe instynkty belferskie? Te prace zbiorowe są zawsze drewniane, a więc nigdy nie trafiają do czytelnika. Nikt wypracowań szkolnych nie czyta dla przyjemności. A mimowoli, gdy istnieje cenzura redakcyjna, nieszczęsny współpracownik, choćby kalibru Mackiewicza, zaczyna odwalać klasówkę.

Czy biedny a tak utalentowany Mackiewicz potrafi się kiedyś wyrwać z obcęgów cenzury Starewicza i Motyki, a potem także Piaseckiego czy Przetakiewicza? Stać się polskim Augsteinem? Niestety, takie rzeczy mogą dziać się w „faszystowskich” Niemczech, ale chyba nie w „demokratycznej” i „ludowej” Polsce.

W. A. ZBYSZEWSKI

Zapiski bywalca

(CZĘŚĆ DRUGA, W KTÓREJ POWIEDZIAŁEM SPORO,
CHOĆ MOGŁEM POWIEDZIEĆ SPORZEJ)

*Trumienko, trumienko,
Cóżeś Ty za Pani!*

Jest upalny, tutejszy dzień, siedzę na schodach naszego Magistratu i myślę o Zmarłej.

Owa Zmarła miała idealną Mamę, do tego stopnia idealną, że wybijała się ona ponad inne tutejsze Mamy. Była czuła, roztropna, miała talent społeczny, organizacyjną wiedzę, a wśród encyklopedii uczuć górowała miłość rodzicielska. Zgodnie z regułami przyrody.

Tak więc, gdy mówiono że o Córkę ubiegał się były skarbnik odnalezionnej na emigracji partii endeków (Bóg wie po co odnalezionnej), to właściwie ubiegał się on o Mamę, gdy mój kolega, a z czasem przyjaciel, szedł ze Zmarłą do kina, to szedł on naprawdę z Mamą, a na wszelkich jubileuszach i polonijnych balach, gdy Zmarła brylowała niby Cyndarella, że oczu nie mogłem od niej oderwać, ludzie szeptali w roztargnieniu: — Patrzcie, patrzcie, jak ta Mama pięknie tańczy!

Mój przyjaciel, który wtedy jeszcze nie był moim przyjacielem, gdyż go nie znałem, pracował bardzo wydajnie na polu społecznym i to chyba zbliżyło go do Zmarłej i jej Mamy. Poznałem go w domu państwa S. potem, gdy już przestał on udzielać się organizacyjnie i to go chyba zgubiło, gdyż Mama straciła dla niego szacunek, a Zmarła uczucia. Całe szczęście, że w domu państwa S. spotkał on inną, Żywą i bez Mamy, i jeżeli się nie mylę, są dziś zgranym małżeństwem, do tego ślubnym. Tubylcy

na ten szczegół nie zwracają tu uwagi, natomiast emigracja, tak. Ślub i to kościelny!

Żona mojego nowego znajomego zaprzętnęła się szybko wokół męża, ukróciła jego kawalerskie swobody i zwyczaje, a położyła akcent na życie rodzinne, ustatkowane, domowe, w promieniu kuchni i w zasięgu jej czujnych oczu, tak że gdym poznał ją, mój przyjaciel był już całkiem inną osobą i tylko przy wódce wyskakiwały z jego pamięci kawalerskie epizody, jak amoro-we strzały z napiętej cięciwy.

Jest godzina obiadowa i wiele ludzi przysiada tak jak ja, na schodach magistrackich. Tutaj się je „lancze”, karmi gołębie i obserwuje miasto.

Ulica w prawo, ulica w lewo, ta przede mną biegnie prosto do jeziora, a tamta w górę miasta i nawet dalej — w świat. Mówią, że jest to najdłuższa ulica na tym kontynencie i że uczeni wyprowadzają ją z Bieguna Północnego. Przypuszczam, że nasi uczeni, gdyż inni nie mieliby po temu powodu. Myślę, że przy tego rodzaju stopniowaniu, zachodzi inny jeszcze uboczny moment, który drobnej przystawce 'naj' nadaje tak fascynujące znaczenie. Przy długiej ulicy musi być druga, krótka o lilipucim wyglądzie i jej to krótkość wyolbrzymia dopiero rozmiar tamtej.

Moja ciotka mówiła o mnie, że byłem cudownym dzieckiem, a potem najmądrzejszym chłopcem, mogłem, idąc tak dalej, stać się z czasem genialnym człowiekiem, gdyby — niestety — moja ciotka nie zmarła przedwcześnie, a nikt już po niej nie interesował się moją osobą do tego stopnia. Wychowywałem się — naturalnie — z bratem, który płatał ciotce figle i dręczył ją bezlitośnie, nic więc dziwnego, że ja pokorny i cichy, wyrastałem w jej oczach na rodzinnego Napoleona.

Więc ulica w prawo, ulica w lewo, a Zmarła leży tam sobie, sama już, znieruchomiła, zamknięta i uporządkowana, w kwiatkach, w czystości, piękna ostatnią ziemską pięknnością. Widzę jej drobne usta przesyccone do nieprzytomności różem, jej nosek pod pudrową zamięcią, rzęsy jak pawie ogony z hebanu i policzki, domagające się nawet tu, w obliczu wieczności, frywolnych pieśszot. Niestety, innych części ciała tutejsze Domy Pogrzebowe nie wystawiają na pokaz, a szkoda. Przypuszczam jednak, że z czasem i to się zmieni. Tutejsze Zakłady są bardzo postępowe i przedsiębiorcze, tyle tylko że na ogół umierają ludzie w starszym wieku, a nie tancerki i baletnice, choć sztuka balsamowania robi ogromne postępy. Z czasem myślę że nawet staruszki osiemnastowieczne, umierając, będą w stanie przedzierzgnąć się w dzierlatki osiemnastowieczne, co naturalnie będzie powodem do festynów i uciech, a nie wylewania łez.

Za miastem kończą się domy, a nasza najdłuższa ulica wchodzi w dzicz i bezludzie.

Przedemną piesi, na wyrywki, przebiegają ulicę tu i tam; idą schodami w górę i schodami w dół, znikają w nieproporcjonalnie wysokich salach, które znam na pamięć, a ja widzę tylko Dom Pogrzebowy, jego luksus, wyszukaną ciszę i sztukę. Mięko wyłożone korytarze, komfortowe sale, kwiaty, kolorowe ogarki z dyskretnymi płomykami, kaplice po których przechodzi się syta śmierć. Nie ta, którą widziałem pod Falaise, pod Arnhem, na zimnych upłazach Norwegii, w drodze do Narwiku, gdzie człowiek zanim umarł, musiał grzebać się w błocie, w bólu i własnej krwi, przechodzić kwarantanny powolnego konania i zasypiać w podbiegunowej ziemi.

A są jeszcze inne: syberyjska, katyńska, w łagrach, w więzieniach, w komorach gazowych! Tak, tamta śmierć i ta, nad którą dziś czuwa opiekuńczy dolar. Jakże musi być miło umierać wygodnie, czysto, na wolności. Leżeć potem w jedwabnej bieli, na miękkich poduszkach, z różańcem w dłoni, z orderami na piersi i czekać aż żywi uporają się z ostatnim ceremoniałem, a potem już iść i iść szpalerami, gdzie aniołowie skinięciem pióra wyznaczają kierunek, spokojni jak szwajcarscy strażnicy przy bramach Watykanu.

Daleko na północy jest zatoka Hudsonska, od której zajeżdżają do nas często ołowiane chmury i leje deszcz, jakby w powietrzu zainstalowano mechaniczne pompy. Ale nie potrzeba aż tak daleko sięgać po mokrą kąpiel. Wystarczy spojrzeć na jezioro. Ładne niby, użyteczne, służące za port i przystań, gdy jednak przyjrzeć mu się bliżej, to paruje i cuchnie niszczyielską wilgocią. Osiada na płucach, w gardle, na wątrobie, w nerkach i innych częściach naszego ciała. Prawdziwa wilgotna żmija na piersi miasta, którym też nie ma co się chwalić. Ot, długie, płaskie i przyziemne. Na dobrą sprawę duża, europejska wieś z opryskliwie rzucającymi się w oczy szczegółami miasta: strażacką remizą, kościołem o banalnej konstrukcji, bankiem z solidnego marmuru, no i nie widać w śródmieściu krów. Mleko wyrabiają tu maszyny, jak w Rosji pomarańcze. Architektura natomiast, pożał się Boże, istna wieża Babel i jak w biblii w permanentym chaosie. A ludzie, a my sami — o tym potem!

Ktoś mógłby mieć zastrzeżenia, nie zgodzić się z moimi słowami — wolno mu. Zwłaszcza powojenni neofici, łowcy nie tylko dolara, gdyż ten nie zawsze leży na ulicy, ale tutejszych reumatyzmów, gruźlicy, ataków serca, astmy, zawodowi optymiści, dobrokiewicze i nuworysze. Ale ci nie wezmą pióra do ręki, pierwsi są zbyt chorzy, drudzy niepiśmienni. Tajemnica władania sło-

wem na piśmie jest dla nich obca, władają natomiast dolarami, zjawiają się przy tym i znikają, jak karty w rękach magika: gdy czegoś od Polonii chcą — są wtedy, gdy Polonia ich potrzebuje — znikają kompletnie!

W tym miejscu chciałem jeszcze wrócić do domu państwa S., który był domem w całym tego słowa znaczeniu, nie dlatego że poznawałem tam najważniejsze osoby w hierarchii polonijnej, byłych i przyszłych Prezesów, generałów zdemobilizowanych i majorów czekających na awans, tutejszych Sekretarzy i Kurierów międzymiastowych, ba samych wysłanników z londyńskiej Centrali Polskości i Patriotyzmu — nie, nie dlatego! Rozdawano tam również urzędy i detronizowano pyszałków społecznych, ale mnie żadna tego rodzaju przygoda nie spotkała w domu państwa S. Chodziłem tam, by jak przy piecu grzać się polskością, gdyż dom ich był czynnym wulkanem, wyrzucającym zamiast lawy rozpalone strumienie patriotyzmu. Tak, kto w nim nie był, ten nigdy nie dowie się, jaki naprawdę ten dom był i jaki panował w nim duch. Moje udolne słowa, choć sprawiedliwe, nie wyczerpują całego tematu, o którym historia kiedyś napisze tomy. Ja chciałem tylko dodać, że piło się tam własne nalewki i jadło domowe wędliny, co również powinno przejść do historii. Potem, gdy zabrakło już domu, patriotyzm szybko zaczął wygasać, pozostały wprowadzić różne Grupy, Kluby i Kliki — ale te ograniczyły się tylko do zbierania pieniędzy na własne potrzeby organizacyjne i dla mniej zamożnych członków. Z zapałem układano jeszcze Statuty i Regulaminy, tudzież raz do roku na Akademii zbawiano Ojczyznę. I tak chyba jest dziś, w roku Pańskim tysiąc dziewięćsetnym i coś. A dlaczego ma być inaczej, gdy w roku tysiąc osiemset i coś było tak samo, choć mieliśmy wtedy prawdziwego Mistrza, rządzącego prawdziwymi Duszami — a mimo to niczego on nie dopiął i do tego pozostawił po sobie wątpliwą spuściznę, tak zwany romantyczny szal.

Wróćmy jednak do naszego Miasta, gdzie nie jest jeszcze tak źle. Nie tak, jak w Australii w każdym razie. My mówimy to i tamto, ale między sobą, półszepem, gdy tam wszyscy krzyczą. Naturalnie, że krzyczący nigdy nie ma racji, a ci co ją mają i tak nic nie robią, przy ogólnym krzyku społeczeństwa. Tylko, jak mi się wydaje, tam już nie idzie o zakrzyczenie przeciwnika, ale samego siebie. Sumienie ich gryzie, zbiorowe, emigracyjne, polityczne sumienie, które chcieli sprzedać za polskie srebrniki, tak jakby dolarów i funtów mieli za mało. Ktoś to zobaczył, ktoś dodał dwa do dwu i powiedział głośno cztery i wtedy wszystkim otworzyły się oczy. A oni w wrzask! I do tej pory wrzeszczą, jak więc toczyć jakąkolwiek rozmowę w takich warunkach? Dobrze by było, gdyby ten Frankowski powrócił do

Australii, gdyby wybrał wolność, co jak widzimy jest na porządku dziennym.

Miasto, w którym dziś mieszkam nazywa się To, tak jak inne nazywają się Lo lub Pa albo Wa. Jest dużo różnych miast, ale mówię tylko o tych, które znam osobiście. W innych nie byłem, słyszałem wprawdzie o nich, tylko jak tu dziś ludziom wierzyć. A przykład — choćby ta Australia!

Opowiadają na przykład, że jest miasto Mo, w którym panuje Ko i wszyscy tam są szczęśliwi. Ale nie można do niego pojechać, trzeba im wierzyć na słowo, a mój penetrujący umysł na to nie pozwala. Szeroko o tym rozpisują się różne gazety, tam drukowane, co dla wielu jest wystarczającym dowodem. Nie dla mnie jednak! Nie wierzę! Tracę powoli zaufanie do wielu prawd i faktów, a ludzie, to dla mnie ruchome siedliska fałszu, przenoszące się dzięki nowoczesnym ułatwieniom, z miejsca na miejsce z zastraszającą łatwością. Im też nie wierzę! Chciałbym bardzo pojechać do miasta Mo i zobaczyć jego Ko, ale nie mogę, trwam więc w swojej herezji, tak jak oni w swoim szczęściu — upór na upór.

Zanim zamieszkałem w To, los rzucał mną z Wa do Pa, z Pa pośrednio do Lo, ale to tak pośrednio, że pośredniość ta trwała z górą trzy lata iomalże w międzyczasie nie utonąłem aż w dwu oceanach. Wykaraskawszy się jakoś z różnych przeciwności, wylądowałem po wielu przygodach w Lo i miasto to od razu przyłgnęło mi do serca. Miało coś w sobie z Wa, choć dla wielu było zupełnie obce, tylko mnie się tak wtedy wydawało. Wozilem z sobą utracony miraż i dlatego tacy jak ja, co wierzą w miraż, biorą czasem Lo za Wa, ale nigdy odwrotnie.

Cisza! Za moimi plecami, w głębi Magistratu są mroczne wiktoriańskie sale, po brudnych ścianach pełnych liszajów starości ślizgają się promienie, soczysty kolorowy fryz okraża sufity tłustą grządką winogron i żyje jeszcze dziś, gdy ściany mają już cerę rodzinnego grobu.

Przede mną, przy chodniku, jest jednoosobowy cementowy grób: Mogiła nieznanego Żołnierza. Fasada jego obłożona jest plastikową oranżerią, a górę — przybytek ludzkiego bohaterstwa — obsiadły w bezceremonialny sposób gołębie, zamieniając ludzką twarz w znane nam z codziennych wycieczek ustronie.

Gołębie są przyjemnym ptactwem. Moją ładne sylwetki i przywodzą na myśl wielkie idee. Sztuka współczesna dużo również im zawdzięcza, a Picasso, idąc za podszeptami Stalina, nadał im wzruszający symbol i wykorzystał jako motyw. Dziś wielu ptaki te obdarza czcią: ci, co kochają Stalina i ci, co kochają Picassa. A w miłości, jak mówi angielski myśliciel, Bacon, trudno

o rozsądek i rozum. Do tego gołąb należy do ptaków szybko rozmazających się, przyżywamy dziś istną ich plagę.

Patrzę na Pomnik i myślę o Europie i jej cmentarzach, o tamtej centrali humanizmu, spadkobierczyni helleńskiego ducha i rzymskich cnót. O tych wszystkich, którzy biegli by ją ocalić! Ich ręce, zamiast uzdrawiać, raniły, bo tam gdzie jest siła, nikt nie dba o sprawiedliwość.

Wojenko, wojenko! Trumienko, trumienko! A ona tam sama, patetycznie odizolowana i wciąż piękna. Nie tylko historycznie, jak mickiewiczowska wiosna, ale kobieco.

Wiem że nosiła obcisły kubraczek, by uwidocznic zaokrąglony biust, z którym jej było bardzo do twarzy. Głowę przykrywała barankowym drobiazgiem szarej maści i nigdy nie doczepiała rzes. Miała własne i w dostatecznej ilości. O tych rzesach opowiadano różne historie jeszcze z czasów wojny — prawdziwe jak myślę — gdyż powtórzyły się na naszym terenie w innej, cywilnej już wersji.

Nie pamiętam jak się nazywała. Raz w życiu przeszła przez maszynę sądową, jak mi to potem przypomniały usługne podszpty i wtedy chyba musiała podać jakieś nazwisko. Popularnie wołano na nią w Polonii: Różyczka z Korpusu Andersa! Dzięki tej nazwie i uzbieranym dodatkowo wiadomościom, już po rozmowie z Aktorką, Różyczka przypomniała mi się najpierw jako ślicznie zapowiadający się kwiat, który — po otrzymanym zawiadomieniu — znieruchomiał w moich oczach martwą łodygą ułożoną w trumnie.

Po schodach, tu i tam, czmycha czarna sutanna. Nie, nie księżowska, są to adwokaci w swoich czarnych togach. Białe kołnierzyki wyslizgują się rąbkiem, odsłaniając zażywnie podgardla i czysto wygolone twarze. Boże, jacy ci ludzie są pękaci! Grubość nic tu nie mówi, to po prostu hipopotamy wypuszczone na wolność, chodzące po ulicach, gdzie ruch słonia byłby uosobieniem gracji.

Więc schodami w dół i schodami w górę, tyle ich jest, jak w scenie z procesu Kafki, ale ludzie są inni. Na tle monstrualnego ratusza wyglądają drobno, bez szczególnych symptomów. Ot, karuzela puszczona w ruch, przy dźwiękach piosenki z filmu 'Jesienne liście', która zdaje się mówić o życiu i śmierci, a dokładniej o tym, że tam gdzie zaczyna się życie, zaczyna się również i śmierć. Można by wykreślić to linią wychodzącą z jednego punktu, tak dla życia jak i dla śmierci. Jedna mocna, rozkrzyczana, żarłoczna — to życie, w niej zaś druga, trudna do uchwycenia, oddychająca życiem ale już potencjalnie martwa, krystalizująca się powoli w ostateczność — w zgon. Tak właśnie zaczyna się

śmierć, od samego początku życia, z tej samej materii. Trumienko, trumienko!

Gdyby nie słońce i jego jaskrawe kolory, gdyby nie ogromny kryształ nieba i jeziora, i drzewa pamiętające jeszcze okrzyki dzikich Indian, jakże nudna byłaby ta placówka cywilizacji, chaotycznie zabudowana i wypełniona po brzegi awanturniczym elementem. Zacołanie tutejsze jest pełne nieuctwa i stagnacji, nazwano to konserwatyzmem i podniesiono do rangi narodowej. Jedyną partią polityczną, która święci bezustanne tryumfy, to partia konserwatywna, choć jest i druga — liberalna, ale ta nie zdążyła jeszcze wypracować sobie własnego programu. Jej liderzy stale przebywają za granicą i zbawiają świat. Godni i śmieszni zarazem, są jak pozamykane korytarze, pełne zaduchu, a kiedy mówią o niebie, są beznadziejnie przyziemni, kontrastem wewnętrznej pustki, którą ciągną za sobą, jak kometa swój gasnący osmolony ogon. Raz do roku wpadają na tak zwaną konwencję, czyli ich polityczny piknik i z braku programu, cały zjazd zamienia się w rozkrzyczany dziecinny cyrk. Są pochody z transparentami, półrozebrane dziewczęta szkolne, obwożone po mieście, ubiegają się o tytuł Królowej ich Pikniku, mężczyźni noszą ubrania w pasy jak błazny i rozdają malcom cygara, na placach stoją kotły z parówkami, które ktoś w kompletnym zamroczeniu gramatycznym nazwał kiedyś 'gorącymi psami' i nazwa ta nie tylko przyjęła się, ale weszła z czasem do gwary tubylców: Indian i Eskimosów. 'Psy te, przy tego rodzaju uroczystościach, wręczają żony wybitnych polityków, zgłodniałej gawiedzi. Wszędzie buduje się na prędko podia, rusztowania, ustawia głośniki, krzesła, zawiesza kolorowe chorągwie i transparenty, wypisuje historyczne hasła. U schyłku dnia, nawet ci z mocnymi głowami, są kompletnie otumanieni i wnoszą dziwne, nie mające ani politycznego ani kulturalnego sensu okrzyki. A potem jest głosowanie i wybory, wieczorem zaś bankiet i rezolucje, telegram do Królowej i Premiera rządu. Gazety następnie powtarzają ze szczegółami fakty, tworzą własne kreacje dnia, wałkują drobiazgi, koloryzują po swojemu, w czym im rącho pomaga radio, gdy na świecie tymczasem wybuchają i kończą się wojny, przechodzą rewolucje, zmieniają rządy, wyłaniają nowe państwa, spadają, udoskonalone demokracją i komputerami, głowy panujących w tempie tak szybkim, że sprawna gilotyna mogłaby im tego pozazdrościć. A oni nic, piszą i mówią, mówią i piszą, gdy do tego uświadomimy sobie, że mamy w tym kraju aż dwie partie polityczne i wiele lokalnych komitetów, nic więc dziwnego że często niesposób jest dostrzec co się dzieje na dalekim świecie. Amen i koniec drugiej części.

Wacław IWANIUK

Pamiętnik znaleziony w... Bochni

CZĘŚĆ PIERWSZA

Opowiem wam, przyjaciele, o najpiękniejszych latach mego życia, kiedy co dnia, już o siódmej rano, z towarzyszami obojga płci zaludnialiśmy sale Liceum Pedagogicznego Nr 9 w Bochni. Temten rok szkolny zaczął się prawie tak samo jak inne, jeśli nie liczyć okresowego niepokoju, jaki nawiedzał nas czasem w związku ze słuchami, że mają utworzyć pięciolatkę i ten rok nie będzie dla nas ostatnim. Ładna pogoda utrzymywała się tak długo, że jeszcze cały wrzesień i pół października graliśmy po lekcjach w szczypiorniaka za drucianym ogrodzeniem.

Większość profesorów naszych świetnie się trzyma jeszcze do dziś, a wtedy tak się byli zrosli z czasem, że wcale po nich nie było widać upływających lat szkolnych,* choć wszyscy zgodnie twierdzili, że praca nauczycielska jest ciężka, trzecia w kolejności po górniku i rolniku w Polsce Ludowej.

Pierwsze dni każdego roku były zawsze jakieś jaśniejsze i ciekawsze. Uśmiechaliśmy się do profesorek i profesorów i oni do nas się uśmiechali, na znak, że wakacje zabrały z sobą coś miłego, ale nie całkiem, coś co było, już przeszło, ale trochę jeszcze do nas należy. Nasze ciało pedagogiczne od początku naszej edukacji pozostawało niezmienione. Biolog pozostał bez troski a Rosjanka pozostała piłą. Nasza wychowawczyni klasowa, która z całego grona utrzymywała największy dystans, już drugi rok czekała na wydanie broszury „Bochnia i jej okolice”, którą napisały razem z profesorką Kruźlówną, historyczką w Technikum.

W czwartej klasie liceum siedziałem w trzeciej ławce razem z Ryńskim Porębskim. Był on bardzo przystojny, a poza tym był „nowym”, więc dziewczyny cały prawie pierwszy miesiąc przyglądały mu się ukradkiem. Ja, ponieważ rok przedtem by-

* W odróżnieniu od roku cywilnego rok szkolny trwa dziesięć miesięcy.

łem wójtem w klasie, aby zachować dystans nie odzywałem się zbyt. Przedemną siedzą dwa dryblaszy — Bolek i Staszek. Bolek jest synem nauczyciela z Niepołomic, ale sam jest bardzo tępy. Mieszkał rok u mojej mamy na stacji, ale później mama wyrzuciła go, bo zawsze wracał do domu kiedy brama była zamknięta. Wywiązała się z tego trochę głupia sytuacja, bo nie wiedziałem później jak się do niego odnosić. Staszek, który z nim siedział, był już drugi raz z rzędu repetentem, a od nas wszystkich był starszy o trzy lata, znał się na gatunkach win i trochę lubiał pociągnąć. Poza tym umiał wiersze układać. Podobno gdyby nie pił, już dawno byłby znanym poetą. Jego ojciec pracuje w milicji, stąd widocznie Staszek umie strzelać i prowadzić samochód. W szkole wiedzieli, że trochę popijał — dwa razy były nawet donosy że spał na dworcu, ale nikt tego nie sprawdził.

W pierwszej ławce z malutkim Leszkiem Gołasem siedział Romer, podobno daleki krewny tego co atlasy rysuje. Dolną szczękę miał wysuniętą naprzód, co podobno świadczy o niezłomnym charakterze, ale Romer nie był znów taki niezłomny, bo jak go kilka razy zaczepiali z wieczorówki, to zawsze dawał nogę. Kiedyś był wiele znaczącą osobą w klasie, z czasem przygasł nieco. Na pierwszym roku, jak przyszedł do szkoły, był bardzo ważny. Boksował trochę i każdego prawie umiał zgasić w dyskusji. Ze szkoły podstawowej wyniósł pewne wyrobienie społeczne i umiał zabierać głos na zebraniach, choć to nie było takie łatwe, bo wtedy były zawsze starsze klasy i łatwo się było zbłądzić. Pozwalał sobie np. wobec wszystkich członków na zebraniu ZMP krytykować nawet gości z komitetu powiatowego. „To nieładnie z waszej strony, kolego” — powiedział raz jednemu z takich z komitetu, który się spóźnił na zebranie. Jak rozwiązywali ZMP, to powiedział wobec wychowawczynie, że dobrze robią, bo ta organizacja tylko ogłupiała młodzież. W nauce, owszem, stał nieźle. Wszyscy wyrażali się o nim, że jest zdolny; czasem stopnie dostawał prawie za nic: zauważył np. że wszystkie starożytne miasta powstawały nad rzekami, gdzie lepsza gleba i komunikacja, a na kontynencie dopiero miasta późniejsze — i już dobry z historii; z innymi przedmiotami podobnie. Ale jak powiadam, z czasem przygasł, no i my wyczuliśmy, że to trochę blagier, dlatego już w trzeciej klasie przestał być wójtem, a ja go złuzowałem. Jego sąsiad, Leszek Gołas, to zupełne przeciwieństwo. Dobry i spokojny chłopak, ładnie gra w piłkę nożną. Marszczy czoło jak myśli. Pochodził z biednej rodziny ze wsi i bardzo szanował swoich rodziców, którzy odwiedzali go kiedy przyjeżdżali do Bochni na jarmark. Mały Leszek zawsze przy powitaniu całował ojca w rękę.

Mój ławnik Rysiek, zaraz gdy do nas przyszedł, musiał zgolić wąsy, bo wychowawczyni nie pozwalała gorszyć pozostałych. Przyjechał do nas aż z Bielska — podobno pobili z chuliganami profesora i musiał się sam wycofać. To już był facet doświadczony, wszyscy bardzo lubiliśmy go słuchać jak opowiadał o sobie. Miał on wiele przeżyć i rozeznanie w dziewczynach. W kilku słowach umiał powiedzieć o każdej z naszej klasy do czego najlepiej się nadaje.

Reszta z męskiego zespołu naszej klasy to już były egzemplarze mniej barwne, poza może Jurkiem-filatelistą, który choć jest w domu jedynakiem, jest bardzo równy. Ostatnio powstała między nami trochę głupia sytuacja, bo kiedyś wciągnął mnie do filatelistyki i wyrolowałem go trochę. Nabyłem od niego ładny blok z wystawy filatelistycznej, z czterdzieści nieszczególnych znaczków, a później zamieniłem go za całą kolekcję kolonii angielskich (kolonializm teraz upada i te znaczki pójdą w cenę), a on to gdzieś musiał posłuszyć, bo już kilka razy dawał mi do zrozumienia, że ma taką serię Camerunów przy których najstarsze kolonie angielskie wysiadają. Może kiedyś uda mi się to wszystko naprawić.

◆

Magister Wroński miał właśnie wykład z biologii o traszkach czyli trytonach. „Poznamy dzisiaj dwa typy traszek — mówi — traszkę mniejszą i traszkę większą”. Mało jest nauczycieli, tych dzisiejszych oczywiście, którzy potrafiliby tak zainteresować ucznia jak magister Wroński. Mówił obrazowo i barwnie oraz często zwracał uwagę jak wielkie znaczenie dla nauki ma przyswajanie sobie wiadomości za pomocą reguł mnemotechnicznych. Nigdy nie wymagał suchych danych i nigdy ich nam w ten sposób nie podawał. „Traszka mniejsza na przykład, różni się tym od traszki większej, że jest od niej troszkę mniejsza. A więc traszka mniejsza i traszka większa”. Kiedy już uświadomiliśmy sobie tę podstawową różnicę, podał nam kilka szczegółów budowy tych płazów, po czym opowiadał czym się żywią. Wtedy wszedł do klasy jakiś pan, wysoki blondyn z zaczerwienionymi oczami i poprosił magistra o pozwolenie mu przeprowadzenia pogadanki z młodzieżą — zaznaczając, że rozmawiał już z towarzyszką Jasią, naszą dyrektorką. Jeżeli tak — powiedział magister — to nie mam nic przeciwko temu i wyszedł.

„Niechlubną sławę pozostawiło po sobie ZMP — powiedział blondyn o czerwonych oczach — nie będziemy się jednak nad tym roztrząsać. Teraz powstają podwaliny pod nową organizację, która będzie się nazywała Związek Młodzieży Socjalistycznej. To jest oczywiście tylko jedna organizacja — będziemy mieli ich

więcej. Młodzież będzie rozbita na kilka różnych organizacji, dla przykładu: ZMW to będzie organizacja dla młodzieży ze wsi, KMW to będzie organizacja dla młodzieży z wojska, ZMS to będzie dla młodzieży z fabryk, dla takich jak wy i dla innych studentów, a nie tak jak poprzednio, co była jedna organizacja dla wszystkich. To pozwoli nam w przyszłości rozwiązać nowe formy. Muszę uświadomić was, że to będzie typowa organizacja młodzieżowa — zebrania będą tylko raz na miesiąc i to bardzo krótkie — jedną godzinkę. Będą różne szkoły aktywistów i kursy tańca i kto będzie chciał my damy mu wyjazd na konferencję wojewódzką. Poza tym w ramach szkoły każda organizacja będzie prowadziła ożywioną działalność i my jej w tym chętnie pomożemy”.

— A jak będzie ta organizacja wyglądać — zapytał ktoś z chłopców — czy to będzie to samo co ZMP, czy to będzie całkiem inna organizacja i jakie będą jej zadania?

Zdaje się, że powiedział to Jurek. Widać było po nim, że chciał pytanie skonstruować inaczej, ale w ostatniej chwili skapitulował. Głowę daje, że chciał powiedzieć coś w tym rodzaju: „Czy to będzie ZMP ze zmienioną nazwą czy nie?”. No ale nie ma się mu co dziwić. Zresztą ten prelegent mówił niby do rzeczy, tylko czasem nie umiał się dokładnie wypowiedzieć i przede wszystkim uśmiechał się głupawo i to nas jakoś nie brało.

Właśnie zadzwonił dzwonek, ale on chciał nam jeszcze odpowiedzieć na pytanie zadane przez kolegę i zaczął wyjaśniać: „Widzicie — odnośnie samej organizacji to jeszcze nie mamy wypracowanych form, bo to jest organizacja nowa. Od was wszystko zależy. My proponujemy dwie koncesje...”

Tu jednak, po dzwonku, sprawa stała się dla nas groźna. Nie było siły żeby nam ktoś zabierał przerwę. Wszyscy czekali tylko momentu, żeby mu przeszkodzić w mowie. Właśnie Janka, która była najbardziej bezczelna, zaraz po słowie „koncesje” podchwyciła: „Coś się panu musiało pomylić — koncesje to są w Iranie na naftę, panu chyba chodziło o koncepcje, bo znowu antykoncesje to jeszcze co innego”.

— Wiem, wiem — zarechotał prelegent — wy jesteście nowocześni — i już chciał zabrać głos w celu wyjaśnienia poprzednich wywodów, kiedy cała klasa zaczęła bić brawo. Wtedy prelegent się zająknął i wyszedł uśmiechnąwszy się po swojemu.

Janka została bez wątplenia po raz tam któryś bohaterką klasy na pewien okres. W ogóle gdybyśmy chcieli przyjrzeć się naszym dziewczynom, Janka wybijała się ponad wszystkie. Bardzo ruchliwa dziewczyna — była jedną z lepszych w województwie juniorek w pływaniu. Może trochę się chwaliła, ale mówiła, że szkołę traktuje tymczasowo. Wszyscy po trochu podpa-

laliśmy się do niej, ale ona robiła z nami co chciała. Kilka razy udało mi się spędzić z nią pół godziny, zwłaszcza przed ósmą przy odpisywaniu zadań, kiedy jednak zauważyła, że więcej zaczynam interesować się nią niż zadaniem — jednym gestem potrafiła dać mi do zrozumienia, żebym nie posuwał się za daleko. Raz powiedziała mi nawet: „Obejmij sobie wierzbę” — od tej pory musiałem uważać. Ryśkowi pozwalała się czasem uszczypać na przerwie, dlatego zapewne, że był nowym, ale i to potem się zmieniło. Romer też robił różne starania, ale daleko mu do osiągnięć Ryśka. Właściwie mnie z Romerem to już tyle razy wykiwała, że dawno powinniśmy byli obydwaj wycofać konsułów — tak my nazywamy całkowitą separację. Chcieliśmy — jednak nie było można. Ona chyba dobrze wiedziała o tym, albo musiała przeczuwać, w przeciwnym razie nie igrałaby tak z nami. Zresztą — może to i lepiej było — nie umiałem jeszcze wtedy chodzić z dziewczyną. Ona chodziła już z kilkoma chłopakami — ostatnio przyjeżdżał do niej taki jeden z Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie i nie kryła się nawet z tym — a co by było, gdyby mnie udało się z nią nawiązać jakiś kontakt? Romer też na pewno nie dałby sobie rady, chociaż kozaka udawał. Za to ta, co z nią siedziała w ławce — Zośka — powtarzająca klasę drugi rok, ostatnio coś przyglądała mi się dość często. Podobno ma wujka za granicą, który wspomaga ją finansowo. Ogólnie wydaje się w porządku, tylko nie ma jeszcze własnej kompanii i cicho siedzi — rozmawia na razie tylko z Janką, raz że to sąsiadka, a drugie, że jest z dziewcząt najbardziej bezpośrednia. W ogóle dziewcząt jest u nas dwa razy więcej niż chłopców — w innych klasach jeszcze więcej, a w drugiej „B” był tylko jeden, więc go musieli przenieść do „A”. Jakoś do naszego zawodu chłopcy mało się garną — ale to lepiej, prawie wyłącznie za to jesteśmy przeznaczeni na kierowników, choć ostatnio dużo kobiet porobili kierowniczkami, a przykład naszej dyrektorki podtrzymuje wszystkie dziewczęta na duchu. Z naszej klasy kierowniczkami w pierwszym rzędzie pozostaną siostry Skrzypkówny — są one dobrze wychowane i profesorzy nasi już kilkakrotnie stwierdzili, że to wartościowe dziewczęta. Nie interesujemy się nimi specjalnie, choć jedna jest dosyć ładna, ale druga ma tak rzadkie włosy, że zapewne wkrótce wyłysieje — a jak wyłysieje jedna, to z czasem na pewno i druga. Wszystkie pozostałe dziewczęta razem, nawet z chudą Ewką, uważaliśmy za kupę cieląt. Chudą Ewkę dlatego, że choć była najlepszą uczennicą w klasie — w gruncie rzeczy był to kujon. Gdy się posłyszało jak recytowała z chemii „...minimalne ilości enzymów wystarczają do skomplikowanych nawet reakcji chemicznych” to aż strach oblatywał, jak ona kiedyś będzie uczyć dzieci. Zresztą

bywała pytana w regularnych odstępach czasu — a cóż to za sport — każdy potrafi. Najbardziej wszyscy nienawidzimy dziewcząt na śpiewie: „...obiecujesz miiiiii” — to „iiii” aż wdzierało się człowiekowi w trzewia.



Przez kilka tygodni, jak zwykle, „docieraliśmy się”. Zauważyłem, że Staszek zrobił się bardziej złośliwy niż w poprzednich latach, a repetentka Zośka jest faktycznie równą kumpelką. Szczypiorniak to jest chyba jedna z najlepszych gier na świecie. Nasz malutki Leszek Gołas to był taki bramkarz jakiego w tej szkole nigdy jeszcze nie było. Dziwne, że człowiek może mieć taki refleks. Taki Waldek z czwartej „A” — silny jak byk — strzela z kilku metrów jeszcze z wyskokiem i zwodem w inną stronę, a mały Lesiu zmarszczy tylko swoje czoło i w ostatnim chwilałku wyłapie. Już teraz przyzwyczailiśmy się, kiedy jakiś przeciwnik dostanie się pod bramkę — nie obstawiać go, tylko obroną Gołaska choć przez sekundę cieszyć oko. Trudno było nas pokonać, bo wynik zawsze był do zera. Wystarczyło, że strzeliliśmy jedną bramkę i wygrana w kieszeni. Zamierzaliśmy wiosną startować na mistrzostwach województwa. Prócz tego często kibicami byli nasi profesorowie i jak ktoś był aktywny, zawsze innym okiem później na niego patrzyli. Zresztą i tak na początku nie cisnęli nas zbyt. Z rosyjskiego tylko jakoś nasza „Stara” nie miała wyczucia — cały czas to samo. Najpierw lubiła, jak przyszła na lekcję, rozglądać się po klasie i rzucić kilka pytań znienacka ostrym metalicznym głosem. Przy minucie zastanowienia sadzała delikwenta i pytała następnego. Wtedy najłatwiej było podpaść; jak już to udało się przetrzymać — mogłeś później całą lekcję nie być pytany. Do tego jednak po paru latach przyzwyczailiśmy się, bo podobno można przyzwyczaić się do wszystkiego — nie to wszakże było w jej systemie najgorsze. Zaraz po skończeniu tego zaskakującego pytania zaczynała nową lekcję. Humory kilku osób zazwyczaj były już wtedy nadpsute, ale najgorsze zaczynało się teraz — po prostu totalne wykańczanie psychiczne całej klasy. Stara siadała sobie na krześle (ale nie za stołem tylko na wolnej przestrzeni przed ławkami) i zaczynała nową lekcję od zanalizowania jej treści, wyciągnięcia pierwiastków, charakterystyki postaci. Nieomylnie każdą postać ujmowała z dwu punktów widzenia: *wnieszynyj wid i czioroty charaktiera*. Jednakże tylko to z całego wywodu zdążyliśmy pod koniec pierwszego półrocza rozwikłać, ponieważ te dwa zwroty powtarzały się tak często, że zapamiętaliśmy i sprawdziliśmy w słowniku. Nic nam to jednak nie pomogło — zawsze ta część lekcji była dla nas stracona. Zdziwiłby się ktoś może, że ubo-

lewam nad stratą części lekcji — nie o to tu wszakże chodziło. Mianowicie podczas tego całego swojego wstępu Stara pilnie baczyla na klasę, a oko miała tak bystre, że mogłeś robić najmańdrzejsze miny, ona wyczuła czy rozumiesz to czy nie, a właściwie w jakim stopniu rozumiesz to co mówiła, bo wszystkiego nie rozumiał nikt, te pewne. Zaraz gdy wyłożyła, pytała tych, na których twarzach w sobie wiadomy sposób wyczytała nieuctwo. Odpowiadać u niej, zarówno wyrywkowo na początku lekcji, jak i normalnie przez zwykłe zrządenie losu — rzecz jasna nie było rozkoszą, dlatego też zazwyczaj ci których przyuważyla podczas swego monologu, oblewali.

Chwilami, kiedy udało mi się opanować zdenerwowanie, starałem się naprawdę zrozumieć o czym ona mówiła — język rosyjski jest przecież bardzo naszemu bliski i wiele słów jest podobnych, jednakowóz naprawdę było to ponad siły. Zdania i zwroty budowane były tak naukowo, że jeżeli nawet piąte przez dziesiąte wychwyciłem jakieś słówka, sensu ogólnego pojąć było niesposób. Dziwiłem się tylko jak człowiek (Stara) potrafi aż tak myśleć.



Po dwu tygodniach ten blondyn o czerwonych oczach przyszedł znowu do naszej szkoły, tylko że w towarzystwie jakiegoś drugiego gościa, wyglądającego bardziej inteligentnie, który zresztą od razu zabrał głos. „Towarzysz Bauer — wskazał ręką na blondyna — był tu niedawno u was i rozmawiał z wami na temat organizacji, która teraz właśnie powstaje. Sądzę, że zastanowiliście się już i chyba dziś usłyszę pierwsze zgłoszenia. No, proszę, kto?” Zaczęliśmy oglądać się po sobie, aż nawet nas samych zaskoczyło to, że nikt jakoś nie zastanawiał się nad przystąpieniem do organizacji. Przez chwilę przemknęła mi myśl, że jeżeli inni się zagapili, to chociaż ja powinienem być o tym pomyśleć, ale raz, że całkiem zapomniałem, a po drugie agitacja tego blondyna jakoś nie zrobiła na mnie wrażenia. Nastrój ogółu upewnił mnie w tym, że nie ma czego żałować. Ten pan jednak, który przyszedł z czerwonoookim zaczął tłumaczyć nam, że musiało tu wyniknąć jakieś nieporozumienie. „Nie doceniacie, uczniowie, jaką rolę organizacja młodzieżowa spełnia w budującym socjalizm społeczeństwie, a szczególnie jaką rolę spełnia w szkole. Jesteśmy w stanie stworzyć wam atrakcyjne formy działalności organizacyjnej i politycznej, szkoły, aktywu i kursy, obozy, słowem, co wam najbardziej będzie odpowiadało. Dalecy jesteście, żeby obiecywać wam, jak to robiło ZMP, że gdy zapiszecie się do organizacji to dostaniecie się na studia, pomagać jednak będziemy i nasza pomoc będzie się więcej liczyć właśnie teraz, bo to dla

organizacji niejako pionierski okres. Daję więc wam to pod rozwagę. Sądzę, że teraz przemyślicie to właściwie”.

Zrobiło to na nas pewne wrażenie, bo nikt nie zabierał głosu, tak jak Janka poprzednio, ale wszystko to prysło na następnej przerwie, kiedy wpadła do nas cała klasa „A”. „Pogoniliśmy tego barana z czerwonymi ślepkami i jego satelitę, zbłąznili się, już do nas więcej nie przyjdą”.

Okazało się, że tego dnia mieli tylko pięć lekcji i akurat na szóstej przyszli ci prelegenci, czym rozdenerwowali całą młodzież, bo nie ma gorszej rzeczy jak ogłosić, że jest pięć lekcji i nagle zgarniać wszystkich do klasy prosto z boiska sportowego.

Jednak ci sami przyszli do nas za trzy dni. Powiedzieli, że proszą wszystkie nasze klasy na naradę, która odbędzie się w komitecie powiatowym. Zabrała się z nami nasza wychowawczyni. W komitecie było już kilka szkół i dwaj jacyś panowie siedzieli przy trybunie. Zajęliśmy miejsca przy stolikach zastawionych oranżadą. — Czemu oni tak naciskają nas żebyśmy się zapisali do ZMS — spytał Rysiek nas wszystkich. — A co by Moskwa powiedziała — rzucił ktoś z „A” klasy — no, *kakże u was niet organizaciej takoj, kak u nas Kamsamol?* A zresztą tym z Bochni na pewno kazali w Krakowie i niech na głowie staną, a muszą założyć. Zobaczycie jaka będzie heca!

— Co ty tam głupio gadasz, odezwał się Romer, co teraz Moskwa ma do nas. Ale swoją drogą organizację założą tak czy inaczej — trzeba się znać na sprawach społecznych, ja ci to mówię.

Towarzysz naszego blondyna znów zaczął mowę, z tym, że przedstawił się — wszyscy mnie chyba znają — Włodarczyk jestem — uśmiechnął się mile. Otóż do sprawy: po pół roku działalności naszej organizacji, stwierdziliśmy duże postępy. Przyjęliśmy wielu członków do naszych szeregów. Ze środowiska robotniczego przyjęliśmy 120 członków, z Techników zawodowych przyjęliśmy łącznie 62 chłopców i dziewcząt, oraz (tu skierował się w stronę grupy z Liceum Ogólnokształcącego, na czele której siedział jakiś starszy profesor) dzięki życzliwemu podejściu grona pedagogicznego z Liceum Ogólnego przyjęliśmy czterdziestu członków — brawa dla tej szkoły. Jedynie z Liceum Pedagogicznego dotychczas nie przyjęliśmy ani jednego członka.

Trochę mnie to zdziwiło — wydawało mi się, że z innych klas ktoś już się zapisał.

„Nie wiem, czemu to przypisać — ciągnął Włodarczyk, najmniej jednak dziwi mnie stosunek Liceum do organizacji...”

— Ja wyjaśnię czemu to przypisać — młodzież z Liceum Pedagogicznego jest mądrzejsza — powiedział odważnie Marek Matjeko, otwierając darmową oranżadę.

Gromki śmiech rozległ się wśród wszystkich jego kumpli z „A” klasy. Sekretarz komitetu powiatowego Włodarczyk uśmiechnął się i dał ręką znak, żeby wszyscy się uciszyli. Wtedy wstała nasza wychowawczyni.

Nie wiem czemu przypisać takie sądy o naszej szkole — rzekła odrzucając dumnie w tył głowę — przecież do organizacji zapisują się wolontariusze. Widocznie do tej pory nikt się nie zdecydował. Załóżmy, że nadal nikt się nie zdecyduje — więc co z tego — pytam się? — głos jej stawał się coraz szybszy, było to zresztą cechą jej despotycznego charakteru — czy to decyduje w czymś o naszej szkole? Czy to decyduje w czymś o złym podejściu grona pedagogicznego? W dodatku wy prowadziliście agitację tylko wśród starszych klas, a starsze klasy już wkrótce będą się przygotowywać do matury, nauka jest ich — i naszym — najważniejszym celem, nam nie wolno tracić ani minuty — wypowiedziała.

To nas wszystkich osadziło w miejscu i spowodowało ciszę na sali. Zrozumieliśmy, że chodzimy do szkoły, z której możemy być dumni, że ze strony grona profesorskiego mamy do czynienia ze zdrowym, nowoczesnym, nacechowanym tolerancją stanowiskiem i że możemy całkowicie opierać się na własnej decyzji, niczym nie przymuszonej. To jest podstawą zdrowych stosunków w społeczeństwie. Otwartość, szczerłość, żadnej hipokryzji. To nas wzięło. Wychowawczyni usiadła i patrzyła na przeciwną ścianę, nie opuszczając głowy. Wtedy stało się coś, co zrobiło na nas takie samo albo jeszcze większe wrażenie, niż wypowiedź naszej profesorki. Oto wstał Romer i powiedział wobec wszystkich, że chce zapisać się na członka do ZMS. Szczególnie między nami powstało poruszenie, bo delegacje pozostałych szkół już teraz nie mogły się w ogóle połączyć o co chodzi. Tak samo całkowicie pogubili się Bauer, Włodarczyk i ci dwaj pozostali panowie, którzy siedzieli przy trybunie. Dyrektor z Liceum Ogólnego cały czas patrzył na nas jak mops. Pierwszy ocknął się Włodarczyk. — Proponuję na razie przerwanie naszego spotkania, przepraszam, zakończenie naszego spotkania. Zobaczymy się wkrótce w każdej ze szkół z osobna. Dziękuję bardzo. W imieniu komitetu wdzięczni jesteśmy za tak liczne przybycie — powiedział i wszyscy otumanieni z nadmiaru wrażeń zaczęli zbierać się do wyjścia.

W szkole zaczęło być wesoło — żyliśmy ciekawszymi wrażeniami. Zastanowiłem się czasem nad Romerem — jednak to był dość ciekawy egzemplarz i miał wycucie sytuacji. Cała klasa jakby z powrotem uznała go, i jego pozycja podniosła się wyraźnie. Nikt nie domyślał się, czy jego wystąpienie w Komitecie było na serio czy na lipę. Tylko „A” klasa nie miała takich pro-

blemów — zagadnąłem kiedyś Matejkę co on myśli o tej całej organizacji — to machnął tylko ręką i powiedział: „Też masz o czym myśleć, ja już całkiem o wszystkim zapomniałem, a w ogóle to niech oni się odpieprzą od młodzieży w wieku szkolnym i będzie spokój”. Przeszedłem więc i ja nad tym do porządku dziennego i wszystko toczyło się normalnym torem.

Włodarczyk przyszedł za kilka dni do nas, ale akurat była religia więc przeprosił księdza i wyszedł. Ciekawy był ten nasz ksiądz — niby trochę współczesny, ale w gruncie rzeczy nie wszyscy lubiliśmy go. Dwój wprawdzie nigdy nie stawiał tylko „dobry” i „bardzo dobry”, ale za dużo nam mówił o moralności i lubował się w uszczypliwych uwagach, zaprawionych jakimś dziwnym uśmiechem. Romer nazwał go jezuitą — uczyliśmy się dużo o jezuitach i ich wkładzie w naszą historię, więc ta nazwa wymyślona przez Romera była nawet za ostra. W gruncie rzeczy nasz ksiądz był człowiekiem bardzo wykształconym i ciekawie wykladał. Był zdania, że wiara nie powinna być tylko uczucio-
wa, bo uczucia człowieka, istoty niedoskonałej, są dosyć zmienne, ale raczej intelektualna, wynikająca z potrzeby obcowania umysłu ludzkiego z Bogiem. Nie rozumieliśmy tego za bardzo, ale mimo to na każdej lekcji potrafił tak pobudzić naszą wyobraźnię, że cały czas myśleliśmy z wysiłkiem i dyskutowaliśmy po lekcjach. Gdy zapytaliśmy go o ZMS wstrzymał się od głosu — powiedział, że nie zna tej organizacji i trudno mu jest teraz coś na ten temat powiedzieć. Z drugiej strony musiał chyba wiedzieć, o tym, że nasza wychowawczyni za to wystąpienie przed Włodarczykiem była „prostowana” u dyrektorki Jasi. Dowiedzieliśmy się o tym od jednego naszego kolegi, którego ojciec uczył w Technikum. Jasia podobno ją mocno ochrzaniła, to jest bardzo możliwe, bo nasza dyrektorka była niezwykle zajadła, no i wychowawczyni chodziła faktycznie bardzo zgaszona kilka dni. Próbowaliśmy wciągnąć prócz księdza innych profesorów do jakiejś solidarności w obronie słusznej sprawy, ale każdy również wstrzymywał się od głosu. Dziwiło nas to trochę, ale widocznie profesorowie mieli swoje powody, albo my dobrze nie rozumieliśmy sytuacji.



W jedną sobotę Romer oznajmił, że dostał już bilet na konferencję wojewódzką. Powiedział także, że ma prawo ze sobą zabrać jednego albo dwóch sympatyków, którzy tak samo dostaną bilet i zwolnienie z lekcji na pół soboty i cały poniedziałek. Wtedy przyszła mi do głowy dobra myśl — nie jestem wprawdzie członkiem, ale za sympatyka mogę iść śmiało. Zresztą głównie chodzi o to zwolnienie — czwarta lekcja w sobotę — to rosyj-

ski — muszę przyznać się, że wcale z rosyjskiego nie byłem takim wierutnym tumanem, tylko że już dosyć dawno nie byłem pytany i mógłbym nie wytrzymać wzroku Starej. W gruncie rzeczy choćbym się położył, to i tak chyba na okres nie dałaby mi dwójki ze względu na skandaliczny poziom ogólny. Jednakowoż, proszę wyobrazić sobie ten spokój wewnętrzny jaki osiąga człowiek kiedy niepewną sytuację odłoży na później. Tym sposobem w niedzielę rano spotkaliśmy się w pociągu jadącym do Krakowa. Z naszej szkoły, prócz Romera, jechałem tylko ja ponieważ miał on za mało czasu aby znaleźć drugiego sympatyka. Z całej natomiast Bochni grono było większe, w tym sporo dziewcząt (jedna dosyć ładna), a całej grupie przewodził Bauer. Do samego prawie Krakowa opowiadał dowcipy, a ja przyglądałem mu się, żeby wyrobić sobie o nim zdanie. W Krakowie od razu zaprowadził nas do komitetu, żeby nie spóźnić się na otwarcie konferencji. Po korytarzu chodziło pełno dziewcząt w czerwonych krawatach, a jedna z nich uśmiechała się do Bauera i wydała mu dla nas notesy i ołówki kulkowe marki „Ruch”. Bauer usadowił nas przy jednym ze stołów, plecami do ściany, żebyśmy mieli dobre samopoczucie. Ponieważ konferencja zaczęła się pół godziny później niż zapowiedziano, przyszlismy w samą porę, a po nas przyszło na salę jeszcze z pięć delegacji. Potem jakiś pan przeszedł kilka razy całą salę od drzwi aż do trybuny nosząc różne maszynopisy i konferencja się zaczęła. Przemawiało kilku prelegentów i wszyscy byli młodzi. Jeden czytał referat bardzo długi, ale interesujący, właściwie nie referat ale rozprawę o młodych polskich ludziach, zapale do wesołego życia i zapale w ogóle. Wspomniał, że młodzież jest zawiedziona, ale ZMS wypełni tę pustkę. Około godz. 3-ej po południu Bauer (podziwiałem jego wyczucie) zauważył, że będzie dyskusja. I rzeczywiście prelegent czy delegat skończył mówić, a przewodniczący zaprosił salę do dyskusji. Po kolei z każdej szkoły ktoś mówił o swojej organizacji — ilu przyjęto członków i co dotychczas zrobiono. Wszyscy mówili dość swobodnie i mnie także jakoś wzięła chęć coś powiedzieć, ale nie wiedziałem co, przecież właściwie w naszej szkole ZMS jeszcze nie istniało, a ja byłem tylko sympatykiem. Romer, członek, uśmiechał się pod wąsem. Bauer nic nie mówił, bo widocznie wiedział kiedy należy głos zabierać a kiedy nie. Trochę zaczęła mnie dręczyć odpowiedzialność za dyskusję — to co mówili inni nie wypełniało luk. Protokółant odfajkował każdego udzielając głosu następnym.

Gdy zjedliśmy obiad w dobrej restauracji i wróciliśmy na salę poczuć odpowiedzialności niepokoiło mnie jeszcze bardziej. Chciałem po prostu coś powiedzieć, aby to był mój taki własny głos. Szczególnie wzięło mnie to wtedy, gdy z naprzeciwwka pod-

niosła się jakaś starsza pani i zaczęła opowiadać o organizacji we własnej szkole. Była to profesorka — siedzący koło niej uczniowie słuchali jej zastraszeni, sami jakoś nie zdecydowali się przemówić. Gdy skończyła, wtedy stało się coś nieprzewidzianego — Romer wstał i poprosił o głos. Wtedy protokółant powiedział, że będzie mówił jako następny bo tu już jeden się zgłosił. Ten co się zgłosił przemawiał jednak krótko i bardzo niepewnie: „w naszej szkole założyłem ZMS ale som jeszcze wielkie trudności, abo ksiądz założył chłopakom kółko ministrantów i uczy ich tam „ministrantury”. Nie zrobiło to jednak wrażenia na sali ani na trybunie, zresztą siedzieli tam przecież ludzie na poziomie. Jeden z nich zaledwie zmarszczył czoło i podniósł na niego oczy. Wydawało mi się, że cała sala była zła na głupiego osiłka, który chciał coś powiedzieć, ale nie umiał. Zresztą wkrótce zbrakło mu całkiem słów i musiał usiąść. Wtedy zaczął wypowiadać się Romer. Zgoła nie mogłem się domyśleć o czym on chce mówić. Być może chciał o coś zapytać. Tymczasem Romer wstał i zaczął tak jak inni: „W naszej szkole też założono ZMS — nie możemy pochwalić się jeszcze żadnymi osiągnięciami, bo stało się to niecałe dwa tygodnie temu, chciałem tylko zaznaczyć, że organizacja już działa, a to samo przez się to już sukces”. Bauer z podziwem spojrzął na mego kolegę. Romer jednak zaraz go zawoził. — „Wybraliśmy władze: pierwszy sekretarz Romer, to znaczy ja; drugi sekretarz Romer i skarbnik Romer, oraz członek Romer. Na następnej konferencji powiem kolegom jaki będzie dalszy rozwój organizacji w naszej szkole”. Bauer oczywiście ściągnął go zaraz za portki na krzesło. Sala ożywiła się strasznie i zaczęła szeptać. Później Bauer wyszedł i nie było go z pół godziny. Gdy wrócił kazał nam zbierać się do pociągu, żeby zdążyć na ten na 5-tą. Cały czas myślałem o Romerze — to jednak był oryginalny człowiek. Dokonał tego, o czym ja myślałem cały czas — zawładnął salą kiedy mówił. Ani przed nim ani po nim tego nie było. Mówiono o kursach motorowych i o kursach tańca, ale o początkach, powijkach organizacji nie powiedział nikt, choć podobni do Romera na pewno siedzieli na sali, a nawet mogłem to zrobić ja — jako sympatykowi lepiej by wypadło o tym powiedzieć niż jemu, on mógł się albo narazić, albo wszyscy mogliby go uznać za takiego trochę nie swojego. Zaimponowała mi jego odwaga społeczna (tak nazywam odwagę wobec ogółu), bo jest to uczucie bardzo rzadkie i prawie niemożliwe do wzbudzenia, jeżeli nie jest wrodzone. W wagonie było cicho; dziewczyny z innych szkół patrzyły z jakimś trudnym do opisania uznaniem, nawet Bauer nie opowiadał dowcipów. Kazał mi tylko, jak wysiedliśmy, przyjść za dwa dni do komitetu.

(Dokończenie nastąpi)

Paweł SOWA

Świat przetłumaczony

PROLOG

Mexico 5 lipca 1963 r.

Po co to wszystko? Nowe rzeki i góry — niektóre z nich bez nazw, bo są kraje w których o rzece mówi się „rzeka” a o górze „góra” — nowe kraje i ludzie o nazwiskach nie do wymówienia...

Bo przecież to nie tylko z konieczności: z wymordowania, z wysiedlenia, wyrzucenia, czy też mówiąc staroświecko „wygnania”, nie tylko z ucieczek, *escapes*, *huidas*, *échappes*, nie tylko z usprawiedliwionych przestraszeń! Ostatecznie można się było gdzieś zatrzymać, na przykład w małym i bardzo czystym amerykańskim miasteczku w stanie Indiana, gdzie ofiarowywano *security* i przyszłość. Albo na wyspie Margarita w Wenezueli w domeczku pod trzema palmami z wierną służącą, kotem angora i aż trzema tygodnikami z trzech części świata „żeby nie stracić kontaktu”... Albo w La Patrie Retrouvée — taka długa nazwa — we francuskiej Kanadzie, przy kościółku nad rzeczką...

Ale nie tylko w takich dziurach zaprzepaszczonych, bo przecież są i tacy, którzy w Paryżu, w Londynie czy w Nowym Jorku zostać mogli, no i oczywiście niektórzy z nich zostali. Ale czy naprawdę?

Niektórzy nawet pozmieniali nazwiska i nazywają się teraz John Turner, Jean Dubois czy Juan Rodriguez. Dla świętego spokoju to zrobili — mówią — lub z uprzejmości bo nazwisko było trudne do wymówienia, a czasem mówią, że zrobili to, bo chcieli *zapomnieć* i *zacząć*.

Niewiele im to jednak pomogło, bo w snach wracali do

Początek i fragment przygotowywanej książki A. Iwańskiej pod tym samym tytułem.

nich nazwiska a na białych ścianach jak liszaje narastały okna i balkony, znane, minione, niechciane.

*voie se pencher les défaites années
sur les balcons du ciel
en robes surannées...*

Czy to Beaudelaire? Tak... chyba Beaudelaire... spokojny universalizm minionych epok. Bo Im, nawet najgłębszym, nie rozrastały się do rozmiarów ichtiozaurów liszaje wspomnień...

Dziś w nocy śniło mi się, że jestem znowu w Stanach Zjednoczonych, w mieście wielomilionowym i stupiętrowym, jakby w uogólnionym Nowym Yorku, i biegam po głębokich *basements* wielkich sklepów szukając rękawiczek.

Bardzo mi było zimno w ręce — pamiętam — zwłaszcza w prawą rękę, która mi co chwila lodowaciała, a nie było to ani lato ani zima ani wiosna ani jesień i nie wiadomo skąd się brało to zimno przenikliwe. A ponieważ prawa ręka jest jednak sprawniejsza od lewej, z lewą ręką w kieszeni, prawą coraz to bardziej siniejącą grzebałam się w stosach rękawiczek spiętrzonych na kwadratowych stołach. Były tam i wełniane i skórzane i nylonowe rękawiczki, różnokolorowe i różnych rozmiarów, ale nie były razem parami poczepiane i trzeba je było wyławiać przymierzać, dobierać. Biegałam od stołu do stołu ale nigdzie nie mogłam znaleźć odpowiedniej pary... A potem podziemnymi korytarzami przebiegałam od sklepu do sklepu i wszędzie były takie same stoły ze stosami kolorowych rękawiczek i dopiero w trzecim czy czwartym sklepie zorientowałam się, że wszystkie te rękawiczki były z lewej ręki, a tymczasem właśnie w prawą rękę było mi tak zimno, że jej już prawie nie czułam....

Więc w końcu wcisnęłam na nią z trudem zieloną — pamiętam — rękawiczkę z lewej ręki, a na lewej ręce już miałam rękawiczkę też zieloną ale trochę jaśniejszą. W rękawiczkach z nieodczepionymi jeszcze cenami — a każda rękawiczka kosztowała 50 centów — podeszłam do kasy, żeby zapłacić, ale kasjerka uśmiechnęła się pobłaźliwie i powiedziała: — „Pani ma jedną rękę prawą a drugą lewą, Miss, i te rękawiczki są nie dla pani. Tutaj sprzedajemy rękawiczki tylko dla takich, którzy mają dwie lewe ręce, ale na trzecim piętrze znajdzie pani rękawiczki dla siebie, tylko, że oczywiście droższe...”

Zaniemówiłam ze zdumienia i obejrzałam się naokoło, ale prócz mnie i kasjerki nie było tu nikogo, nie mogłam więc niczego sprawdzić.

— Skąd pani jest? — zapytała kasjerka — że taka niezorientowana i jakim to akcentem pani mówi: niemieckim, czy

francuskim? Aaaa, z Polski... A czy to prawda, że podczas wojny Niemcy ściągali Polakom rękawiczki?

To musiało być straszne... Pewno dlatego ma pani taką odmrożoną rękę, ale dlaczego tylko prawą? Nie rozumiem... Niech pani weźmie windę na trzecie piętro i tam znajdzie pani rękawiczki dla siebie.

Ale zamiast pojechać windą na trzecie piętro pobiegłam z powrotem korytarzami do sklepów bo nagle przeraziłam się sama sobą i chciałam koniecznie sprawdzić czy tam rzeczywiście sprzedają rękawiczki z lewej ręki prawdziwym ludziom bez prawych rąk... Bo może to jedynie moje zwariowane przywidzenie, zły sen, z którego się obudzę gdy sprawdzę...

Biegłam i biegłam, ale korytarze były puste. Biegłam i biegłam, ale nigdy nie dobiegłam do żadnego sklepu, nigdy niczego nie sprawdziłam, bo korytarze zmieniły się nagle w ciemne schrony z Warszawskiego Powstania i zaludniło się w nich od niedostrzegalnych, ale bliskich ludzi. Nie widziałam ich, ale wiedziałam, że klęczeli i słyszałam ich zmęczone, szeptane modlitwy, a od czasu do czasu z tego szeptu błagalnego wyrывał się jakiś dzwiczniejszy głos, jakby skądinąd, może z ulic nad schronami...

I nagle wśród szeptów najcichszych zahuczało, zatrzęsło, rzuciło mną o ścianę i zaczęły się walić sufity schronów a ja już nic nie wiedząc i nie widząc biegłam między walącymi się murami przysypana, zachłyśnięta i bezmyślna, aż nagle... co za ulga... rozjaśniło się naokoło, zapluskalo i zobaczyłam najpierw zielone wodorosty a potem dopiero zachmurzone niebo. Jechałam wąskimi Kanałami Xochimilco, a obok mnie ktoś — nie wiem kto — wiosłował i była to także ucieczka, ale inna, a może powrót?

Potem się już obudziłam i było mi bardzo dobrze. „Co za szczęście” — pomyślałam — „że w Mexico są kanały, a nie metro i schrony...”

Freud mówi o „resztkach z dnia” jak o jednym z elementów snu. Oto „resztką z dnia”: *Historia de Mexico* (podręcznik dla 3-ciej klasy szkoły powszechnej) i opis oblężenia Tenochtitlanu (bo tak się wówczas nazywało Mexico) w roku 1521-ym. Oto rysunek, niebardzo dobry, ale przejmujący: młody cesarz, ostatni obrońca Stolicy, Cuauhtémoc, na małej łódce ucieka ze zniszczonego już Tenochtitlanu aby w innych punktach, za miastem, zorganizować dalszą obronę. A bronili się oni jeszcze dłużej niż my, bo aż 91 dni, a więc był to pewno dzień 91-y...

Ale nic z naszych planów nie wyszło. Cuauhtémoca złapano i Cortez obwoził go potem po całym kraju sadystycznie i miłośnie, bo Oni — Zwycięzcy — pozwalali sobie na takie ambiwa-

lencji, odkupione — myśleli pewno — grozą i pięknem Wielkiej Przygody.

Nic z naszych planów nie wyszło. Nie dokonały niczego partyzantki tych którzy się przedarli lub uciekli, a inni powymierali lub poprzężywali w obozach jeńców, w więzieniach, w kacetach, na prowincji.

Ci których Cuauhtémoc nie mógł sobie w najbardziej fantastycznych fantazjach wyobrazić (a młody cesarz był intelektualistą) wybudowali mu potem pomnik i teraz po wiekach i latach mówi się, że nasze Beznadziejne Obrony miały „znaczenie symboliczne”... My także mamy swój pomnik w Warszawie. Co roku w rocznicę wybuchu Powstania... dla pomnika wieniec. Co roku w rocznicę poddania się Tenochtitlanu, wieniec dla Cuauhtémoca. 1 sierpnia 1944. 13 sierpnia 1521. Dlaczego tu poddanie a tam wybuch? Jakie znaczenie ma ta nieregularność historii? O ile ma w ogóle jakieś znaczenie?

O to się zapytam dziś wieczorem Ulissesa przy spotkaniu we *Flor de Mexico*, na rogu ulic Bolivar i Venustiano Carranza. Ta ulubiona kawiarnia Ulissesa, jak nasza dawna *Ziemiańska*, bardzo będzie odpowiednia do takiej rozmowy. Żeby nam tylko nie przerywali znajomi Ulissesa, dziennikarze i literaci, których tam zawsze tłumy!

— Ulissessie, Ulissessie — powiem — wiem, że jesteś niepowtarzalny, a jednak... i twoje imię, i twoje oczy, i linie twoich dłoni i twoje słowa, to przecież przedłużenia, warianty, wersje. Jesteś ciągłością, jesteś Historią i nawet jeśli chcesz być sam, nigdy nie możesz być zupełnie sam wśród tych wszystkich niezaprzeczalnych podobieństw...

I potem postaram się mu wyjaśnić to co najtrudniejsze do wyjaśnienia, a będzie to na temat „sensu życia” i będę mówiła o tym „sensie życia” w cudzysłowach i z uśmiechem zawstydzonym, bo przecież Ulisses i ja jesteśmy na pewno pozytywistami i odrzucamy metafizykę...

Zaczne chyba od Freuda, od tego, że Freud jest na ogół źle interpretowany bo freudowska etyka była etyką rozumu i woli, mozolnym poszukiwaniem kształtu, a nie, jak myśli wielu, poddaniem się chaosowi sprzecznych uczuć. A potem będę mówiła o tych jedynych nieśmiertelnych spośród ludzi, którzy przeistnieśli swoje Dzieje nic z nich nie rozumiejąc. Działo się naokoło nich, waliły się mury, wybuchały bomby, ludziom wydłubywano oczy, ale oni tego nie wchłonęli i nie zrozumieli, czyli według mojej definicji „życia” — nie przeżyli... Stąd ich nieśmiertelność i jest to jedyny rodzaj ludzkiej nieśmiertelności, bo jakże można umrzeć skoro się nigdy nie żyło?...

FRAGMENT

Mbayo, w lipcu 1963 r.

Przyszli mnie odwiedzić w mojej chatce *los senores*, panowie z Mbayo żonaci mężczyźni na odpowiedzialnych stanowiskach. Przyszli chłodnym rankiem w brązowych *gavanach*, wełnianych pledach w geometryczne wzory. Te wzory to przeważnie motywy z ich starodawnych, odległych i zwykle nieznanymi ruin. — „Panowie z Mbayo — średniowieczni rycerze...” — pomyślałam, jak zwykle, przejęta tą ich dawnością o której oni sami nic nie wiedzą, równocześnie zdając sobie sprawę z fałszowania w ten sposób ich niepowtarzalnego istnienia. Bo po co mi się znowu myśli terminami „rycerzy” i „Średniowiecza”... czy takie tłumaczenie ich obcości na mój język nie jest idiotycznie papierowe, niewybaczalne? Ale nie chcieli się ode mnie odczepić ci „średniowieczni rycerze” w geometrycznych *gavanach*, a to przecież nie rycerze a indiańscy chłopci, nie średniowieczni lecz współcześni! Ale zaraz sobie te zafałszowanie wybaczyłam, bo coś w tym dziwnego, że trudno mi znieść obcość tych już tak bliskich ludzi... „Jakoś sobie trzeba dać radę z obcością, jak nie prawdziwie to fałszywie” — pomyślałam.

Panowie z Mbayo umieją siedzieć na krzesłach, bo w każdej prawie chatce indiańskiej jest chociaż jedno krzesło dla gościa, a gdy nie ma gościa, na krześle siedzi dziadek, ojciec lub najstarszy syn, podczas gdy kobiety, dzieci, młodszy mężczyźni, siedzą w kucki na gliniastej podłodze. Ale w mojej chatce są meble. Jest to jedyna chatka z meblami w całej wsi. Mam duże drewniane łóżko, dwa krzesła, wielki stół. Czterech panów na dwóch krzesłach, sześciu na łóżku, a ja sama na walizce. Często ich papierosami. Palą trochę się krztusząc i wypytują mnie, jak zwykle, o rodzinę i o „moją ziemię”. Jeden z nich zapomniał znowu jak się ta ziemia nazywa. — „Polonia?” — powtarza zdumiony — „to tak samo jak moja żona, Apolonia...” — I potem wszyscy razem zaczynają mnie pytać jak tam ze żniwami w mojej „ziemi za morzem”.

— Bo u nas — mówi nagle cicho i monotonna jeden z panów — właśnie straciliśmy żniwa.

Chwilę się tylko mówi o tym, o powodzi, która zatopiła kukurydzane *milpy*, o tym, że inżynierowie robią co mogą aby opanować rzekę, „ale coś oni tam wiedzą”... i znowu ktoś powtarza tym samym przyciszonym głosem — „Tak, straciliśmy żniwa, cała kukurydza pod wodą...” — I więcej się już o tym nie mówi. Oni nie lubią tu mówić o zbyt często powtarzających się

katastrofach. Wiadomo, będzie głód, tak jak trzy lata temu. I trzeba będzie przegłodować, i... jakoś tam będzie...

To już nie „średniowieczni rycerze” w ciemnych *gavanach*, to my w zdobytych na Niemcach „panterkach”, my sami po kilku tygodniach Powstania, gdy już przybladła lub wygasła nadzieja. Wiadomo... za chwilę znowu bomby i jutro nowe pożary, jak wówczas w 1939-ym roku, ale głośniejsze i większe. A potem? Ci co przeżyją będą żyć i... jakoś tam będzie...

Potem mówiło się już tylko o *fieście*, o tym jak będzie udekorowany kościół i jaki wspaniały przygotowuje się w tym roku fajerwerkowy zamek. Fajerwerkarze z San Martin zażądali tym razem o 500 pesów więcej niż poprzednio. Żeby tylko nie padało w wigilię *fiesty*, bo zamokną fajewerki i nie będzie zamku...

A kiedy wyszli i został ze mną tylko Don Edmundo, napił się zaraz kawy, bo jakże tu było podać kawę w sześciu filiżankach dziesięciu panom z Mbayo... — „Jak to dobrze, że mogłam ich przynajmniej poczęstować papierosami” — powiedziałam, ale Don Edmundo nie usłyszał.

— Jeżeli będzie padało w wigilię *fiesty* — powiedział — zapalimy zamek pierwszego sierpnia, a jeśli będzie padało pierwszego sierpnia, to następnego dnia, ale lepiej żeby nie padało. Za kilka dni, kto wie, może się uspokoi... — mówił znowu — ale teraz, Donio Marylito, niech pani spojrzy, znowu nadciąga WODA...

— Wyjrzelśmy przez drzwi i rzeczywiście „nadciągała woda”... ciężkie chmury opadały na jasno zielone pagórki, a po drugiej stronie doliny, nad rzeką, tam gdzie *rancho* San Lorenzo ciemnymi smugami łączyło się niebo z ziemią. — „Trudno” — powiedział Don Edmundo — „pada i musi padać bo od deszczu rośnie księżyc, ale niedługo pełnia więc może przestanie”...

— A co się robi po takich straconych żniwach? — zapytałam bez wstępów — z czego się żyje gdy nie ma kukurydzy?

Don Edmundo przez chwilę milczał. Znam już tak dobrze te ich nieambarasujące milczenie. A potem innym, cichszym i bardziej monotonnym głosem, nie tym samym, którym mówił o *fieście*, powiedział — „Wszyscy wówczas muszą szukać pracy w stolicy, nie ma rady, chcą czy nie chcą, wszyscy jadą za pracą do Mexico”.

Mexico to piekło dla Indian *Mazahua*, Indian *Mazahua* tego

pokolenia, dla *los senores*, panów przyzwyczajonych do niepewności jutra, ale i do szacunku współmieszkańców, do codziennej porcji uznania, serdeczności, nadziei. Ale gdy nie ma kukurydzy, gdy na śniadanie są tylko trzy *tortije* wówczas trzeba szukać pracy w stolicy, bez serdeczności, bez szacunku, bez nadziei...

W czyścicu też nie ma serdeczności, bo skąd, i nie ma szacunku... ale to pewne, że jest nadzieja! A w Mexico? Może dla synów i wnuków, ale nie dla tej generacji! Dla *los senores* z Mbayo nie ma nadziei w stolicy! Oszukiwani, sponiewierani i głodni ciulają centawy na *tortije* dla dzieci. Jedyne wyjście dla nich to jak najszybszy powrót do Mbayo. W Mexico Don Edmundo nosi przy sobie długi, ostry gwóźdź, żeby się obronić przed złymi ludźmi gdy napadną. W Mbayo nie ma złych ludzi i można spokojnie chodzić nocą. Jedyne niebezpieczeństwo to diabły, ale na diabła ani gwóźdź ani nóż nie pomoże. Jedyne co pomoże to modlitwa, a gdy trzeba przechodzić w nocy koło mostu przy szosie do *haciendy*, lepiej mieć ze sobą krucyfiks bo diabeł spod mostu gorszy od innych!

— A myśmy podczas wojny nosili w kieszeni pieprz, bo pieprzem można oślepić, więc może by w Mexico zamiast gwoździa pieprz?

— Chyba nie... bo pieprzem niezawsze się trafi w oczy, a gwoździem, zwłaszcza długim i ostrym, zawsze się gdzieś trafi. Więc lepszy gwóźdź!

Gdy się już wszystko skończyło i po dwóch dniach ciszy zaczęła się ewakuacja Warszawy, szliśmy w znacznie większe nieznanne niż Indianie *Mazahua* wędrujący za pracą do Mexico. Przed nami były obozy jeńców, kacety, więzienia i nie było Warszawy do której można było wrócić. A oni — szczęśliwi — zawsze, choćby piechotą i żebząc, wrócić mogli do Mbayo...

Ale nie umiałem wytłumaczyć tego nawet Don Edmundowi, więc milczeliśmy znowu a nad nami szumiał deszcz i od czasu do czasu zabawnie, małymi kropelkami przeciekał przez sufit.

— Auden, angielski poeta zamieszkały w Stanach Zjednoczonych — wyrwało mi się nagle — powiedział, że największą przyjemność w życiu sprawiło mu podsłuchanie prostytutki, która biorąc prysznic deklamowała jego wiersz. Coś w tym rodzaju deklamowała:

„Setki ludzi żyją bez miłości, ale nikt nie może żyć bez wody!” — dobre, prawda?

Don Edmundo uśmiechnął się i zapytał:

— Czy poeci to tacy, którzy wiedzą więcej od innych?

Żeby móc naprawdę przetłumaczyć Mbayo na Polskę, trzeba by najpierw stworzyć Stany Zjednoczone Europy i wyobrazić sobie tę całą biurokrację i bezosobowość, która by z tego wynikała. Polska należałaby naturalnie do tych Stanów Zjednoczonych Europy i po „straconych żniwach” (bo każdy kraj miałby autonomię pozwalającą na takie lokalne straty) Polacy wyjeżdżaliby do centrum — Paryża, Brukseli czy Genewy — za pracą, za chlebem, za lepszymi możliwościami. Uważaliby się oczywiście za obywateli tych nowych Stanów Zjednoczonych Europy, ale chyba niezupełnie bo takie nowe lojalności nie od razu powstają. Ale w każdym razie, prawnie, intelektualnie etc. za takich by się na pewno uważali. Mimo to na Zachodzie nazywano by ich „Słowianami” (nie „Polakami” ale „Słowianami”) tak jak Indian z Mbayo nazywają w Mexico „Indianami” a nie tak jak się oni sami nazywają, *Mazahuami*.

A czymże oni naprawdę są jak nie *Mazahuami*, a jeśli nie *Mazahuami* to Meksykańczykami... a jeśli nie Polakami to Europejczykami!

Ale Słowianie ze „słowiańskimi duszami”... ale Indianie „chytzy i leniwi”... Przecież takich uogólnionych Słowian, takich uogólnionych Indian w ogóle nie ma!

— Nie, poeci to niezawsze tacy, którzy więcej wiedzą... czasami wiedzą mniej od innych, ale umieją to lepiej wyrazić — mówię — ale wyrazić to niekoniecznie wiedzieć. Czasami ci którzy nie umieją wyrazić, wiedzą więcej...

I znowu wiersz. Najpierw deklamuję po polsku:

*„W słowach tylko chęć widzim,
W działaniu potęgę.
Trudniej dobrze dzień przeżyć
Niż napisać księgę”.*

I potem tłumaczę. Ale Don Edmundo uśmiecha się sceptycznie, gdy mówię, że ten wiersz napisał bardzo sławny poeta z „mojej ziemi”. Teraz już wie, że poeci niezawsze mówią prawdę, bo przecież to jasne, że nie łatwo jest napisać księgę skoro samo pisanie a nawet podpisanie się jest takie trudne. A to „dobre przeżycie dnia” pewno dla niego nic nie znaczy, bo oni tu przecież nie myślą w ten sposób. Nie myślą o przeżyciach i nie myślą o takim zindywidualizowanym dobrze i źle.

— Tamto o wodzie jest prawdziwsze — mówi — bo bez wody rzeczywiście nie można nic zrobić i chociaż woda zniszczy-

ła zniwa i wiele jeszcze razy zniszczy, bez wody przecież nic by nie wyrosło, nie byłoby nawet czego zniszczyć.

Tam gdzie zeszłego roku była kukurydzana *milpa*, w tym roku młody owies. Przez rozmokniętą ziemię, porośniętą jasnozielonym owsem, pod tym samym zachmurzonym niebem, z tą samą szeroką doliną naokoło, idę z mojej chatki na obiad do *Ngeme*, Dużego Domu Doni Eleny i Dona Pancho. Przez kamienne płoty, kamienistą drogę, rwące żółte strumyki mętnego deszczu, potem po śliskich wybojach aż do tarasu *Ngeme*. Jest to naprawdę taras. Obszerny, cementowy, kilka razy większy od Dużego Domu, który jest po prostu dwuizbową lepianką. Na tarasie brązowa, świecąca Donia Elena, ukochana córka Veronica, młoda i rozłożysta, mąż jej smukły Jorge o jasnej twarzy i jak zwykle gromadka dzieci, kilka prosiąt, indyków i dwa krzesięczone dla gości. Brak tylko Doni Genovefy, którą pochowano parę tygodni temu na Kalwarii. Ale cóż to za przejmująca ciągłość... oto osiemnastoletnia Ernestina z profilem Doni Genovefy jej rękami czyści pszeniczne ziarna...

Na dwóch krzesięczonek siedzimy Don Edmundo i ja, a Jorge przysiadł na cementowym murze okalającym taras *Ngeme*. Spod luźnych pali, pod dachem wypływa gęsty dym. Donia Elena i Veronica już zaczęły gotować w dobrej dymnej kuchni. A my tymczasem chcemy obgadać tę sprawę publikacji *El Libro de Mbayo*, Księgi Mbayo. Czy, kiedy i co by trzeba dodać, co zmienić? Jorge woła Aurelię. Niech przyniesie nam po szklance *pulque*, soku agawowego.

— *Pulque* jest rozwodniona od tej ulew — mówi Aurelia — wczoraj wyciągnęliśmy wodę miodową z kilku agaw, ale nawet fermentować nie chce, taka wodnista...

Wiec bez *pulque* o Księdze Mbayo... — „Trzeba dodać rozdział o tym jak w Los Pinos zabili *Gringo*, Amerykanina” — mówi Jorge. — „Bo przecież tyle krów co on wymordował w okolicy i ta cała krzywda, to wszystko co się tutaj potem działo... Gdy mój Ignacio dorośnie, chcę aby o tym wiedział. Przecież po to napisaliśmy *El Libro de Mbayo* aby nasi synowie wiedzieli...”

To jest nawiązanie do poprzednich wątków. Od zeszłego roku Jorge domaga się tego rozdziału „O wymordowanych krowach i zabitym *Gringo*” i ja jestem oczywiście po jego stronie, bo przecież to codzienny temat rozmów w Mbayo a więc na pewno ważne wydarzenie w historii wsi. Co najmniej tak ważne jak Wielki Głód z 1910 roku, jak trzęsienie ziemi z roku 1912, jak epidemia grypy z 1918, tylko, że bliższe bo Amerykanina zabito w roku 1948 gdy Jorge był małym chłopcem.

Ale, tak jak poprzednio, Don Edmundo nie chce tego rozdziału.

— Wystarczy po prostu napisać, że w roku 1948 rozprzestrzeniła się w okolicy choroba pyska i racic. To wszystko — mówi powoli. — Tyle tylko nasi synowie, wnuki i prawnuki powinni wiedzieć...

Więc tak... cenzura... i Don Edmundo, jeden z najważniejszych panów z Mbayo jako cenzor! I po co? Ale jak mu to wytłumaczyć? Jak przetłumaczyć pojęcie „cenzury” na rzeczywistość Indian z Mbayo. A Jorge jest siostrzeńcem Don Edmunda a poza tym Jorge jest młodszy i już milczy, już wiadomo, że mi nie pomoże...

„Zresztą nie powinnam się wtrącać — powtarzam sobie w myśli — „nie powinnam się do niczego wtrącać”. — Ale jakże to trudno, bo przecież dla nich z Mbayo zabicie *Gringo* i *to co się stało potem* to tak jak nasza wojna, więc jakże tu można było zapomnieć! Nie mogą i nie chcą zapomnieć. *Nie mogę i nie chcę!* I jak tu być obiektywną, obojętną, naukową? Jak mogę pozwolić, tak bez protestu na to Wielkie Przemilczenie?

Już, już prawie mi się powiedziało, że przecież beze mnie nic by nie wyszło z *Księgi Mbayo*, bez mego magnetofonu, bez mojej maszyny do pisania, nawet bez mojej nienajlepszej gramatyki hiszpańskiej, no i oczywiście bez mego wstępu o przedkolonialnej przeszłości *Mazahuów* też trudno by myśleć o publikacji... Ale powstrzymałam się w ostatniej chwili.

— Don Edmundo, niech się pan chwilę zastanowi — powiedziałam spokojnie.

Przecież naprawdę nie ma powodu, aby się obawiać, że którykolwiek z rządów, amerykański czy meksykański będzie się teraz, w 1963 roku, mścił na Mbayo za tego *Gringo* zamordowanego w Los Pinos w 1948 roku, *a to co się stało potem* nigdy się już nie powtórzy! Nikt o tym poza Mbayo już nie pamięta, a jeśli się nie umieści tego rozdziału, wasi potomkowie zapomną...

Jorge nie powiedział ani słowa, słuchała uważnie Ernestina nie przerywając czyszczenia pszenicy i na różowych nogach chodziły naokoło biało-szare indyczki. Czekaliśmy na słowa Don Edmunda i Don Edmundo, jak zwykle, powiedział coś nie do przewidzenia:

— Tu nie chodzi o niebezpieczeństwo — powiedział — chodzi o to, że była to niejasna sprawa. Bo i ci z Los Pinos mieli rację zabijając *Gringo* i on, *Gringo* też miał rację zabijając krowy... Więc dlatego nie powinno się o tym pisać bo jakże wytłumaczyć, że i jedni i drudzy mieli rację...

Więc tak! Więc nie chodzi tu o strach przed zemstą, chodzi o

coś czego nie da się wyrazić w prostym języku ludzi z Mbayo, o sprawy trudne do wyrażenia nawet w skomplikowanych językach najwyższych cywilizacji. Chodzi tu przecież o nienazwaną *sprawiedliwość*. Więc stąd cenzura! Stąd Wielkie Przemilczenie! Tak!...

Alicja IWAŃSKA

Zapowiedzi wydawnicze

W 30 lat po ukazaniu się pierwszego tomu wierszy **Jerzego Pietrkiewicza**, Biblioteka **Kultury** wydaje reprezentatywny wybór jego poezji pt.:

POEMATY LONDYNSKIE I WERSZE PRZEDWOJENNE

który zawiera utwory z okresu 1935 — 1953

W młodym pokoleniu przedwojennym poezja autora „Prowincji” osiągnęła wielką popularność; na emigracji **Pietrkiewicz** prowadził dalej pracę odkrywczą w budowie poematu aż do „Sielanki stołecznej” w 1952 r. Od 1953 r. pisze po angielsku i zdobył już sobie wybitną pozycję w powieści współczesnej. Ten sukces w nowym języku coraz bardziej zwraca uwagę na oryginalność jego twórczości poetyckiej. Wybór, który ogłaszamy, pozwala po raz pierwszy na ocenę polskiego dorobku **Pietrkiewicza**.

Tom który będzie liczył około 200 stron ukaze się w październiku.



ARTUR KOESTLER

FRAGMENTY WSPOMNIEŃ

wzięte z dwóch tomów autobiografii autora, obrazujące jego współpracę z partią komunistyczną, pobyt w Związku Sowieckim, historię jego rozczarowań i powody jego ostatecznego zerwania z komunizmem.

Seria „Archiwum Rewolucji”

William Butler Yeats

W tym roku kraje anglosaskie obchodzą setną rocznicę urodzin poety irlandzkiego Yeatsa. Zapewne jest to jeden z wielkich mistrzów poezji naszych czasów. Jego dojrzała twórczość przypada na okres międzywojenny.

Twórczość Yeatsa związana jest silnie z jego krajem ojczystym. Myśląc o Irlandii, zawsze nasuwają mi się analogie z Polską. Ubogi rolniczy kraj, zabobonna wiara w mity pogańskie i świętych katolickich, talent ludności do wisielczego humoru, zamiłowanie do niekończących się rozmów przy kieliszku, idealizm i małostkowość, słomiany ogień entuzjazmu, retoryka.

Lata (wieki!) okupacji i dominacji polityczno-religijnej przez silniejszego sąsiada. W rezultacie Irlandczycy tworzą w jęz. angielskim. Wśród nich Swift, Berkeley, Burke, a w naszym studium Shaw, Joyce, Synge, O'Casey, Beckett i oczywiście Yeats.

„Wielkanoc 1916” upamiętnia tragiczne powstanie w Dublinie przeciw władzy brytyjskiej. Podobnie jak Mickiewicz w *Dziadach III*, czy Norwid w wierszach poświęconych Bemowi, Abdel Kaderowi, Johnowi Brown, Chopinowi, Yeats wcielał do swej poezji współczesnych wybitnych ludzi, współczesne wydarzenia, hieratyzował, budował mitologię z faktów, które dopiero miały stać się historią. Poemat Yeatsa kreśli „zmarmurzenie się” legendy: oto walka o wolność przetwarza przeciętnych, szarych obywateli w postacie heroiczne, „srogie zrodziło się piękno”. Bohaterem staje się ten, który we właściwym momencie staje na poziomie zadania. Może nim być Connolly i Pearse, a nawet MacBride, ten, który poślubił kochaną przez poetę Maud Gonne.

Yeats otrzymał nagrodę Nobla w 1923 r., był dyrektorem słynnego Abbey Theatre w Dublinie, senatorem Niepodległego Państwa Irlandzkiego. Zmarł we Francji w 1939 r. Po wojnie prochy poety sprowadzono uroczystie do ojczyzny na pokładzie korwety. Na pogrzebie w imieniu rządu przemawiał senator MacBride, syn bohatera z r. 1916.

A. Cz.

William Butler YEATS

WIELKANOC 1916 r.

Widywałem ich, jak wracali
Wieczorem z kantorków i biur,
Bystre twarze na tle płowych
Osiemnastowiecznych portali.
Mijałem ich skinieniem głowy
Lub mało znaczącym słowem;
Lub zatrzymywałem się chwilę,
Wypowiadałem mało znaczące słowa
I układałem już w trakcie rozmowy
Cięte kawały, by przyjaciela
Ubawić w klubie po wieczery,
Bom przekonany był, że i ja i oni
Chodzimy w błazeńskim ubiorze:
Wszystko, wszystko się zmienia,
Srogie zrodziło się piękno.

Tej kobiecie dni schodziły
Na próżnym działaniu, głosu szkoda
Który w nocnych dysputach straciła.
A jakież słodki był jej głos
Gdy piękna i młoda
Z psami gnała w las!
Ten znów prowadził szkodę,
Na skrzydlatym jeździł koniu;
Ten drugi jego pomocnik i drub
Nabierał sił,
Mógłby w końcu zdobyć stawę,
Charakter okazał prawy,
Myśl odważną a słodczy pełną.
Tym trzecim był zapity
Pyszatek bezczelny;
On to skrzywdził boleśnie
Bliskich mojemu sercu,
Lecz jego także zaliczam do pieśni,
On także zrzekł się roli
W tej przypadkowej komedii,
On też w pełni przemieniony:
Srogie zrodziło się piękno.

Tylko serca we wspólnym celu złączone
Latem czy zimą zauroczone
Zdają się w kamień,
Aby żywy zakłócać strumień.
Koń, który z drogi schodzi,
Jeździec, ptaki, które kołują
I z szybujących spadają chmur,
W każdej zmieniają się chwili;
Cień chmury w strumieniu

W każdej zmienia się chwili;
Kopyto się ześlizguje,
Koń się w strumieniu chlapie;
Długonogie kurki pikuja,
Wodne kurki do samców bieżą:
Żyją od chwili do chwili,
W środku rzeczy kamień leży.

Zbyt długa ofiara w kamienie
Serca przemienia.
Oh, kiedyż ona ustanie?
To Niebios rola, naszym zadaniem
Jest szeptać imię po imieniu, podobnie
Matka nazywa swe dziecię,
Gdy sen wreszcie schwyci
Rozszalałe członki.
Czy nie jest to tylko nadejście nocy?
Nie, to nie noc, to śmierć;
Czy więc daremna śmierć?
Boć może Anglia słowa dotrzyma
Wbrew temu co mówią i czynią.
Znamy ich sny; wystarczą wieści,
Że śnili i że ich nie ma;
A jeśli przesył miłości
Przyniósł zamęt i śmierć?
Spisuję to wierszem —
MacDonagh i MacBride
I Connolly i Pearse
Teraz i w czasie przyszłym
Gdziekolwiek chodzą w zieleni,
Wszystko, wszystko się zmienia,
Srogie zrodziło się piękno.

25 września, 1916

Przełożył Adam CZERNIAWSKI

HOMO FABER

Zaczęli od kul
sztucznych zębów
i szklanego oka

Już dzisiaj uszy
są nam właściwie całkiem niepotrzebne
nie słyszymy nic
wyżej włosów
niżej niż naskórek

Język nasz
wszędzie zastępują drewnianym
językiem naukowym

Serca też
słyszę
będziemy mieli plastikowe
perpetua mobile
nieśmiertelne pompy
nikt więcej nie będzie umierał
na udar serca

najwyżej nieudar

A gdy się czas wypełni
i nastąpi noc
(noc na wieki wieków
o której prorocy)
powiedzą:
tylko krótkie śpięcie w gwiazdach
i zaraz naprawią

Jan DAROWSKI

DZIECI NASZE BĘDĄ MÓWIŁY

Wystrzelali wyłapali
dla skór kości groszy gapiów

*Cały świat pusty będzie
nic na czterech nogach
prócz krzesel stołów — nie wyskoczy wilk
już z lasu ani z bajki
Zostaniemy sami
my i bakterie księżyc i kamienie
i może kot rzezaniec
i pasożyt pies*

*Dzieci nasze będą mówiły:
Ryszard Psie Serce*

Jan DAROWSKI

DROGA

*Gdy człowiek zgubi siebie
zaczyna szukać drogi okrężnej do Indii
albo na księżyc
lub do socjalizmu
i ścina drzewa głowy wszędzie leje beton
brukuje stawia znaki i latarnie*

*Ale z lasami znikło święte Jeruzalem
miasto Przymierza
wydrenowano tęczę
wraz z wodą moczarów*

*Boją się nas zwierzęta
i kwiaty nie chcą już z nami rozmawiać
ani Bóg —
otwieramy usta
lecą z nich kamienie
Cóż robi z tym człowiek?
Stawia sobie dom
wieżę betkotu więzienie nagrobek
i zimny z czoła ocierając pot
na klęczkach w polu plecami do słońca
brukuje brukuje
swą drogę z nikąd do nikąd*

Jan DAROWSKI

O KAPŁAŃSTWIE

*Kiedy się począłeś człowieku w czarnej sutannie
jakie wiatry cichły w kołysce
abyś był solą ziemi?*

*Teraz wydano ciebie ludziom
jak codzienność w dłonie dobrych i złych
każdy może sprawdzić twoją gorycz powszednią
może się bawić Boży pająku
twoim milczeniem aż przygaśniesz jak popiół
podeptany uśmiechami bliźnich.*

*Jesteś sam
twoje drogi porwane skrzydłami galaktyk
dochodzisz tylko w początkach
na takiej wysokości trzeba mieć siły aniołów
więc musisz sam czarny cieniu
piąć pajęczyny nieba*

*W ostrożnych brzegach winnic
samotność chwyta pożary świata
chwyta na próżno — w rękach zostaje proch
jak zawsze, kiedy krzyże odchodzą od ciebie
potem noc tłucze w dzwony
samotność powraca
abyś w rozbłyску łaski odnalazł Emaus*

*Czym jesteś pająku nieba?
Jakie niesiesz drogi ponad zieloną śmiercią?*

*Nim dłonie przewiążą różańcem
i wersetami psalmów wychłódzą powieki
odpowiem sobie: jestem tylko glinianym dzbanem
który codziennie leczy wielka ręka Pana.*

PYTANIA

*Kamień stygnie na świadectwo prawdzie
prawda chowa źródła kłamstw człowieka
więc dlaczego w wieżach wymierzacie
czas i przestrzeń gdy od was ucieka?*

Po co wiązać ręce białych dymów
Kiedy kreda obraz twój przechowa?
będziesz dzwonem wysokich kominów —
czy w gałęziach wszędzie twoja głowa?

Kamień źródła przewiąże zielono
wiatr szlakami poprowadzi wieków...
więc dlaczego wieczorami słono
wypatrujesz niedzisiejszych brzegów?

ANONIM

Głos z kraju

Z dość dziwnymi i mieszanymi uczuciami zasiadam do pisania. W Polsce często silnie odczuwałem brak możliwości wypowiedzenia się, otwartego wyrażenia — choćby zupełnie anonimowo — swoich myśli. Gdy ta sposobność wreszcie nadchodzi wcale nie jest łatwo z niej skorzystać. Może powodem tego jest zbyt „uroczyste” podejście do zagadnienia, wyobrażanie sobie, że przy tej wyjątkowej, a może jedynej, okazji powinno się powiedzieć coś bardzo zasadniczego, zmieścić na kilku pośpiesznie pisanych kartkach obraz życia w Polsce dzisiejszej przemieszany z własnymi wrażeniami i odczuciami.

Dlatego nie wykorzystałem tej sposobności przy moich dawniejszych — nielicznych zresztą — wyjazdach zagranicznych (zagranicznych w rozumieniu na Zachód), dlatego wcale nie jestem pewien czy próba obecna nie skończy się na kilku zapisanych i pokreślonych kartkach, które w końcu zostaną podarte i wyrzucone.

Prócz tego — po przeczytaniu, czy raczej z braku czasu pośpiesznym przekartkowaniu szeregu numerów „Kultury” (niektórych z ostatnich miesięcy, niektórych sprzed dziesięciu i więcej lat) — nie wydaje mi się, żebym mógł napisać coś nowego i oryginalnego. Możliwość czytania paryskiej „Kultury” (przymiotnik „paryskiej” może w tym przypadku zbędny, ale powszechnie stosowany w Polsce dla odróżnienia od tygodnika pod tym samym tytułem wydawanego w Warszawie) od szeregu lat nie mam zupełnie. Przez pewien czas, po październiku 1956 roku, była ona u nas pismem prawie jawnym. Nie było jej w oficjalnej sprzedaży, ale sporo egzemplarzy przenikało do nas i kursowało z rąk do rąk, nawet bez zachowywania jakichś specjalnych ostrożności. Artykuły i wypowiedzi „Kultury” były często cyto-

wane w naszej prasie. Obecnie od dawna należy to do przeszłości.

Dlaczego właśnie „Kultura” tak mnie interesuje i dlaczego właśnie do „Kultury” skieruję to co piszę? Nie znam całej prasy emigracyjnej, ale wśród znanych mi pism czy audycji radiowych „Kultura” ma zupełnie odmienny i — z mojego punktu widzenia — jedyny do przyjęcia charakter.

Wydaje mi się, że wiele wypowiedzi drukowanych czy wygłaszanych po polsku przez zagraniczne radiostacje jest po prostu formą dywersji. Że celem ich jest utrzymywanie w Polsce stanu wrzenia i niezadowolenia, a nawet pewnego biernego sabotażu gospodarczego, przeciwdziałanie zaakceptowaniu istniejącego stanu rzeczy. Takie stanowisko jest może zrozumiałe z punktu widzenia walki z ustrojem komunistycznym i dążenia do kompromitacji i bankructwa, ale — pomijając już wątpliwość osiągnięcia tego celu — czy uwzględnia ono los ludzi mieszkających i żyjących w Polsce?

A przecież taki stan rzeczy istnieje już w Polsce (i nie tylko w Polsce) lat przeszło dwadzieścia i nic nie wskazuje na możliwość jego radykalnej zmiany. Co najwyżej liczyć można na złagodzenie systemu w kierunku większej swobody i tolerancji. W tych warunkach wielu ludzi zakończyło swoje życie, wielu rozpoczęło swoje życie świadome, wielu się urodziło i też prawdopodobnie w tym ustroju — ewentualnie złagodzonym — będzie musiało życie swoje przeżyć. Powinni je przeżyć możliwie zadowoleni, możliwie szczęśliwi.

Czy przeciwnicy komunizmu mogą przyjmować i stosować jego najbardziej bezsensowną i niehumanitarną zasadę przeznaczania całych pokoleń na nawóz, na którym ma wyrosnąć szczęście tych co przyjdą po nich? Zasadę nie do przyjęcia z punktu widzenia moralnego i logicznego. Moralnego — bo człowiek rodzi się nie po to żeby być nawozem, ale ma prawo do dostępnemu sumy szczęścia. Logicznego — bo gdyby nawet względy moralne odrzucić, to na przestrzeni tych stu lat (pięćdziesięciu na pewno nie, bo prawie tyle minęło już od 1917 roku) stale ewoluujące formy życia i jego warunki zmieniają się na tyle, że te olbrzymie ofiary okażą się daremne.

Stanowisko „Kultury” jest odmienne. Reprezentuje ona z dużym odczuciem i zrozumieniem sprawę ludzi mieszkających w Polsce. Wydaje mi się, że pismo to, gdyby istniały ku temu możliwości, powinno być wydawane w Warszawie. Wielka szkoda, że jest ono niedostępne dla czytelnika w kraju. Czytywać je mogą najwyżej najbardziej zaufani członkowie partii, którzy o ile robią jakiś użytek z zamieszczanych w nim artykułów, to na pewno jak najmniej zgodny z intencjami ich autorów.

Trochę za dużo piszę może o „Kulturze”. Od człowieka przyjeżdżającego z kraju należałoby raczej oczekiwać jakichś bezpośrednich wrażeń o tym co się tam dzieje. Przypuszczalnie to co piszę wyglądałoby zupełnie inaczej, gdybym to napisał przed przyjazdem. Obecnie mam już poza sobą trochę obserwacji, trochę rozmów i przede wszystkim wiele artykułów przeczytanych w „Kulturze”. Niektóre z nich pisane były już dawno temu, ale dla mnie były nowością. Wszystkie — stare i nowe — zrobiły na mnie duże wrażenie. Uderzyła mnie nie tyle dokładność informacji i znajomość faktów nam często nie znanych, bądź znanych w odpowiednim naświetleniu i po odpowiednim „spreparowaniu”. Uderzyło mnie i zaskoczyło tak dobrze zrozumienie tego co się u nas dzieje, trafna i wnikliwa ocena warunków i klimatu w jakim żyjemy, zaskakujące u ludzi żyjących od tyłu lat poza krajem, z których wielu dzisiejszej Polski w ogóle nie zna.

My, żyjący w Polsce, nie jesteśmy przeważnie zdolni do takich syntetycznych ujęć. Dopiero po przeczytaniu człowiek dziwi się, że — mając właściwie wszystkie ku temu przesłanki — nie wpadł na to sam. Mam tu na myśli przede wszystkim doskonałe i dla czytelnika z Polski szczególnie interesujące artykuły Mieroszewskiego.

Uwolnić się od tych świeżych i silnych wrażeń nie potrafię i dla tego to co piszę nie będzie jakąś polemiką z artykułami „Kultury”, ale czasem będą one dla mnie punktem wyjścia czy punktem oparcia.

Miedzy innymi duże wrażenie zrobił na mnie artykuł Miłosza „Ketman”. Zdaję sobie sprawę, że nie można dziś polemizować z artykułem pisanym w 1951 r. Od tego czasu wiele się zmieniło, a i poglądy autora mogły ulec znacznej ewolucji. Zresztą — artykuł nie stracił aktualności. Ketman jest ciągle w Polsce uprawiany, a różne jego formy zostały przez Miłosza świetnie opisane. Nie mogę się tylko zgodzić z tym, żeby Ketman miał być źródłem dumy i zadowolenia, a nawet „stanowić jedną z głównych uciech w życiu”. Na podstawie moich obserwacji Ketman budzi raczej cynizm i utratę wiary we wszelkie wartości w połączeniu z pogardą dla siebie. Mając też poza sobą o 14 więcej doświadczenia mogę dodać, że często Ketman nie opłaca się. Trudno przez tyle lat grać bezbłędnie. Wcześniej czy później coś się nie uda, albo po prostu przesadzi się w gorliwości, a wtedy biada uprawiającemu Ketman. Partia toleruje „reakcjonistów”, aby tylko dobrze pracowali i powstrzymywali się od krytyki, ale dla zdemaskowanego „ketmaniarza” nie zna litości i położenie jego staje się bardzo trudne.

W Polsce panuje duża solidarność ludzi nie zaangażowanych politycznie, która jest dużą osłodą trudnych warunków w jakich na ogół żyją. Ale ludzie ci nie przyjmą między siebie tego, który niedawno panoszył się na wysokim stanowisku, a teraz trafił między nich.

W związku z tym w Polsce jest jeszcze uprawiony Ketman innego rodzaju. Dwa czynniki mogą u nas kierować postępowaniem ludzi. Jeden, to chęć przypodobania się władzy, będącej dystrybutorem wszelkich dóbr. Drugi, to zdobycie sympatii otoczenia i kolegów. Ostatecznie nie jest przyjemnie być kimś, dla którego wszyscy są bardzo grzeczni i skwapliwie mu przytakują, ale — milkną rozmowy gdy nagle wejdzie do pokoju. Z „władzami” styka się ten ktoś rzadko, zebrania też nie są częste, a z kolegami spędza się codziennie 8 godzin, często też miałoby się ochotę nawiązać z nimi stosunki prywatne. Dlatego wielu udaje krytykujących i niezadowolonych, wcale nie w celu jakiejś prowokacji, ale żeby zdobyć sympatię otoczenia i być uważanym „za swojego”. Jest to dowód dużej solidarności i jednomyślności społeczeństwa, o której już wspominałem. Gdy trafia się w jakieś nowe, nieznane środowisko, np. obejmuje nową posadę lub przyjeżdża na wczasy, początkowo panuje wzajemna ostrożność i nieufność. Po kilku dniach ludzie „zaczynają gadać”. I wtedy zastanawia, gdzie są właściwie ci zwolennicy systemu. Czyżby tylko i wyłącznie Ketman?

W tym co się pisze lub mówi publicznie Ketman musi już być konieczne, ale też różne są formy jego nasilenia, na które polscy odbiorcy nabrali niesłychanego wyczulenia. Mówca zostanie od razu nieomyślnie osądzony. Czy „musiał to powiedzieć”, i wtedy nikt mu nie weźmie tego za złe, czy też „chciał być gorliwym” lub „chciał się podliznąć”, i wtedy ewentualnie zyskuje uznanie władz, ale traci sympatię otoczenia.

Wspominałem o dużej solidarności i jednomyślności społeczeństwa. Solidarność niewątpliwie, ale z jednomyślnością sprawa nie jest już tak prosta. Jest ona dość znaczna, ale w negacji. Wielu ludzi pragnie zmiany, ale jakiej — tego sami nie wiedzą. W naszych warunkach nie można mówić o jakimś programie. Ustalenie programu wymaga pewnej grupy ludzi, pewnych organizacji. Legalnie powstać one nie mogą, a tylko szalenie mógłby pomyśleć żeby tworzyć je konspiracyjnie. Nie o konkretny program więc idzie, ale o jakąś najogólniejszą i niesprecyzowaną wizję tego, czego by się pragnęło. Wydaje mi się, że brak tej wizji jest główną słabością społeczeństwa i główną siłą systemu. Gdyby ta jakaś zbiorowa myśl, zbiorowe pragnienie — nawet nie poparte jakąkolwiek działalnością — istniały, sytuacja w

Polsce mogłaby chyba wyglądać trochę inaczej, nawet w ramach panującego systemu.

Niektórzy ludzie pragną po prostu powrotu warunków sprzed 1939 r., inni wyznają mityczną wiarę w Amerykę, która ma w jakiś bliżej nieokreślony sposób „zrobić porządek” — tych, choć niestety dość licznych, nie można chyba traktować poważnie. Nie biorą też ich poważnie i władze, które nie stosują nawet do nich jakichś represji, uważając ich za nieszkodliwych durniów. Jest trochę nielicznej już, i stopniowo wymierającej, starszej postępowej inteligencji z tradycjami P.P.S. Są pewne — socjalistyczne w zasadzie ale przeciwstawiające się obecnemu systemowi i jego metodom — kierunki wśród młodzieży, która wcale nie jest tak bezmyślna jak się mówi, i to jest chyba bardzo pocieszające. Niemniej pocieszające są pewne objawy i odruchy buntu i niezadowolenia wśród młodej, wykształconej i czytanej inteligencji partyjnej, znającej kierunki i rozwój socjalizmu na zachodzie Europy i często chętnie słuchającej starych przedwojennych działaczy P.P.S., którzy formalnie należą do partii, ale nie odgrywają w niej żadnej roli.

Niestety — społeczeństwo polskie nie jest w przeważającej części demokratyczne. Wielu narzekających na obecny system chętnie — gdyby było to w ich możliwości — pozamykałoby w więzieniach i obozach tych, co są górą obecnie i w ogóle tych, co mają inne niż oni przekonania. Przypuszczam, że wcale nie byłiby lepsi. Obozów jednak w Polsce teraz nie ma. Ponadto — zdarzają się w Polsce objawy antysemityzmu, bardzo przykre i niepożądane, bardzo też szkodzące nam w opinii zagranicznej. Dochodzi do sytuacji zupełnie paradoksalnych. Np. Moczar zaczyna się cieszyć sympatią pewnej — szczęśliwie nielicznej — części społeczeństwa ze względu na swoją opinię antysemisty. Dla tego powtórzę to, co już napisałem na początku — szkoda, że „Kultura” do kraju nie dociera; może przyczyniłaby się do powstania tak bardzo w naszym społeczeństwie brakującej zdrowej myśli politycznej, do urobienia jakiegoś rozsądnego i realnego światopoglądu ludzi, zdanych na artykuły w „Trybunie Ludu”, albo — na audycje „Wolnej Europy”.

Jeśli idzie o sytuację w Kraju, to ogólnie wiadomo, że nadzieje października zawiodły. Artykuł Mieroszewskiego na ten temat (o Polsce, która po październiku przodowała i była na ustach wszystkich, a teraz dała się wyprzedzić nawet przez nadmiernie dawniej ostrożną i lojalną Czechosłowację) obok dawniejszego artykułu o „aparaczykach”, których Gomułka nie potrafił i nie mógł się pozbyć, są główną podstawą wyrażonej o nim opinii (mogę mówić o tych tylko, które czytałem, a było ich — czego żałuję — niewiele). O tym pisać nie byłoby celu, ale chciał-

bym jednak dorzucić kilka uwag dotyczących nastrojów i sposobów myślenia ludzi w Polsce.

W pełni zdaję sobie sprawę z paradoksalności tego twierdzenia i z góry zaopatruję je we wszystkie możliwe zastrzeżenia, ale powiedziałbym, że w pewnym sensie nie tylko jest gorzej niż bezpośrednio po 1956 r., ale nawet niż przedtem. Przed 1956 rokiem działała bezpieka, ludzie znikali bez śladu, skazywani byli bez sądów. Zakłamanie prasy i radia dochodziło do absurdu. Ciągłe słyszało się i czytało o dobrobycie w Polsce i nędzy w Ameryce, wszystkie odkrycia i wynalazki były dokonane przez uczonych radzieckich. Ludzie reagowali trochę podobnie jak podczas okupacji. Ogarnięci determinacją wierzyli, że to się musi zmienić. Wydawało się, że jest zbyt źle, żeby to mogło się utrzymać. Byli tacy co marzyli nawet o wojnie.

Ale wśród tych, którzy robili to wszystko — nie wyłączając okrutnych metod śledztwa — byli jednak także i obłąkani ideowcy, typu Sawonaroli czy inkwizytorów hiszpańskich, wierzący w świętość sprawy i konieczność stosowania uświęcających ją środków. Byli szczerzy i fanatyczni wyznawcy Nowej Wiary (używam teraz dopiero poznanego określenia Miłosza).

Obecnie — i to miałem na myśli używając słowa „gorzej” — wierzących już chyba nie ma. Panuje powszechny cynizm i niewiara. Przemówienia, artykuły w pismach, masówki, akademie i inne obrządki nowej wiary robią wrażenie mszy odprawianej przez księdza, który dawno sam utracił wiarę. Odnosi się wrażenie, że wygłaszający przemówienie nie wierzy w to co mówi, wie że nie uwierzą w to jego słuchacze, którzy wiedzą, że on sam w to nie wierzy. Słuchacze i dawniej nie wierzyli, ale reagowali wewnętrzną pasją i wzburzeniem. Dziś przyjmują to obojętnie. Wyzbyte wewnętrznej treści słowa i recytowane slogany z pustki wychodzą i w pustkę wpadają.

Przykładem mogą być niedawne wybory. W czasie poprzednich wyborów (nie po październiku a dawniejszych) ludzie głosowali „zbiorowo, jawnie i demonstracyjnie”, ale robili to z wściekłością, z poczuciem popełnianego na nich gwałtu, a nawet z pogardą dla swojej uległości, choć była ona wtedy konieczna. Obecnie głosowali z całkowitą obojętnością — tak jakby dopełniali jednej jeszcze z licznych w naszym biurokratyzowanym życiu formalności. Nie znaczy to żeby się stali bardziej tchórzliwi i ulegli, żeby nie byli zdolni do takich wystąpień jak w październiku. Mieli po prostu poczucie, że spełniają akt bez znaczenia, a nikt nie będzie nie tylko narażał się ale i „wygłupiał” bez potrzeby. Zebrania i wiece przedwyborcze też były krótkie i jałowe. Znowu wydawało się, że i mówcy wiedzą że to nie ma znaczenia, a tylko dopełniają przyjętego rytuału. Bo — co może

jest paradoksem — ludzie którzy stracili wiarę (a także ci, którzy jej nigdy nie mieli) jednocześnie uznali za coś naturalnego zachowywanie rytuału.

Ludzie w Polsce nie wierzą już w nic, w pierwszym rzędzie nie wierzą w sprawiedliwość. Łamanie jej stało się normalnym zjawiskiem, które nie budzi już oburzenia. Człowieka na Zachodzie oburza przede wszystkim sam fakt naruszenia, choćby bardzo drobnego, jego świętych, obywatelskich, zagwarantowanych konstytucją praw. W Polsce nikt by się tak nie ośmieszał. Człowiek pominięty np. przy przydziale dawno mu obiecanego mieszkania nie będzie dochodził swoich praw, tylko szukał protekcji, znajomości i tzw. „chodów”. Na niepowodzenie będzie reagował złością, ale nie oburzeniem — nie udało się „załatwić”. Słowo to oznacza w Polsce bardzo wiele rzeczy — znaleźć protekcję, dać łapówkę, czasem zastraszyć swoimi rzekomymi wysokimi stosunkami, itp.

Nie znaczy to, żeby w Polsce nie można było załatwić wielu spraw na drodze całkowicie legalnej. Może tego dokazać człowiek dostatecznie inteligentny i wykształcony, znający dobrze odpowiednie przepisy, potrafiący umotywować swoje pretensje, dotrzeć do wyższych instancji, oddać sprawę do sądu. Sprawa, przyznać należy, zostanie załatwiona zgodnie z prawem. Ale dopiero wtedy. Człowiek prosty, nie orientujący się w dżungli naszych skomplikowanych ustaw i rozporządzeń i niezdolny do podjęcia dyskusji na temat ich interpretacji, zostanie „spławiony”. Zjawisko w ustroju sprawiedliwości społecznej chyba dość dziwne. Trudno żeby robotnik który spadł z rusztowania, albo chłop któremu spaliła się stodoła byli prawnikami. Jeszcze trudniej pogodzić się z faktem, żeby sprawiedliwość mógł (też niezawsze) uzyskać tylko ten, kto ją sobie potrafi wywalczyć.

Sprawy gospodarcze mają zbyt duży wpływ na nastroje i sposób myślenia ludzi w Polsce, żeby można było o nich nie wspomnieć. Nie jest ważne czy pod względem materialnym jest w Polsce źle czy dobrze. Istota rzeczy polega na tym, że jest znacznie gorzej niżby być mogło, że gospodarka państwowa nie zdaje u nas egzaminu. Dlaczego właściciel małego prywatnego sklepiku, nie korzystający z dostaw państwowych i płacący wysokie podatki, jest zamożnym człowiekiem, a sklepy i restauracje państwowe są deficytowe? (była kiedyś w „Szpilkach” opowieść o człowieku, który przez patriotyzm brał w restauracjach tylko najtańsze dania, żeby państwo jak najmniej do niego dopłacało). Ludzie w Polsce, mimo niechęci do ustroju, byłiby zdolni do wielu ofiar i wielu wyrzeczeń, gdyby tylko widzieli w tym wszystkim co się dzieje jakąś celowość i sens. Widzą bezład i marnotrawstwo, które ich rozgorycza i zniechęca.

Nie budziła we mnie rozgoryczenia czy zazdrości zamożność Francji, Anglii czy Niemiec Zachodnich. Zanim tam pojechałem widziałem, że jest to zupełnie inny świat, żyjący według innych reguł i w innym klimacie, że porównania i zestawienia nie miałyby sensu. Silnym i przykrym przeżyciem były dla mnie wyjazdy do Czechosłowacji, Niemiec Wschodnich czy na Węgry, do krajów w których panuje ten sam system polityczny i gospodarczy co u nas. I znów nie jest ważne czy tam jest gospodarczo lepiej czy gorzej. Dawniej w Czechosłowacji czy w Niemczech zaopatrzenie w żywność było dużo gorsze niż u nas. Ważne jest, że w gospodarce ich widać jakiś sens i wykorzystanie istniejących — mniejszych czy większych — możliwości. Wynikiem tego jest wyraźny wzrost dobrobytu. Gospodarkę polską niszczy marnotrawstwo i brakoróbstwo (słowo stałe u nas używane, nie wiem czy znane tutaj). Nie mówię o kradzieżach, które też nie są rzadkością. Kradzież ma chociaż pewien, choć negatywny sens — ktoś na tym zyskuje. Najwięcej szkody przynosi tępe i bezmyślne marnotrawstwo, płynące z indolencji, niedbalstwa i braku zainteresowania. „A bo to moje?”.

Dlatego poprzednio wspomniana niewiara i cynizm panują zarówno w życiu politycznym jak i gospodarczym. Wyrazem ich są popularne potwierdzenia: „Czy się stoi czy się leży, tysiąc złotych się należy” albo też „Oni udają, że nam płacą, a my udajemy że pracujemy”.

W dziedzinie politycznej niewiara obejmuje nie tylko społeczeństwo, ale także kierownictwo i górę partyjną. W zasadzie jest lepiej. Ustało prześciganie się w gorliwości i wzajemne oskarżenia. Sam objaw jest na pewno dobry, ale przyczyny jego nie wiele mają wspólnego z humanitaryzmem czy tolerancją. Ten co oskarża dziś, jutro może zostać sam oskarżony. Zbyt gorliwe wystąpienie może być łatwo ocenione jako „odchylenie” od „czystości linii partyjnej”, będącej pojęciem dość enigmatycznym i — często się zmieniającym. Całą filozofię i mądrość życiową wyraża dwuwiersz:

„Nie rozrabiaj, nie podskakuj
Siedź na d.... i przytakuj”.

A jak na to wszystko reaguje młodzież? Wbrew przewidywaniom i dużym wysiłkom, młodzieży nie udało się pozyskać. Przyznać trzeba, że nie zawsze kierują nią pobudki w pełni ideowe. Młodzi chcą żyć i wiedzą, że gdzie indziej ich rówieśnicy żyją lepiej. Patrzą i porównują, a okazji do porównań jest dużo. Kontakty zagraniczne są obecnie, zwłaszcza dla młodzieży, dość ożywione. Ci co sami nie wyjeżdżali słuchają, przeważnie

nadmiernie entuzjastycznych opowiadań kolegów, oglądają zagraniczne filmy i ilustracje. W sposób często zabawny starają się naśladować te kinematograficzne wzory. Szaleją za muzyką jazzową i nowymi tańcami, które przenikają do nas nieprawdopodobnie szybko. Szczytem elegancji jest krawat i koszula, a dla młodej dziewczyny sweterek kupiony w sklepie komisowym. Do produkcji krajowej odnoszą się lekceważąco — komis albo prywatny sklep. Młodzież inteligentniejsza czyta i myśli, i kierują nią pobudki wyższego rzędu, ale stanowisko ich jest podobne. Człowieka, który pamięta dalekie chyba od ideału czasy przedwojenne, trochę śmieszy często spotykane idealizowanie przez młodzież tych mitycznych już dla nich czasów. Do Związku Radzieckiego odnoszą się z pogardą, też często opartą na niezbyt poważnych podstawach. Przeważnie decydują zestawienia „Mercedesa” czy „Chevroleta”, z „Wołgą” lub „Moskwiczem”, porównanie sposobu ubierania się, itp. Karmieni dawniej natrętną i naiwną propagandą o „uczonych radzieckich”, będących ciągle — choć obecnie już się o nich nie mówi — tematem nieskończonej liczby dowcipów, nie wierzą nawet w rzeczywiste i nie ulegające wątpliwości rosyjskie czy radzieckie osiągnięcia.

Czytając artykuły w „Kulturze” mogłem czasem nie godzić się z nimi, odnośnie niektórych szczegółów tylko czy sposobów interpretacji, ale jeden temat, powtarzany w różnych wersjach, wzbudził mój ostry protest. Zagadnienie tych co „wierzyli”, „stracili wiarę” i przeżywali z tego powodu tragedie i rozterki. Mam na myśli artykuł Miłosza „Nie”. Wiem, że artykuł był pisany prawie 15 lat temu i to w bardzo specjalnych warunkach. Artykuł ten zresztą stał się dla mnie pretekstem i przypomnieniem od dawna niepokojących mnie zagadnień „Nowej Wiary”, a jednocześnie przypomnieniem też dawnego już żalu do naszej elity intelektualnej. Nowa Wiara, o czym pisałem już na wstępie, jest dla mnie — moralnie i rozumowo — nie do przyjęcia. Określenie Miłosza „Nowa Wiara” jest genialne i zawiera w sobie wszystko. Właśnie nie system oparty na podstawach naukowych, nie żaden światopogląd materialistyczny — a wiara. Wynaturzona forma religii, z dogmatami, świętymi, synodami i nieomylnością swojego papieża. Gdy odkrycie lub teoria naukowa nie godzi się z dogmatem, to się je odrzuca i potępia, a tych co je głoszą pali na stosie.

Wiem — i przed chwilą o tym pisałem — że i u nas byli „wierzący”, ale bardzo trudno mi ich zobaczyć wśród elity intelektualnej — pisarzy, literatów lub naukowców. Czy rozum ich mógł przyjąć dogmaty Nowej Wiary a etyka i humanitaryzm pogodzić się z popełnianiem największych, najbardziej nieludz-

kich okrucieństw — dla dobra przyszłych pokoleń i szczęścia ludzkości?

Trochę takie stanowisko rozumiem, ale w tym przypadku rozumieć nie będzie znaczyło wybaczyć. Miłosz — przede wszystkim w swoich sylwetkach pisarzy oznaczonych literami greckiego alfabetu i w artykule „Nie” — doskonale maluje warunki i klimat życia pisarza w Polsce. Żyją oni w warunkach nie tylko doskonałych, ale i cieplarnianych, życiem zupełnie odmiennym od życia przeciętnego człowieka, nie stykając się z nękającymi ich problemami. Spotykają się naturalnie z przedstawicielami partii, ale będą to wykształceni i eleganccy teoretycy marksizmu-leninizmu, mówiący innym językiem niż sekretarz podstawowej organizacji partyjnej. „Spotkania z czytelnikami” też są pewnego rodzaju rytuałem i mimo nieodłącznej dyskusji i odpowiadania na pytania, nie przerywają izolacji i nie zmniejszają dystansu.

W tych warunkach, w zacisznych gabinetach swoich mieszkań, w otoczeniu ulubionych książek i dzieł sztuki, mogą rzeczywiście wielu rzeczy nie widzieć i nie wiedzieć. To niewiedzenie jest często jedyną ceną którą płacą, bo nie wszyscy muszą pisać politycznie i propagandowo. Mogą tłumaczyć takich czy innych poetów, pisać bajki dla dzieci lub powieści historyczne z odpowiednio odległej epoki.

Takie stanowisko można zrozumieć, ale czy można usprawiedliwić? Nie tylko w Polsce artyści i pisarze potrafili odrzucać pieniądze i zaszczyty, żeby pozostać w zgodzie z sobą. Przecież dowiedzieć się i zobaczyć mogliby łatwo — może tak im po prostu było wygodniej dla spokoju ich sumień i dobrego samopoczucia. Czy takiego postępowania „duchowych przywódców narodu” nie można by nazwać zdradą? Żeby to nie zabrzmiało zbyt mocno, to zdradą tradycji literatury polskiej, zdradą roli jaką — ze szkodą dla siebie i swojej twórczości — poeci i pisarze w Polsce pełnili?

Tym nurtującym mnie od dawna pytaniem chciałem zakończyć. Przeczytałem to co napisałem. Napisałbym to trochę inaczej, a przede wszystkim trochę uporządkował — gdybym miał na to czas. Trochę za często może powtarzają się zwroty „wydaje mi się” czy „moim zdaniem”, ale nie czuję się powołany do wygłaszania autorytatywnych sądów. Drażliwość moja na tym punkcie wzrosła bardzo przez ostatnich lat dwadzieścia. Wydaje mi się (albo — „moim zdaniem”), najwięcej zła narobili ludzie przekonani o nieomyślności swoich poglądów. Takie przekonanie łatwo rodzi chęć narzucenia ich innym, choćby siłą, — dla ich dobra. Pragnienie uszczęśliwienia ślepych i błędzących, wbrew ich woli.

Zabawne jest to, że nie będę wiedział czy i w jakiej postaci

to co napisałem ukaże się w druku, a jeżeli tak, to czy wywoła jakąś ewentualną — przychylną bądź nieprzychylną — reakcję, ocenę lub odpowiedź, w której nie przeczytam. Mimo to — nie żałuję że to napisałem.

Polska szuka drogi na Zachód

„Polska jest w sytuacji kraju znajdującego się w stadium rozwoju” — powiedziała mi osoba kompetentna, dokładnie znająca stosunki, która śledzi rozwój wypadków w swej ojczyźnie i jest nastawiona krytycznie ale bynajmniej nie opozycyjnie. — W krótkim okresie zaledwie dwóch dziesiątków lat, po ogromnym zniszczeniu i zdziesiątkowaniu swego najlepszego elementu kraj ten, o strukturze przeważnie patriarchalno-rolniczej, musiał zorganizować się na nowo dostosowując się ponadto w ciągu jednej generacji do wtargnięcia najnowocześniejszej techniki i przemysłu. Nastąpiło to właśnie w ramach systemu nie tylko obcego, ale nawet wrogiego jego własnej tradycji politycznej i duchowej. Fakt, że kraj musiał walczyć przy tym z ogromnymi trudnościami natury społecznej i gospodarczej, tłumaczy w dużym stopniu obecny stan rzeczy. Był on również zmuszony przystąpić do całkowitej odbudowy bez hojnej i bezzwrotnej pomocy Planu Marshalla, który umożliwił Zachodowi przebrnięcie przez wielkie trudności początkowe. Swe odrodzenie materialne i kulturalne zapoczątkował on będąc nie tylko pozostawiony sam sobie ale ponadto podporządkowany rosyjskiemu sąsiadowi. Pomimo, że już wiele zostało osiągnięte, pozostaje w swym rozwoju wciąż jeszcze w stadium początkowym. To są rzeczy, które należy uwzględnić, jeżeli się pragnie zrozumieć bieg wypadków w dzisiejszej Polsce”.

Wypowiedź ta nie tylko wiele tłumaczy z tego wszystkiego co uderza i dziwi przybysza z Zachodu, ale uwypukla mu przede wszystkim z jakiego powodu Polska szuka z wzrastającym zapalem łączności z Zachodem. Kraj ten czuje i wie, że potrzebuje tej łączności coraz bardziej nie tylko ze względów gospodarczych lecz również duchowych i że możliwość zrealizowania tych dążeń stopniowo dojrzewa.

Polska była zawsze krajem o wyraźnej orientacji zachodniej,

a przez swoje eksponowane położenie na kresach Europy tworzyła nawet w pewnym stopniu bastion Zachodu zwrócony na Wschód przeciwko Rosji, silnie przesiąkniętej wpływami azjatyckimi. To położenie pociągnęło za sobą jeszcze większe poczucie przynależenia do Zachodu. W ciągu XVIII wieku zapełniły się liczne biblioteki arystokracji i inteligencji wielkimi dziełami francuskimi wieku Oświecenia, a obszerna Encyklopedia Diderota znalazła wielu odbiorców i czytelników. To przesiąknięcie duchem Zachodu i myślą przewodnią tej epoki przekroczyło w Polsce rozmiary i zainteresowania niektórych kół ziemiaństwa, arystokracji i pisarzy dla Zachodu. Wrogiem odwiecznym była i pozostała przez stulecia jedynie Rosja. Jeżeli dzisiaj wrogość ta wydaje się być przewyciężona przez wspólne credo komunistyczne, to przeciwieństwa i odmienność duchowa pozostały i przeświecają stale od nowa poprzez rzadką sieć ideologiczno-polityczną łączącą te dwa kraje.

Faktem jest, że rosyjski jest dzisiaj w szkołach na pierwszym miejscu spośród obowiązkowych języków obcych. Ale nauka języków zachodnich rozszerza się ponownie coraz bardziej, a przede wszystkim język francuski i niemiecki, który opanował ongiś pod austriackim zaborem inteligencję, będącą pod wpływem kultury niemieckiej. Zadziwiło mnie w jakim stopniu zatacza coraz szersze kręgi z roku na rok studiowanie języka niemieckiego. Tak więc np. przed rokiem utworzony został w Łodzi Instytut Germanistyczny. We Wrocławiu, w Warszawie i Krakowie nauka języka niemieckiego jest coraz powszechniejsza. Przecież najbliższym sąsiadem na Zachodzie są Niemcy. Można by było przypuszczać, że w Polsce dzisiejszej pokutuje wielka uraza jeżeli nie nienawiść do wszystkiego co niemieckie, m. in. do języka, w którym hordy SS wydawały rozkazy niszczenia polskich bojowników o wolność, inteligencji i narodu żydowskiego, zmierzając po prostu do unicestwienia kraju. Daje się to jednak zauważyć w zadziwiająco małym stopniu. Nieufność, rzecz jasna, pozostaje, ale myślę że w żadnym innym kraju, który padł ofiarą niszczycielskiego szału Trzeciej Rzeszy nie daje się zauważyć tak mało *ressentiment* jak w Polsce; znacznie mniej np. niż we Francji albo w Anglii i to pomimo, że Polska ucierpiała niewspółmiernie więcej od niebywałego barbarzyństwa bestii himlerowskich.

Ma się nawet wrażenie, że na drodze ku szczerej współpracy między wolnymi Niemcami i Polską poważnych przeszkód już by nie było, gdyby Republika Federalna zdecydowała się uznać samorzutnie i bez jakichkolwiek bądź warunków granicę na Odrze i Nysie. Tzn., że uznanie to, które stanowi *conditio sine qua non* polityki polskiej, nie byłoby przedmiotem politycznej rozgrywki

i nie stanowiłoby interesu wymiennego. Gdyby ten krok został dokonany i problem ten rozwiązany, droga do prawdziwego zbliżenia i do trwałego porozumienia między obydwoma narodami byłaby otwarta. Toteż jasne jest dla każdego, że to właśnie Rosja chyba najwięcej się obawia takiego obrotu spraw i stara się wszelkimi sposobami temu przeciwstawić. Można tylko pragnąć, by wolne Niemcy nie przyczyniły się same do tego, by udzielić Rosji poparcia jej dążeń. Osobiście, jako bezstronny obserwator, waham się nawet przed myślą czy zbliżenie polsko-niemieckie w świetle porozumienia niemiecko-francuskiego nie byłoby podstawowym załącznikiem na Wschodzie odradzającej się zjednoczonej Europy, stanowiącym element ważniejszy od samego zjednoczenia Niemiec. Jest to tym prawdopodobniejsze gdy się uzmysłowi o ile więcej wspólnego ma z wolnymi Niemcami zarówno inteligencja polska jak nawet i naród, niż z Niemiecką Republiką Demokratyczną, cieszącą się w Polsce jak najmniejszą sympatią i jeszcze mniejszym poważaniem. Polska dzisiejsza wyróżnia się we Wschodniej Europie swoją wysoką narodową kulturą, duchową odwagą i wiecznie odradzającym się pragnieniem wolności, jak również dynamizmem w swej twórczości artystycznej. Nic nie daje się np. porównać w Niemieckiej Republice Demokratycznej z osiągnięciami polskiego teatru i polskiej literatury. Wspólna ideologia wykazuje tu, jak i w reszcie Bloku Wschodniego, słabość swych powiązań, które tylko powierzchownie potrafią zatuszować pewne głębokie przeciwieństwa istniejące między tymi krajami.



Dla zwiedzającego — takiego jak ja — który znał Polskę z lat przedwojennych z częstych i wielokrotnie dłuższych podróży po tym kraju, jedno jest niezaprzeczalne: w swych cechach istotnych Polacy w ogóle się nie zmienili. Są oni, niezależnie od kierunku ideologicznego lub politycznego, przede wszystkim Polakami, tzn. patriotami polskimi. Miłość do ojczyzny, teraz tak jak i dawniej, jest namiętna i wyniosła, uczucia i sposób myślenia, gdy się odrzuci powierzchowne maskowanie się, tak samo mało komunistyczne w moskiewskim sensie tego słowa, jak ongiś były mało pro-carskie. Bo u Polaków miłość do ojczyzny i dziedzictwo zachodnio-humanistyczne, spotęgowane jeszcze walkami wolnościowymi i tradycją wielu pokoleń, jest mocno i niezachwianie zaszczerpione w sercach. Dziś jak i dawniej, zwraca się Polska, tak jak to czynili przodkowie, lecz w formie i pojęciach bardziej awangardowych, ku Słowackiemu, Mickiewiczowi, Kościuszce, ku Norwidowi i Wyspiańskiemu, tym otaczanym

cją i wiecznie aktualnym duchowym przywódcom, którzy i dziś jak gwiazdy przewodnie nadają kierunek myśli polskiej. Tym duchem wydają się być prześląknięte kurtuazja i humanizm takiego Iwaszkiewicza, Parandowskiego, Marii Dąbrowskiej czy Słonimskiego, tak samo jak poczynania młodej generacji, np. Jana Kotta, wychowawcy dzisiejszego pokolenia teatralnego Polski. Trzeba przyznać, że w czysto zewnętrznym dostosowaniu się do wymogów sytuacji Polacy są mistrzami a nawet wirtuozami. Zostali oni do tego doprowadzeni przez swoją mądrość i swój realizm, świadomi, że uleganie przemocy potęgi rosyjskiej spod znaku caratu czy też sierpa i młota stało się losem Polski.

Pod tymi pozorami pulsuje stare i nieposkromione pragnienie niezależności, tęsknota za prawdziwą wolnością i dążenie do tworzenia sobie drogi o własnych siłach. Trwająca przemoc nie tylko, że nie zdusiła ducha wolności, ale przeciwnie zahartowała go w stopniu rzadko spotykanym u innych narodów. Nie jest też przypadkiem, że w Polsce Szwajcaria cieszyła się zawsze jak największą sympatią i że otaczano ją wprost mistyczną legendą, co nawet trzeźwych i krytycznych Szwajcarów wprowadzało w niechęć. „Polska jest Winkelriedem Europy” — było to powiedzenie, które często słyszałem w moich przedwojennych podróżach i które zdawało się uzasadniać wewnętrzne pokrewieństwo naszych obydwu krajów z uwagi na zawzięte walki, które tak Helwetia jak i Polska musiały wciąż prowadzić przeciwko potężnym ciemiężcom, nie tracąc przy tym pragnienia wolności.

Gdzie postawa ta mogłaby znaleźć lepszy i trwalszy wyraz jak nie w świecie poetów, pisarzy i osób zajętych pracą umysłową? Świat literacki był w Polsce zawsze otoczony szacunkiem i czcią, których pozazdrościć by mogły inne kraje, np. Szwajcaria lub Ameryka, a nawet Francja gdzie przecież pisarz zaliczany jest do elity społecznej. W Polsce zawsze większe echo i znaczenie miały słowo i głos pisarza czy poety niż polityka, męstwo stanu, ekonomisty i wszystkich sfer urzędowych. Tu znaleźli się zawsze tacy, którzy bądź w kraju bądź na emigracji silnie, odważnie i uporczywie, czy to z rozmachem i namiętnością, czy też z ironią i sarkazmem występowali przeciwko każdej formie zniewolenia, w obronie niezależności myśli i słowa. Przeciwwstawiali się oni niewzruszenie wszystkim próbom pomniejszenia tej wolności, walcząc raz subtelnymi dwuznacznikami, raz nieposkromionym oburzeniem, podtrzymując w ten sposób w młodzieży i narodzie ideały polskiej tradycji i niezależności.

Do chwili obecnej nic się w tym nie zmieniło; ze zdumieniem widzimy głęboki wpływ wyznawców zachodnio-europejskiego liberalizmu. Gdy Maria Dąbrowska — zasługująca od dawna na Nagrodę Nobla i której przedwczesna śmierć boleśnie dotknęła

Polskę i Zachód — spokojnie ale tym bardziej przekonująco dawała wyraz swemu nieprzejeđnanemu poczuciu sprawiedliwości i swym nieugiętyim przekonaniom — zamilknąć musieli najwyżsi nawet dygnitarze i podlegli im mówcy. Gdy zaś gwałtowny i cięty w swych wypowiedziach Antoni Słomski piętnuje z bezlitosną ironią sprzeczności dyktatorskiej przemocy i rozbija argumenty bojaźliwie krótkowzrocznego systemu, wówczas braknie tchu dygnitarzom partyjnym, czującym wokół siebie drwinę całego narodu.

W nowych warunkach duch starej Polski toruje sobie drogę na tysiąc sposobów, posługując się liryką, dramatem, eposem i esejem. W tej ciężkiej, zaciętej walce nie pozbawionej, rzecz prosta, klęsk i rozczarowań, bywają dziś jak i dawniej okresy rezygnacji i zwątpienia, lecz pod popiołem tli się w dalszym ciągu ogień, wybuchający wciąż płomieniem, by przypominać, pocieszać i zagrzewać do nowych walk. Nawet bardziej twardy reżym niż ten, który jest w tej chwili w Polsce, niewiele potrafiłby zmienić w tym zakresie, a pragnienie wolności powracałoby tylko z tym większym uporem, zaciętością i wytrwałością, przybierając nawet być może formy rewolucyjne.

Wiedzą o tym dobrze władcy. Również i oni są przede wszystkim Polakami a później dopiero ideologami. Niektórzy z nich starają się pogodzić jedno z drugim wierząc szczerze w nową syntezę, w symbiozę tych dwóch elementów, wydających się na pozór nie do pogodzenia. Jedni wpadają przy tym w doktrynalne zaślepienie, inni w mętłą interpretację, na ogół jednak w Polsce władze partyjne i państwowe, w porównaniu z władzami innych krajów satelickich, okazują pewną wstrzemięźliwość. Różnica ta wynika nie tyle z rozbieżności doktrynalnych, ile z odmienności metod. W sprawach kultury mianowicie władze, w granicach zakreślonych systemem, dopuszczają pewną swobodę działania. Elastyczność władz w tej dziedzinie wydaje się w Polsce większa niż w innych krajach totalitarnych Wschodu, a także w Hiszpanii i Portugalii. Podobna sytuacja wytworzyła się na Węgrzech, których stare powinowactwo duchowe z Polską zachowało się pod reżymem marksistowskim.

W Polsce — podobnie zresztą jak w Rosji, Jugosławii i Bułgarii — tendencje wolnościowe torowały sobie drogę przez literaturę. Represje przeciw pisarzom rzadko tylko przybierały w Polsce formy bezwzględne, jak to miało miejsce w innych krajach rządzonych przy pomocy terroru policyjnego. Kierownictwo partyjne nie chciało lub nie mogło zerwać całkowicie z świetnymi tradycjami swego kraju, próbując je co najwyżej inaczej interpretować — *to make the best of it*. Przedstawiciele partii zdają się szczerze wierzyć, że droga ta zaprowadzi kraj

do lepszej przyszłości, przyznając zresztą, że popełniono i popełnia się nadal wiele błędów. Jak wszystkie dyktatury, kierownictwo partii rozporządza tu wielką skalą środków — od surowości do pobłażania — pozwalających lawirować i łagodzić ewentualne napięcie. Nigdzie jednak władze nie są zmuszone do równie wielkiej ostrożności i umiaru, ponieważ w żadnym innym kraju satelickim społeczeństwo nie jest tak krytyczne i tak przywiązane do wolności jak w Polsce. Są to skutki wychowania w duchu zachodnim, które w ciągu wielu pokoleń otrzymywały polskie warstwy kierownicze. Wpojone im pojęcia rozszerzyły się na całe społeczeństwo; wszystko, co jest z nimi sprzeczne odrzucane jest jako obce i wrogie.



Ten stan rzeczy należy mieć na względzie, jeżeli się chce zrozumieć dwoistość wrażeń, które odnosi dzisiaj przybysz z Zachodu. Narzucające się mu pytanie, czy odbudowa w duchu wolnej gospodarki, zachęcającej do nieskrępowanej gospodarczej i duchowej inicjatywy, nie postępowałaby bez porównania prędejsz — wydaje się jałowe i czysto teoretyczne. Z chwilą gdy Polska znalazła się za żelazną kurtyną, nie miała już więcej wyboru. Uderza natomiast na każdym kroku nieuprzedzonego obserwatora, tu jak i np. w Niemczech Wschodnich lub też i w innych krajach Bloku Wschodniego, niższość i nieudolność systemu, w którym biurokracja i upaństwowienie wykluczają prawie całkowicie wolną inicjatywę i przedsiębiorczość, paraliżując każde poczynanie. Poza dygnitarzami partyjnymi, powodzi się chyba najlepiej chłopom (lepiej niż większości robotników i urzędników) po tym jak reżym — wychodząc ze słusznych założeń — zrezygnował z kolektywizacji rolnictwa. W tej dziedzinie pierwowzór rosyjski natrafił na opór nie do przewyciężenia. Liczba kołchozów jest niewielka. Duże majątki zostały rozparcelowane i względny dobrobyt dający się zauważyć wśród chłopstwa rażąco kontrastuje z niezwykle skromną stopą życiową reszty ludności. Potwierdza to, w granicach samego kraju, wyższość wolnej gospodarki i prywatnej inicjatywy nad gospodarką kierowaną.

Nie należy się też dziwić, że w kraju w którym prawie każda dorosła osoba jest urzędnikiem państwowym, mentalność ludzka się wypacza. W Polsce, w większym niż gdzie indziej stopniu, urzędnik rzadko kiedy odznaczał się gorliwością i nie cieszył się nigdy wielkim uznaniem. Również i obecnie wykonuje on bez zapału minimum swych obowiązków, ale z reguły uchyla się od odpowiedzialności. Toteż obcokrajowiec, tak samo jak mieszkaniec kraju, odczuwa na każdym kroku, że jest „załatwiany” jak numer, na który przyszła kolejka. Ciągące się ogonki przed

sklepami żywnościowymi, autobusami, tramwajami itd. należą do normalnych obrazków. Gorliwi statystycy gospodarczy, którzy nie szczędzą starań by stale przekonywać ludność o wielkich osiągnięciach odbudowy, zdają się nie zauważać ile cennego czasu idzie w ten sposób na marne. Turysta, o którego zdobycie tak się walczy, wystawiany jest często na ciężkie próby cierpliwości. W restauracjach kelnerzy stoją w gromadkach; upłynie jednak sporo czasu nim jeden z nich podejdzie i jeszcze dłużej będzie się czekało na podanie zamówionych dań i na sporządzenie rachunku. Wówczas skutkuje często rezolutna decyzja opuszczenia lokalu, co pociąga za sobą jakby przebudzenie się tych kelnerów-urzędników. W sklepach jest się obsługiwany „urzędowo”, jeżeli w ogóle w kraju socjalistycznym słowo obsługa ma jakieś znaczenie. Życzliwość i uprzejmość należy tu do wyjątków. Pokazuje się niewielką ilość towaru wyłożonego na wystawach lub znajdującego się na najbliższych półkach. Jeżeli nic z tego klientowi nie odpowiada, transakcja się na tym urywa. W pewnym sklepie zobaczyłem reprodukcję znanego polskiego obrazu, oprawioną w ramy, i postanowiłem ją kupić. — My mamy tylko ten jeden obraz — powiedziała wzruszając ramionami bardzo miła ekspedientka. — Może macie reprodukcje innych malarzy? — Nie — odpowiedziała, — i odeszła, by dalej gawędzić z tak samo czarującymi koleżankami. Pozostało mi tylko wyjście ze sklepu. Tego rodzaju wypadki nie należą do wyjątków.

Kuchnia polska, w porównaniu z dawniejszą, niestety bardzo się pogorszyła. Dawniej, gdy import nie natrafiał na bariery celne i trudności dewizowe, kraj ten wyróżniał się swoją wspaniałą kuchnią, nawet w skromnych lokalach. Dzisiaj wszystko jest upaństwowione. Już Ilia Erenburg doszedł do wniosku, że biurokracja państwowa najmniej sprzyja dwu rzeczom: poezji i gastronomii. Nawet w pierwszorzędnym hotelach wyżywienie jest bardzo przeciętne. Dobrych restauracji jest mało i znane one są tylko wtajemniczonym. Wygodne spędzenie czasu w miłym i gościnnym lokalu jest już chyba niemożliwe. Trzeba przyznać natomiast, że hotele najwyższej kategorii — które można policzyć na palcach — są doskonałe. Niektóre z nich są bardzo unowocześnione, ale są jednak i inne, jak np. hotel w Krakowie z przedpotopową windą, którą trzeba zamawiać telefonicznie z pokoju, by móc zjechać na dół. W kraju, który pragnie zdobyć turystów, nawet takie drobiazgi mają swoją wymowę. Daje się też odczuć bardzo wielki brak średnich i skromnych hoteli.

Można by też oczekiwać, że w kraju o tak bogatej kulturze i tak cennych zabytkach dołoży się więcej starań dla nadania rozgłosu tym wartościom. W Krakowie nadaremnie szukałem w wielu sklepach pocztówek z reprodukcją ołtarza Wita Stwosza.

W muzeum Czartoryskich, w którym znajduje się słynny obraz młodej kobiety Leonarda da Vinci, przyciągający licznych zwiedzających, nie można było dostać ani pocztówki ani fotografii tego dzieła. Nie są to przecież rzeczy kosztowne. Koszt wydrukowania jednego spośród niezliczonych afiszów za pomocą których Polska stara się zdobyć turystów, wystarczyłby na spełnienie tych skromnych życzeń. Zamiłowany w sztuce turysta z Zachodu przyzwyczajony jest do tego, że ma do swej dyspozycji w muzeach i zbiorach niezliczoną ilość reprodukcji. Ale po co urzędnik ma sobie zadawać ten trud lub nawet sugerować to swoim przełożonym? Nie jest do tego upoważniony i nie potrzebuje się o to troszczyć. Jest to tym bardziej zrozumiałe gdy się weźmie pod uwagę, że urzędnicy państwowi są bardzo źle płatni. Spora ich część wykonuje prace uboczne. Robotnicy dorabiają w wolnych chwilach jako rzemieślnicy przy różnych reperacjach. Podczas gdy na taką reperację w przedsiębiorstwie państwowym trzeba czekać tygodniami, bo brak jest części zamiennych lub rąk do pracy, zostanie ona szybko i sprawnie wykonaną przez tegoż rzemieślnika prywatnie oczywiście po odpowiednio wyższej cenie.

Większość towarów, z wyjątkiem artykułów żywnościowych, jest droga. Za parę butów robotnik musi zapłacić prawie połowę swego miesięcznego zarobku, a za ubranie zarobek z trzech albo czterech tygodni. Pewien młody asystent na uniwersytecie, który zarabia miesięcznie 1800 zł (około 350 fr. szw. po kursie złotego turystycznego) płaci za swój pokój, jako sublokator w rodzinie robotniczej, 500 zł miesięcznie. Skarżył mi się on, że musi dorabiać lekcjami, tłumaczeniami itd. i że nie pozostaje mu więcej czasu na zawodowe doksztalcanie się. Lekarze, którzy są urzędnikami służby zdrowia, zmuszeni są również do dorabiania praktyką prywatną. Praktyka ta, wykonywana „w wolnych chwilach”, tak bardzo ich absorbuje, że nie mają już czasu na śledzenie postępów medycyny. Krótko mówiąc, tak w życiu codziennym jak i w szerszych aspektach życia gospodarczego, zaznaczają się paraliżujące, marnotrawne i irracjonalne skutki państwowej, planowanej gospodarki. Wnioski te nasuwają się w Polsce, która jest najbardziej postępowym krajem na Wschodzie. Jakże musi to dopiero wyglądać w innych krajach Bloku Wschodniego?

Chętnie bym przedstawił sytuację w barwach bardziej różowych z uwagi na olbrzymie wysiłki czynione w kraju celem podniesienia stopy życiowej i rozbudowy przemysłu. Gdy się jednak obserwuje i podsumowuje te wszystkie drobne niedociągnięcia, nie można już się dziwić, że postęp jest tak powolny (jeżeli w ogóle istnieje). Można się raczej dziwić, że wbrew temu wszy-

stkiemu sytuacja się jednak powoli poprawia. Otóż nawet w kraju totalitarnym pragnienie lepszego życia nie daje się stłumić i każdy szuka w granicach swoich możliwości *to make the best of it*. Pracowicie i cierpliwie, na przekór wszystkim przeszkodom, dla dobra własnego kraju walczą Polacy o polepszenie swego życia. O ile szybszy byłby postęp gdyby energia i zapał do pracy mogły się rozwijać w klimacie wolności. Wady systemu kapitalistycznego wydają się znikome w porównaniu z wielkimi przeszkodami, które utrudniają tu dźwignięcie się narodu.



Ten raczej ponury obraz codziennego polskiego życia rozjaśniony jest jednak przez osiągnięcia, które ujawniają siłę i zdolności narodu, zmuszając przybysza do szacunku. Do tych osiągnięć należy w pierwszym rzędzie odbudowa stolicy. Na pęsepnych pustkowiach, pokrytych gruzem i kurzem powstało w ciągu dwóch dziesięcioleci miasto z wspaniałymi, szerokimi i eleganckimi alejami, z wysokimi często gustownymi budowlami i obszernymi, zupełnie nowymi dzielnicami mieszkalnymi, jak np. na miejscu dawnego getta, gdzie są obecnie nowoczesne bloki mieszkaniowe, rozmieszczone na szerokiej przestrzeni, z trawnikami i małymi parkami. Nawet jeżeli większość tych osiedli zrobiona jest tanim kosztem i z niewielkim komfortem, stanowi to jednak poważny postęp w porównaniu z dawnymi domami mieszkalnymi, smutnymi koszarami jakie niegdyś wszędzie budowano. Komorne jest zadziwiająco niskie w porównaniu z miastami zachodnimi, co zresztą jest konieczne z uwagi na małe zarobki. Jedynie sublokatorzy, jak już wspomniałem, płacą przesadnie wysoki czynsz.

Decyzja odbudowy Warszawy w tym samym miejscu przez długi czas nie była ostatecznie ustalona i jedynie nieznaczną większością głosów postanowił Rząd Lubelski, że nowa stolica powstanie na dawnym miejscu. To, że okres stalinowski pozostawił miastu „pamiątkę” w postaci Pałacu Kultury, kolosu wysokości 270 metrów, nie jest winą Warszawy. Miasto mści się za oszpeccenie swego centrum niezliczonymi drwinami. Tak np. pokazano tę budowlę znanemu amerykańskiemu architektowi, prosząc go o wyrażenie opinii. Architekt milczał. Gdy nalegano by jednak dał odpowiedź oświadczył, że przykro mu jest iż nic nie może na ten temat powiedzieć, gdyż jest architektem a nie cukiernikiem. Niestety, budowla ta jest trwalszą niż wyroby cukiernicze i warszawiacy wzruszając ramionami muszą się z tym pogodzić. Wewnątrz tego gmachu PEN-Club urządził jednak w sposób gustowny swoje gościnne pokoje i bibliotekę. Znajdują

się tam również sale koncertowe, teatr i sale wystawowe, mające tę zaletę, że pomagają zapomnieć o wyglądzie zewnętrznym Pałacu. W Warszawie i w całej Polsce czyni się wiele wysiłków, by odrestaurować cenne pomniki i zabytki z dawnych czasów, które wojna częściowo lub całkowicie zniszczyła, lub które zostały zburzone przez Niemców. W tej dziedzinie należy się kustoszowi i dyrektorowi Muzeum Narodowego w Warszawie, prof. Lorentzowi, najwyższe uznanie. Jemu to i jego wytrwałej, światłej inicjatywie zawdzięcza się odrestaurowanie w najkrótszym czasie tych zabytków przeszłości. Również i w tym wypadku widać co można osiągnąć gdy się jednostce pozostawi wolną drogę zapewniając jej jednocześnie środki wykonawcze.

Prace restauratorskie, prowadzone z ostrożnością, sumiennością i zamiłowaniem, stanowić będą chlubną kartę personelu kierowniczego i wykonawczego. Niezastąpione pomniki przeszłości, które wydawały się stracone, ukazały się znów w całej krasie. Dotyczy to zwłaszcza zabytków architektury, wspólnego dzieła włoskich, francuskich, niemieckich i polskich budowniczych i artystów. Przywiązanie Polaków do spadku po wiekach poprzednich ukazało się tu w całej pełni, pokonując piętrzące się trudności. Najwięcej może uderza to w odbudowie słynnego Starego Miasta, zrównanego niemal całkowicie z ziemią przez okupantów. Z poświęceniem, wytrwałością i starannością artystyczną odbudowano, kamień po kamieniu, każdy dom i każdą uliczkę na podstawie dokładnych planów i rysunków, m. in. sławnych obrazów Canaletta. Obecnie najstarsze centrum Warszawy istnieje znów w całej swej krasie, otoczone potężnym murem obronnym. Dokoła malowniczego czworoboku rynku stoją pełne wdzięku wąskie fasady domów, z niezliczonymi podwórkami, schodami i sklepieniami. Wszystko pokryte jest już patyną, zamieszkałe jak dawniej, ze spokojnymi sklepikami, rojnymi kawiarniami, kaplicami i potężną katedrą o subtelnych bramach renesansowo-barokowych. Brak tu wszelkiej sztuczności lub „muzealności”: jest to żywa, szlachetna, czarująca dzielnica miasta, powstała w tej samej postaci, jaką nadały jej wieki — wspaniały pomnik miłości narodu do wielkich tradycji miasta i jego mieszkańców.

Tak samo wiernie odrestaurowano zabytkowe pałace magnatów polskich w stylu barokowym lub klasycznym, które podczas bitwy o Warszawę i Powstania zostały ciężko uszkodzone. Wśród nowoczesnych budowli ze stali, betonu i szkła, często o wątpliwym guście, lub też obok kamiennej masy nowej opery z jej martwą kolumnadą działają te pałace, pełne rezerwy, w sposób kojący, świadcząc o czasach pełnych umiaru, prostej elegancji i pogodnego życia, którego były świadkami. Do tych zabytków należą siedziby królewskie i magnackie położone dokoła

Warszawy, jak Jabłonna, czarujący Wilanów i wiele innych. W Jabłonie ma swoją siedzibę Polska Akademia. W zaciszu tego zamku mogą poświęcić się pracy lub też wypoczynkowi jej członkowie i goście. Cóż podobnego mogłaby zaproponować zamożna Szwajcaria swoim pisarzom i naukowcom? Tylko Stany Zjednoczone i częściowo Francja mogą — być może — poszczycić się takimi reprezentacyjnymi i gościnnymi miejscami. We wszystkich tych pracach restauracyjnych uwidocznia się talent rzemieślniczy i artystyczny Polaków, nie w mniejszym stopniu niż ich ofiarna miłość do odbudowy ojczyzny.

Wydawać się może dziwne a nawet paradoksalne, że to właśnie rząd rewolucyjny i marksistowski otacza taką miłością świadectwa tradycji i kultury, których duch i istota stoją w diametralnej sprzeczności z celami społecznymi i politycznymi dzisiejszej Polski. Uderza to w szczególności gdy się weźmie pod uwagę jak rewolucja francuska pociągnęła za sobą szalę niszczenia kościołów, katedr i niezliczonych zamków. Jednakże, jeżeli pominąć te ponure przykłady, to są właśnie reżymy rewolucyjne, które częstokroć, wbrew głoszonym przez siebie wytycznym, ostentacyjnie pielęgnowały zabytki, tak jak gdyby pragnęły uniknąć niebezpieczeństwa powstania pustki i zerwania organicznych związków łączących je ze swym krajem. Podobnie strzeże się dzisiaj zazdrośnie w Moskwie skarbów i zabytkowych ikon i otacza się w Pekinie troskliwą opieką cesarski pałac. W dziedzinie kulturalnej powtarza się to, co na większą skalę miało miejsce w czasie wojny, którą Rosjanie prowadzili przeciwko Niemcom: Stalin potrafił zmobilizować naród rosyjski do zwycięskiej walki przeciwko najeźdźcy nie w imieniu marksizmu i rewolucji komunistycznej, które dla narodu niewiele znaczyły, lecz w imieniu wielkich rosyjskich tradycji „Matki-Rosji” i prawosławia. Ideologia polityczna zaważyła najwyżej u kadr i dowództwa. To samo wydaje się powtarzać obecnie w Polsce: reżym pozyskuje naród nie przez ideologię polityczną lecz przez ratowanie i opiekę zabytków narodowych, świadków wielkich tradycji duchowych i społecznych, w których wciąż tkwi korzeniami dzisiejsza Polska. O nic tak się nie troszczy każdy system rewolucyjny jak o swoją własną stabilizację, więc coś może być bardziej pomocne w tym celu niż pobudzanie uczuć zmierzających do wzmacniania tradycji i wartości odziedziczonych? Można by nawet stwierdzić, że żaden rząd nie jest tak nastawiony na troskę o tradycje jak rząd rewolucyjny, który doszedł do władzy poprzez zamach stanu.

Również w tym zakresie ukazuje się Polska jako pouczający i pocieszający przykład, ułatwiający pogodzenie się ze wszystki-

mi negatywnymi cechami obecnego reżymu i umożliwiający większe zrozumienie lub też nadzieję na zmiany, które następować będą w miarę rozwoju sytuacji. Nie jest wykluczone, że wzmagające się dążenie do zbliżenia z Zachodem w dziedzinie gospodarczej i kulturalnej wskazuje już na początek tego rodzaju przemian.



Nawet jeżeli Polacy niewiele się zmienili i jeżeli obecna ideologia polityczna mało się odbija na ich mentalności — wśród wielu osób, z którymi się zetknąłem trudno mi było znaleźć działacza komunistycznego — to jednak przemiany w układowaniu społecznym uległy tym większym zmianom. Nastąpiło swego rodzaju równanie do środka. Różnice klasowe zostały zmniejszone, demokratyzacja jest tym większa im mniej widoczna w życiu politycznym. Jak wiadomo, wybory posłów stały się zwykłą formalnością, której można by było sobie zaoszczędzić. Z wyborami prawdziwie demokratycznymi nie mają one nic wspólnego i nie ma mowy o jawnych walkach międzypartyjnych lub też o ujawnieniu przeciwieństw dzielących poszczególne ugrupowania. W tej dziedzinie panuje nie znająca umiaru dyktatura, która znacznie mniej zdołała opanować inne odcinki życia publicznego. Dawne liberalne warstwy społeczne, które stanowiły jednocześnie arystokrację duchową kraju, zniknęły prawie całkowicie. Nie jest to tylko konsekwencją radykalnego wyniszczenia polskiej inteligencji i Żydów przez hitlerowców, lecz również powstania warstw nowej inteligencji szkolonej w obliczu rozbudowy przemysłu.

Nowa Huta pod Krakowem, potężny kombinat powstały z niczego, jest swego rodzaju symbolem ścisłego powiązania gospodarki polskiej i rosyjskiej. Na początku, zakłady te miały służyć jedynie Rosji, dzisiaj zaopatrują one przede wszystkim przemysł polski. Dawni rolnicy z tego okręgu zmienili się w robotników przemysłowych. Przy słonecznej pogodzie widok nagromadzonych wielkich sześciennych domów z ich jednostajnymi rzędami okien jest jeszcze znośny, ale w dniu pochmurne jest wręcz przygnębiający. W planowaniu osiedla miano tu wolną rękę, lecz nadużyto form monotonicznych, dyktowanych jedynie przez rajzbret i ekierkę. Domy wyglądają jak olbrzymie ule lub mrowiska.

Jaskrawym przeciwieństwem tych nowoczesnych zabudowań przemysłowych są kopalnie soli w pobliskiej Wieliczce. Piece hutnicze i kominy Nowej Huty są wyrazem nowych czasów, kopalnie w Wieliczce są natomiast obrazem rzemieślniczych począt-

ków uprzemysłowienia. Ich starannie, kunsztownie obrobione filary, olbrzymie sale, labirynty drewnianych schodów i prymitywne urządzenia zdają się należeć do irracjonalnego świata baśni i snów. Zwiedzającego uderzają także artystyczne uzdolnienia górników, którzy wyrzeźbili z soli krasnoludków i inne dziwaczne figury, a także posągi i płaskorzeźby treści religijnej, jak gdyby chcieli rozjaśnić ponurą grozę tego podziemnego świata, oddając go pod opiekę dobrych duchów. W Nowej Hucie nie ma oczywiście nic podobnego; rządzi tam trzeźwy wyrachowany racjonalizm. Nie zostało tam nic z dawnej skłonności Polaków do wspominania świata przodków i do marzeń owianych lekkim tchnieniem Wschodu. Coś z tych skłonności zachowało się tylko w muzeach i zbiorach prywatnych, świadczących o zamiłowaniu ich posiadaczy do kultury i sztuki perskiej, ormiańskiej i bizantyńskiej.



Ogromny rozrost warstwy urzędniczej, nieunikniony skutek totalitarnego kapitalizmu państwowego, wpływa ujemnie na duchową żywotność narodu. Na szczęście proces ten jest wyrównany przez aktywną postawę młodzieży i rozszerzone możliwości studiów wyższych. Dawniej studia te były dostępne prawie wyłącznie dla synów i córek dobrze sytuowanych warstw burżuazyjnych, dzisiaj audytorium uniwersytetu wypełniają synowie chłopów, robotników i drobnego mieszczaństwa. Jest to młodzież łaknąca wiedzy, pracowita i wesoła, pasjonująca się teatrem, literaturą i sztuką. Widzi się ją w muzeach, na wystawach, odczytach i koncertach. Młodzież ta kształtuje obecnie obraz nowej Polski. Nie jest łatwe stwierdzić jakie jest polityczne credo tej młodzieży, gdyż zainteresowania jej skupiają się głównie na zagadnieniach kulturalnych i naukowych, lub też w kołach intelektualnie niższych — na sporcie, zabawach i kinie.

Sporej części młodzieży studia zostały ułatwione lub po prostu umożliwione przez stypendia. W tym zakresie niektóre kraje Zachodu, gdzie nieliczne i niewystarczające stypendia są przyznawane w sposób zanadto biurokratyczny, mogą brać przykład z Polski. Tutaj, w przeciwieństwie tego co ma miejsce w Niemieckiej Republice Demokratycznej, dzieci członków partii nie mają pierwszeństwa. Duże domy akademickie zapewniają tysiącom studentów możliwości mieszkaniowe. Są one, rzecz jasna, nadzwyczaj skromne; po kilka osób mieszka w jednym pokoju. Zapobiegają one jednak brakowi mieszkań dla studentów, urastającemu w niejednym kraju Zachodu do rozmiarów prawdziwej klęski. Dzięki pomocy państwa i oczywiście rodziny studia stanowią dla młodych ludzi okres względnie beztroski. O wiele trudniejszy jest

okres następującej po tym pracy zawodowej. Uposażenia są bardzo niskie i siła ich kupna nader ograniczona. Słyszysz się na to odpowiedź, że zainteresowani mają za to zapewnione ubezpieczenie od chorób, uwalniające ich w tej dziedzinie od wszelkich trosk. Niewątpliwie jest to dla kraju, w którym nie istniało dotychczas choćby jako tako rozbudowane szpitalnictwo, wielką zdobyczą, ale nie jest to ani podarunkiem państwa ani osiągnięciem przewyższającym to co istnieje na Zachodzie. Stawki asekuracyjne potrącane są z uposażeń, lecz odbywa się to w sposób jakby ukryty i anonimowy. Brzmi to oczywiście o wiele bardziej postępowo gdy się mówi o „bezpłatnej służbie zdrowia” niż gdyby w sposób widoczny potrącano premie ubezpieczeniowe przy wypłacie wysokich pensji. Porównując świadczenia tych ubezpieczalni społecznych z naszymi albo niemieckimi, nie mogę nie przyznać wyższości tym ostatnim. Prywatne leczenie społeczne jest nie tylko tańsze gdy się uwzględni duże potrącenia z małych uposażeń w Polsce, ale jakościowo znacznie lepsze. Dla wysokich urzędników partyjnych i innych osób uprzywilejowanych istnieje w Warszawie specjalny szpital, gdzie chorzy mają pojedyncze pokoje i doskonałą opiekę. Większość musi jednakże zadowolić się salami 15 lub 20-osobowymi, gęsto zastawionymi łózkami. Wielogodzinne czekanie u lekarzy należy do reguły i ustalenie z góry godziny przyjęcia nie jest możliwe. Ludzie lepiej sytuowani korzystają więc z prywatnej praktyki lekarzy, płacąc honoraria wielokrotnie wyższe. Sprowadza się do płacenia, oprócz obowiązkowych premii ubezpieczalni społecznej, także rachunków lekarzy prywatnych.

Również i w tej dziedzinie upaństwowienie nawet jeżeli w Polsce wydaje się nieuniknione, na dalszą metę nie stanowi z pewnością najlepszego rozwiązania. Zasada wolnej konkurencji uzupełniona minimalnymi państwowymi stawkami ubezpieczeniowymi, jest korzystniejsza i przyjemniejsza zarówno dla chorego jak i dla lekarza. Nawiązując do wspomnianego już powiedzenia Erenburga, że upaństwowienie najdotkliwiej odbija się na poezji i gastronomii, można jeszcze dodać jako trzeci element, wzajemny stosunek lekarza i pacjenta, tzn. rzecz najistotniejszą bo sprawę własnego zdrowia.

Również i w Polsce toczy się spór, w jakim stopniu możliwe jest zmienić naturę ludzką przez warunki zewnętrzne, tzn. czy uda się zastąpić dotychczasowy indywidualny sposób myślenia przez zbiorowy, wyrugowując „nałogi” zrodzone z systemu liberalnego. Odpowiedź na to pytanie jest problematyczna. Tak długo jak mentalność ludzka nie ulegnie radykalnej zmianie, zarówno uczuciowe jak i racjonalne reakcje pozostaną takie same jakimi były kilkaset lub kilka tysięcy lat temu, w obliczu stale

zmieniających się zewnętrznych warunków życiowych. Dotychczas nie udało się wychować ludzi na robotów kolektywnego systemu, a ponadto pragnienie poszerzenia sfery życia osobistego zwiększa się w miarę jak rośnie potencjał kulturalny. Systemy totalitarne oparte na upaństwowieniu mogą być uważane najwyżej za nieuniknione, pomocnicze formy przejściowe, nigdy jednak nie będą stanowiły ostatecznego rozwiązania przewyższającego systemy liberalne pomimo niedociągnięć i niebezpieczeństw, które te ostatnie w sobie kryją. Niebezpieczeństwa systemu totalitarnego są niewspółmiernie większe i groźniejsze na dłuższą metę, gdyż tłumią one w człowieku jego najistotniejsze impulsy, jak poczucie wolności i samodzielności, bez których nie ma rozwoju kultury i postępu społecznego.

W rzeczywistości życie kulturalne i duchowe Polski czerpie swe natchnienie ze spadku po okresach poprzednich, w których siły liberalne mogły się być ujawniać. Tam gdzie twórczość literacka i duchowa potrafi się rozwinąć, staje się to najczęściej wbrew wytycznym rządu i kontroli państwowej i jak gdyby w obronie przeciw każdej formie oficjalnej cenzury. Przypomina to grę ciągnięcia liny. Sukcesy odnosi raz jedna raz druga strona. Instynkty podstawowe, kierujące człowiekiem, nie zmieniły się jednak od pokoleń, zmianom uległy jedynie narzędzia i sformułowania i zewnętrzne formy życiowe. Dlatego też nadzieja na radykalne przerobienie natury ludzkiej przez socjalizm państwowy nigdzie nie wydaje się tak iluzoryczna, jak właśnie w Polsce, gdzie indywidualistyczne myślenie i postępowanie zostało przez starą kulturę zakorzenione silniej niż w innych krajach wschodnich. Stąd też pochodzi pragnienie zbliżenia się z Zachodem, które możemy obserwować w obecnej Polsce.



Teraz jak i dawniej inteligencji przypada w Polsce rola warstwy kierowniczej, rola tym większa, że — w przeciwieństwie do Zachodu — w kraju, gdzie wszystko jest upaństwowione, sfery gospodarcze i polityczne — z wyjątkiem przywódców partyjnych — nie biorą żadnego udziału w wolnej grze sił. W ukształtowaniu się wolnej „opini publicznej” rozstrzyga więc, obok kierownictwa partii, w pierwszym rzędzie inteligencja. Trzeba tu odróżnić opinie oficjalne od opinii ukrytej i szeptanej, lecz przez to samo posiadającej większy wpływ i znaczenie.

Wnioski te nasuwają się nie tylko w toku rozmów z intelektualistami, lecz stale się potwierdzają w rozmowach z przedstawicielami wszystkich warstw społecznych, z wyjątkiem może chłopów. Potwierdza się to w rozmowach z szoferami taksówek,

z portierami hoteli, z niższymi urzędnikami lub robotnikami, a nieraz i z dyrektorami na wyższych stanowiskach. Nikt nie wydaje się być specjalnie zadowolony z istniejącego systemu, wszyscy pragną wolności, choćby np. wolności zrobienia krótkiej podróży na Zachód bez trosk dewizowych i politycznej kontroli paszportowej.

Większość jest zrezygnowana i uważa, że w obecnym okresie inny system i inne formy życia nie są możliwe i godzi się, przynajmniej zewnątrz, z tym stanem rzeczy. Prawdziwego entuzjazmu nie zauważyłem nawet na 1 Maja, w którym to dniu byłem przypadkowo obecny w Polsce. Co więcej, święto to mające uczcić 20-lecie uwolnienia Polski i przyjaźni z Rosją, dostarczyło mi pouczającego potwierdzenia licznych wrażeń, które odniosłem w czasie mych podróży i mych rozmów. Wydaje mi się też celowe wymienić tu przeżycie przypadkowe, ale jak mi się zdaje symptomatyczne. Gdy na kilka dni przez 1 Maja udałem się na przedstawienie „Don Juana i Geometrii” Maxa Frischa, które odbyć się miało w Pałacu Kultury, niespodziewanie trafiłem tam na akademię. Salę teatralną wypełniała drobno-burżuazyjna publiczność. Na scenie za stołem stał mówca otoczony czerwonymi i biało-czerwonymi chorągwiami i odczytywał przemówienie. Czytał je najdokładniej nie próbując nawet ożywić danych statystycznych o postępie 20-lecia, przez jakąś osobistą czy spontaniczną wypowiedź mogącą świadczyć o jego wierze w to co mówi. Rzadko kiedy słyszałem mowę tak drętwą, tak nudną i tak mało osobistą i dziwiłem się, że publiczność wysłuchiwała tej tyrady bez okazywania znudzenia. O jakiejś istotnej myśli politycznej lub o osobistym przekonaniu prelegenta nie było nawet mowy. Było to przemówienie urzędnika, który został w tym celu odkomenderowany. Początkowo myślałem, że trafiłem do niewłaściwej sali i zamierzałem się wycofać. Jednakże ta nieoczekiwana „uwertura” do sztuki Frischa, w której więcej jest mowy o suchej geometrii niż o Don Juanie, wydała mi się dostatecznie pouczająca by ją wysłuchać do końca. Oklaski były słabe i zdawały się należeć do tego samego obowiązku co i mowa.

To samo powtórzyło się w Krakowie, gdy w przededniu 1 Maja udałem się na premierę kabaretową w kawiarni Michałika. Również i tu przedstawienie poprzedzało pierwszomajowe suche, monotonnie odczytane przemówienie funkcjonariusza. Słowo „przemówienie” właściwie tutaj nie pasuje, gdyż mówca nie zwracał się w ogóle do słuchaczy lecz odczytywał z największą dokładnością pisany tekst. Tak samo jak w Warszawie, nie zdradzał jakichkolwiek uczuć osobistych. Nie udało mi się wywnioskować czy było to z obawy by mu się nie nawinął jakiś

wyraz wykraczający poza ramy utartego konformizmu, czy też z przeświadczenia, że publiczność i tak nie przywiązuje wagi do tego oficjalnego wstępu i wysłuchuje go z musu. Liczni słuchacze przyszli bowiem do lokalu, aby posłyszeć coś o polityce, lecz jakże inaczej ujętej. Program kabaretowy rozpoczął się następnie na małej improwizowanej scenie, znajdującej się na końcu wąskiej, zadymionej starej kawiarni w stylu wiedeńskim. W programie znajdowało się wszystko to czego brakowało w mowach pierwszomajowych: żart, życie, rozmach, oryginalność, satyra i ostra krytyka. Była to premiera nowego programu zatytułowanego: „Do nas należy raj”, który nie zawiódł oczekiwań związanych z wymownym tytułem. Na tle epizodów 1-ej Księgi Mojżesza rozpoczynającej się stworzeniem Adama i Ewy aż do wkroczenia do Ziemi Obiecanej, sytuacje i wypadki, które miały miejsce w Polsce wykpione zostały z ironią i odważnym dowcipem. W związku z Arką Noego ośmieszono kulisy zbawiennej odbudowy państwowej; archaniołowie w śnie Jakuba przedstawiali wymowne analogie z gorączkowym karierowiczostwem dygnitarzy partyjnych, bojących się jednakże nagłego, zawsze możliwego upadku; odmowa Aarona i taniec wokół złotego cielca przypominały, że również i w nowym rajach obiecanych republiki socjalistycznej sprawy nie wyglądają inaczej niż w potępianych państwach kapitalistycznych i że wszędzie kult złota jest taki sam. Wkroczeniem do Ziemi Obiecanej, która jest, rzecz jasna, starannie i racjonalnie zaplanowanym rajem, zakończyły się te porywające sceny, przy akompaniamencie chóru, przypominającego, że odpowiedzialność za poszukiwanie analogii między Starym Testamentem a nową Polską spada wyłącznie na publiczność, nie zaś na autorów i wykonawców.

W kabarecie tym, mającym już swoją długą tradycję, grają od 11-ej do 1-ej w nocy artyści, którzy ukończyli tego wieczoru swe przedstawienie w Teatrze Słowackiego. Zapytałem kierownika i głównego autora tekstów, czy ma on trudności z cenzurą. „Oczywiście — odpowiedział — muszę teksty przedkładać cenzorowi by uzyskać zezwolenie na dany program. Nie jestem jednak nigdy pewny czy nie nastąpią później interwencje, gdy dopiero z reakcji publiczności jasno wyniknie do czego zmierza gra”. Wtedy już nie pomoże ostrzegający chór, obarczający publiczność winą za dopatrywanie się niepożądanych analogii. Na zakończenie nie może się obejść oczywiście bez wyznania politycznego ideału. Cała krytyka i ironia służyć ma jedynie polepszeniu istniejącego stanu rzeczy i przyczyniać się tym samym do socjalistycznej odbudowy.

Dla wielu przedstawienia te, pełne humoru, żartów i sarkazmów, stanowią lekarstwo na uczucia przygnębienia, które ogar-

nia ludzi w życiu codziennym. Bez takich ująć nie obejdzie się żaden system totalitarny, w szczególności gdy naród jest inteligentny i nie pozbawiony zmysłu krytycznego. Nawet hitlerowcy przez długi czas zezwalali na działalność kabaretu politycznego w Monachium i nic nie świadczyło tak wymownie o ich wewnętrznej kapitulacji, jak właśnie zamknięcie go. Cenzura polska jest niewątpliwie za dobrze poinformowana i reżym za mądry, by całkowicie zlikwidować tego rodzaju wentyle bezpieczeństwa. Nie należy natomiast wyciągać zbyt optymistycznych wniosków co do liberalizmu władz państwowych*. Stałe protesty większych grup pisarzy wskazują na to, że nacisk cenzury jest wielki. Przybysz z zagranicy cieszy się co prawda całkowitą wolnością, lecz koła, w których może otwarcie wypowiedzieć swój sąd, są stosunkowo ograniczone i obejmują jedynie małe grona słuchaczy. Prasa wreszcie zajmuje w sprawach drażliwych stanowisko jak najbardziej wymijające i unika wypowiedzi będących w sprzeczności z ideologią oficjalną.



Masowe manifestacje i pochody zorganizowane na wielką skalę są nieodzowne w każdym kraju totalitarnym. Zmieniają się tylko kolory chorągwi i transparenty. Nie brakowało tego na święcie pierwszomajowym w Polsce w przeciwieństwie do skromnych uroczystości na Zachodzie. Wszystko co należy do tzw. „demonstracji narodowej” było planowo i starannie zorganizowane, poczynawszy od pochodów młodzieży i zapelniających ulice manifestacji a skończywszy na lesie czerwonych chorągwi i przemówieniach. Było to coś pomiędzy świętem ludu, który cieszył się z wolnego dnia od pracy, a dobrze zorganizowanym ruchem masowym dającym wrażenie rozmachu i siły. Patrząc na to, nasuwa się na myśl *Psychologie des foules* Le Bon'a lub analizy ruchów masowych Tocqueville'a Mannheim'a de Man'a i innych. Dziś, są to ruchy masowe, które mają służyć pokojowi i porozumieniu między narodami. Jednocześnie zaszczepia się jednak w umysłach ludzkich podświadomą gotowość służenia zupełnie in-

*) Z niepokojem i szczerym ubolewaniem wolny świat Zachodu dowiadyuje się o nowych represjach, zagrażających zasłużonym i oddanym swemu krajowi pisarzom liberalnym. Jakiegokolwiek byłyby ich motywy, represje te stoją w jaskrawej sprzeczności z pojęciami, jakie zachodni przyjaciele Polski wyrobili sobie o charakterze Polaków i ich przywiązaniu do wolności. Trudno również pogodzić je ze słowami, które słyszałem od jednego z wybitnych przedstawicieli reżymu, mianowicie że „w żadnym innym kraju intelektualiści nie są tak popierani jak w Polsce”. Można sobie tylko życzyć, aby oświecone władze kraju uznały wreszcie tę taktykę, pełną sprzeczności i wywołującą tylko nową opozycję, za błędną i porzuciły ją na zawsze.

nym celom. Toteż, tak popularne obecnie na Wschodzie czy na Zachodzie demonstracje i mobilizacje mas, pomyślane są tak by mogły być pokierowane zgodnie z potrzebami chwili. Nie można więc przyglądać się bez uczucia nieufności i obawy niekończącym się pokazom defilad wojskowych i demonstracji masowych w telewizji, w pismach ilustrowanych i w kinie. Szczery zwolennik pokoju i postępu społecznego zapytuje się — oczywiście zupełnie platonicznie — kiedy wreszcie narody cywilizowane wyrosną z tego prymitywnego i właściwie barbarzyńskiego sposobu urabiania opinii i czy z czasem nie zastąpią go bardziej uduchowionym i szlachetnym sposobem wyrażania uczuć patriotycznych i politycznych. Udoskonalona technika masówek zastępuje wyrażanie szczerych, spontanicznych, indywidualnych i tym samym nigdy nie całkowicie jednolitych uczuć, zrodzonych ze świadomości duchowej wspólnoty. Widok czerwonych chorągwi, transparentów i innych pierwszomajowych dekoracji wypełniających Kraków stanowił też dla mnie symbol nasuwający te wszystkie wnioski. Zdawało mi się, że to szlachetne i dostojne miasto, którego pomniki, dzieła sztuki, zabytkowe budowle oraz uroczyste Planty świadczą o nieskrępowanym rozwoju, rumieni się od tych czerwonych płacht. Odnosiłem wrażenie, że odwieczna siła wynurza się z tego dziwnie obcego i wzburzonego świata, mozolnie i niepewnie szukająca wśród klęsk i cierpień swych własnych form życiowych.



Gdy w niedzielne południa wędrowałem ulicami Warszawy mijały mnie dwa przepływające strumienie ludzi: jedni wracali ze stadionu piłki nożnej, drudzy z kościołów — ale wracający z kościołów wydawali mi się liczniejsi. Kościoły są zawsze przepełnione, nawet w dni powszednie, znacznie więcej niż np. u nas w Szwajcarii. Widzi się tam ludzi ze wszystkich środowisk, od najstarszych do najmłodszych, połączonych w całkowicie demokratycznej wspólnocie duchowej. Państwo nie próbowało utrudnić praktyk religijnych i wśród wierzących znajdują się zarówno ludzie partyjni jak i bezpartyjni. Tu przed ołtarzami spotykają się oni świadomi swojej równości przed Bogiem. Oczywiście tu jak i we wszystkim innym odgrywają znaczną rolę wpojone zasady i przyzwyczajenia, które mogą być silniejsze od wiary. Dodać należy, że oddźwięk walk, jakie stoczyła Moskwa z religią i Kościołem dotarł do Polski w formie osłabionej i ograniczył się raczej do działania zakulisowego. Również i tu okazało się, że wszyscy Polacy, włącznie z tymi u steru, są w pierwszym rzędzie Polakami a dopiero później ideologami politycznymi. Takie sta-

nowisko kół rządzących pozwoliło uniknąć drastycznych posunięć skierowanych przeciwko Kościołowi, pomimo zaostrzenia wzajemnych stosunków.

Niezliczone kościoły, które zostały zniszczone lub spalone, w większej części odbudowano, bądź zachowując dawny styl bądź też z unowocześnieniami, dzięki prywatnym ofiarom i pomocy zagranicy, w szczególności Watykanu i Stanów Zjednoczonych. Państwo uczestniczyło w tym wówczas, gdy chodziło o ochronę i odrestaurowanie cennych zabytków sztuki, jak np. wspaniałego ołtarza Wita Stwosza w Kościele Mariackim w Krakowie lub grobowców królewskich na Zamku Wawelskim. Rząd nie mógłby sobie pozwolić — nawet gdyby tego pragnął — na tłumienie religijnych i kulturalnych potrzeb narodu. Byłem świadkiem wzruszającego dowodu tych uczuć, gdy zobaczyłem leżące przy grobie św. Jadwigi na Wawelu setki małych karteczek. Były to liściki starannie wypisane przez uczniów. Jedni prosili tę otoczoną czcią świętą o pomoc w nauce, inni o szczęśliwą przyszłość, o wyleczenie z choroby lub o uzdrowienie matki czy rodzeństwa. Jaśniej niż inne, nawet bardziej spektakularne dowody, ta dziecinna ufność ukazuje nam, jak głęboko wiara zakorzeniona jest także w młodszym pokoleniu, dla którego pomoc i opieka państwa nie są wszystkim. Że stłumienie tego rodzaju uczuć nie jest ani możliwe ani celowe, dobrze wiedzą kierownicy państwa. Jako ludzie wyrośli w tradycjach i kulturze zachodnio-europejskiej, czują oni lepiej niż mężowie stanu innych krajów Wschodu, gdzie leży nieprzekraczalna granica ich władzy i wpływów.

Jakiegokolwiek byłyby ich ustępstwa na rzecz Moskwy, rządy ich noszą piętno Zachodu. Są one jak gdyby bardziej humanitarne, do pewnego stopnia bardziej tolerancyjne i bardziej umiarkowane niż gdzie indziej na Wschodzie. Z opozycją obchodzą się ostrożnie, i oględnie. Nie odważają się na wszczęcie otwartej walki z Kościołem, mimo marksistowskiej tezy, że „religia jest opium narodów”. Nie wążą się również zakazać należącym do opozycji naukowców i pisarzom o światowej sławie kontaktu z zagranicą i podróżowania. Jeden z tych uczonych, nie ukrywający swego krytycznego stosunku do reżymu, który został ponownie zaproszony do Stanów Zjednoczonych by wygłosić tam cykl odczytów, powiedział mi co prawda, że nie jest pewien czy dostanie paszport i wizę wyjazdową. Tego rodzaju odmowa rozpętałaby jednak oburzenie na całym świecie, co z kolei kolidowałoby z pragnieniem rządu ustalenia lepszych i bliższych stosunków z Zachodem.

Tu, jak i w wielu innych dziedzinach, występuje słynna polska giętkość, której nauczyli się Polacy jeszcze za czasów

carskich. Toteż kierownicy państwa są w pewnym sensie niewolnikami swej polskiej natury. Jest to jeszcze jeden dowód tego w jak słabym stopniu potrafią przemienić człowieka narzucone ideologie polityczne i o ile głębiej natura ludzka urabiana jest przez odziedziczone tradycje i wartości wychowawcze.



W Polsce ogromnie dużo się czyta. Książki i czasopisma są tanie i nakłady bardzo szybko wyczerpane. Gdy niedawno ukazał się w 6000 egzemplarzy „Zbiór Wierszy” Słonimskiego — książka kilkuset-stronicowa — został on rozsprzedany w ciągu 10 dni. (Jaki poeta szwajcarski, którego dzieła nie osiągną w sprzedaży w ciągu roku nieraz nawet paruset egzemplarzy, nie pozazdrościłby mu?) Artystycznie wydana książka z jedno- i wielobarwnymi ilustracjami ołtarza Wita Stwosza została w swym pierwszym i drugim nakładzie natychmiast rozsprzedana. Jest to dowodem literackich i artystycznych zainteresowań polskiej publiczności. Lecz istnieje jeszcze inny powód, dla którego nowo ukazujące się książki zostają rozchwytywane: ponieważ wiadome jest, że na ogół nowe wydanie nie nastąpi przed upływem wielu lat, rzekomo na skutek braku papieru i przeciążenia drukarni państwowych, czytelnicy zaopatrują się w te książki natychmiast po ich ukazaniu się. W tym wypadku motywy już nie są tak bezinteresowne, bo u podłoża ich leżą względy organizacyjno-techniczne. Dziwne jest, że skład książki nie zostaje przechowany, lecz że każde nowe wydanie składane jest na nowo. Również system foto-mechaniczny wydaje się być mało stosowany i wielu poszukiwanych dzieł przez długi czas nie można uzyskać. Tak np. książka Stanisława Vincenza „Na wysokiej połoninie” istnieje obecnie jedynie w tłumaczeniu angielskim. Dla polskiego nabywcy dzieło to jest więc nieosiągalne, aczkolwiek zostało ono od dawna zaklasyfikowane do polskiej literatury klasycznej, i jest bardziej znane w Szwajcarii niż w Polsce. Książka o Szekspirze Kotta, która w licznych tłumaczeniach obiegiła cały świat, ukazuje się co prawda od czasu do czasu w nowym wydaniu lecz w ilościach niedostatecznych i nakład jej jest natychmiast wyczerpany. Skład musi też być za każdym razem zrobiony na nowo. Jeżeli mam wierzyć nieco złośliwemu twierdzeniu, te dziwne zwyczaje drukarskie mają na celu uniknięcie bezrobocia dla wielu zecerów drukarni państwowych. Nie byłem w stanie twierdzenia tego sprawdzić, było ono jednak w jaskrawej sprzeczności z oświadczeniem jednego z czołowych członków partii, który powiedział mi, że tylko w nielicz-

nych krajach czyni się tak dużo dla poparcia intelektualistów, jak w Polsce. Ostatecznie, szybkie wydanie poszukiwanych i wartościowych książek obok podróży zagranicznych należy do najistotniejszych sposobów dostarczania pisarzom strawy duchowej.

Pełne sprzeczności były też dane, które uzyskałem odnośnie finansowej sytuacji naukowców i pisarzy. Ukazały się tu zaskakujące niezgodności i wymieniano mi często cyfry całkowicie rozbieżne. Podczas gdy jeden znany naukowiec i profesor uniwersytetu wyliczył jak poważne są jego zarobki przy śmiesznie niskim komornym za czteropokojowe mieszkanie w ładnej i dobrze położonej willi i przy regularnych dodatkowych dochodach ze Stanów Zjednoczonych i innych krajów zachodnich o silnych dewizach, inny, równie znany autor dzieł naukowych, publikujący także zagranicą udowodnił mi, że sytuacja finansowa naukowców jest, ogólnie biorąc, jak najgorsza. Uposażenie profesora wynosi około 400 fr. szw. (w przeliczeniu po oficjalnym kursie turystycznym). Wystarczy to, rzecz jasna, jedynie na bardzo skromny tryb życia i o zakupie książek zagranicznych, z wyjątkiem tych, które pochodzą z krajów Europy Wschodniej, nie może być mowy. Z drugiej strony, wysoki urzędnik partyjny i również profesor zapewnił mnie, że w Polsce wszystkie prace naukowe są dodatkowo i bardzo dobrze płatne. Wobec tak różnych danych nie jest łatwe wyrobienie sobie poglądu na rzeczywistą sytuację naukowców. Niewątpliwie powodzi się w Polsce wielu pisarzom i uczonym bardzo dobrze. Korzystają oni z całego szeregu ułatwień. Związek Pisarzy Polskich dysponuje całym domem z dobrą restauracją, z ładnymi salami i pokojami gościnnymi dla przyjezdnych. Akademia Nauk dysponuje częścią zamku w Jabłonie nad Wisłą, gdzie — jak już zaznaczyłem — członkowie jej mogą pracować w pełnej uroku atmosferze ciszy i spokoju. Nastrojowe sale restauracyjne dają okazję do życia towarzyskiego. Związek Pisarzy w Krakowie posiada również mały, przyjemny dom wypoczynkowy. W tych sprawach Polska jest więc bardziej zaawansowana niż np. Szwajcaria, gdzie tego rodzaju reprezentacyjne fundacje dla pisarzy były dotąd nieznane i gdzie od niedawna dopiero zaczynają powstawać dzięki prywatnym darom (np. Carona w Tessynie). Własne pomieszczenie, z biblioteką i czytelniami, w którym Pen-Club przyjmuje w Warszawie swych gości, świadczy również o autorytecie jakim cieszy się literatura. Ale i w tej dziedzinie polityka wyznacza jej pewne granice. Tak więc np. „opozycjnemu” Słonimskiemu wolno publikować książki w wydawnictwie państwowym lecz ogłaszanie artykułów w czasopiśmie jest mu zakazane. Jego krytyka uważana jest za „destrukcyjną” i „wsteczną”, przy jedno-

czesnym szacunku dla jego wierszy, znajdujących się we wszystkich podręcznikach szkolnych.

Trudny problem stanowi wymiana kulturalna, której Polacy tak bardzo pragną i którą starają się popierać przez zapraszanie gości z zagranicy, przedstawicieli nauki, sztuki, literatury i muzyki. Jest to dla obu stron bardzo cenne i pozwala na nawiązanie owocnych kontaktów. Wiele dzieł zagranicznych tłumaczy się na język polski i czasopisma drukują całe utwory Brechta, Ionesco, Becketta, Sartre'a, Dürrenmatta i Frischa. Tłumaczy się też wiele poezji. Tradycja tłumaczenia jest w Polsce wciąż bardzo żywotna. Tak np. Boy-Żeleński wspaniale przetłumaczył wielką ilość dzieł literatury światowej. Polacy są również i dziś doskonale zorientowani w literaturze francuskiej, angielskiej, amerykańskiej i niemieckiej. Mam wrażenie, że wykształcona młodzież polska zna o wiele lepiej literaturę zagraniczną niż wielu Francuzów, Anglików czy Szwajcarów. Łaknie ona wiedzy i żywo dyskutuje o wszystkich nowych utworach bez jakiegokolwiek prowincjonalizmu i przesądów narodowych.

Wymiana kulturalna jest jednak dwustronna, tzn. że Polakom należałoby ułatwić wyjazdy zagranicę w takim samym stopniu w jakim obcokrajowcy udają się do Polski. Napotyka to niestety na duże przeszkody natury zarówno finansowej jak i politycznej. Polska jest krajem biednym w dewizy, które musi zachowywać na opłacenie importu artykułów pierwszej potrzeby. Ukazują się tu ponownie wady kapitalizmu państwowego. Podróż zagranicę należą obecnie do przywilejów, z których korzystać mogą osoby posiadające dewizy lub zaproszenie od znajomych czy krewnych. Wobec wielkiej różnicy w stosunkach gospodarczych między Wschodem a Zachodem, reżym nie życzy sobie by Polacy mogli porównywać i wyciągać wnioski na podstawie własnych obserwacji. Byłoby to tak samo wymowne jak np. przejście z Berlina Wschodniego do Berlina Zachodniego. Wszelka argumentacja jest w tych wypadkach zbyteczna bo stan rzeczy mówi sam za siebie. Władze obawiają się przede wszystkim krytyki własnego systemu, narzucającej się przy takich porównaniach. W tym należy szukać głównych przyczyn dla których utrudnia się wszystkim wyjazdy zagranicę, nawet na krótki czas i nawet jeżeli wyjeżdżają w charakterze zaproszonych gości. W zasadzie wyjazdy są możliwe jedynie do krajów wschodnio-europejskich oraz na polskich statkach. Niektórzy pisarze objechali cały świat jako pasażerowie na polskich frachtowcach, widząc w tym jedyną możliwość zwiedzenia innych krajów. Lecz i te możliwości są ograniczone.

W tych warunkach upragniona wymiana kulturalna pozostanie jeszcze przez długi czas raczej jednostronna. Jest to tym

bardziej godne pożałowania, że i Zachód mógłby wynieść z tych spotkań coś wartościowego. Zbliżenie z krajami słowiańskimi, w szczególności z Polską, przynosiło Zachodowi zawsze pewne odświeżenie i rozszerzenie horyzontów przez zetknięcie z żywotną i bezpośrednią umysłowością tych ludów, wolną od doktrynerstwa i ekstremizmu. Można by się zapytać, czy przesadne i wypaczone, powstałe raczej z myśli niż z przeżycia formy, w których lubuje się część dzisiejszej literatury, nie wynikają stąd, że Zachód od tak dawna pozbawiony jest ciągłego i wielostronnego kontaktu ze światem słowiańskim. Odnosi się to w pierwszym rzędzie do Rosji i Polski.



„Nauka dla mas”, „Sztuka dla wszystkich”, „Kształcenie narodu” — są to slogany, przy pomocy których nie tylko przezwyciężono analfabetyzm, ale także udostępniono szerokim masom naukę i kulturę. Muszę przy tym nadmienić, że na Huculszczyźnie, należącej dawniej do Polski i będącej obecnie pod rosyjskim panowaniem, wśród licznych analfabetów poznałem ludzi o uderzającej oryginalności i szlachetnej umysłowości, jakich nie zawsze spotykam na uniwersytetach. Nie mogę też zapomnieć, że staranne kształcenie w przedwojennych Niemczech nie przeszkodziło, że wśród katów Oświęcimia i morderców Żydów znaleźli się liczni ludzie o wyższym wykształceniu. Nie należy więc za dużo oczekiwać od samej umiejętności pisania i czytania jak również od masowego rozpowszechniania wiedzy, jak długo nie zaszczepia się jednocześnie pojęć i zasad właściwie kierujących poczynaniami ludzkimi. Jedyne te wartości potrafią uchronić naukę i wiedzę przed wykorzystaniem ich dla celów niszczytelnych, co zresztą nie ogranicza się tylko do zbrodni popełnionych przez Niemców. Pęd do nauki, który opanował polskie życie umysłowe wynika z potrzeby nadrobienia opóźnienia, i można tylko pragnąć, by zapewniono sprawom kształcenia możliwość spokojnego, organicznego rozwoju.

Pewnego dnia w hotelu w Warszawie czekając na windę zobaczyłem otwartą książkę leżącą na krześle windziarza. Spojrzałem na tytuł: była to „Odyseja” Homera. Zapytałem tego człowieka, urzędnika w średnim wieku, jak mu się podoba poezja i czy często czyta takie książki. „Uważam, że Homer jest wspaniały” — odpowiedział, i w słowach jego czuło się szczerzy zachwyt. Powiedział mi również, że przeczytał już ponad tysiąc książek i że lektura należy do najpiękniejszych chwil jego wolnych dni i wieczorów. Ludzie tacy istnieli zawsze i wszędzie. Przypominam sobie wiedeńskiego motorniczego tramwajowego,

który w przerwach na stacjach końcowych rozczytywał się w „Fauście” Goethego.

W teatrach, które są prawie zawsze przepełnione, widzi się przedstawicieli wszystkich warstw społecznych: robotników, urzędników i intelektualistów różnego wieku. Najliczniej jednak jest reprezentowana młodzież. Młodzież studiująca interesuje się o wiele więcej literaturą, teatrem i muzyką niż polityką. Winę za to ponosi sam reżym nie tolerując zbyt szczerych dyskusji. Gdy pewnego dnia do nowo utworzonego klubu młodych zaproszono przedstawicieli kierownictwa partyjnego na dyskusję, klub ten uległ natychmiastowej likwidacji. Pytania i krytyki młodzieży okazały się widocznie tak niewygodne dla rzeczników polityki partyjnej, że postanowiono klub zamknąć. Młode pokolenie nie może oczywiście wychować się w tych warunkach w poczuciu odpowiedzialności za losy państwa. Tak potrzebne krajowi odnowienie i rozszerzenie życia politycznego przez udział w nim osób samodzielnie i krytycznie myślących, nie jest w tych warunkach możliwe.

Tym więcej interesuje się młodzież życiem towarzyskim, wymianą kulturalną i lekturą, ale także i sportem, kawiarniami i zabawami. Jest beztroska i nie przejmując się ani swą przyszłością, ani problemami stojącymi przed ich ojczyzną, żyjąc z dnia na dzień, podobnie zresztą jak młodzież innych krajów. Znosi szarżę życia codziennego z obojętnością, sądząc że jest to nieuniknione i że należy sobie w miarę możliwości uprzyjemnić życie. Jednego pragną prawie wszyscy: mieć okazję poznania z własnego doświadczenia nie tylko krajów wschodnich lecz również i Zachodu. Największe szanse zrealizowania tych pragnień mają związki studenckie. Przyszłość wykaże w jakim stopniu ich stosunek do partii i credo polityczne będą wpływały na wybór kandydatów na wyjazd. Przy wyborze studentów zaproszonych do Moskwy czynniki te brane były pod uwagę.

Aby zrozumieć położenie Polski należy wziąć pod uwagę, że odbudowę państwa musiano zaczynać od zera. Z poprzednich okresów wojen i niewoli Polska wyniosła bogate doświadczenie i upartą zdolność do regeneracji. Wyjątkowo dramatyczne okazało się niespotykane dotychczas prawie całkowite wyniszczenie inteligencji, warstwy kierowniczej polskiej i żydowskiej. Powstała bolesna luka obejmująca całą generację. Domy, szpitale, dworce kolejowe, kościoły, ulice i mosty dają się stosunkowo szybko odbudować, lecz strata całej warstwy liczącej najwięcej uzdolnień politycznych i umysłowych, zniknięcie starszych i młodszych kadr, są o wiele trudniejsze do wyrównania. Rany te zadano oczywiście wszystkim krajom dotkniętym przez wojnę, żaden z nich jednak nie doznał tak olbrzymiego wyniszczenia jak Polska. Diabelski

plan Himmlera, mający zrobić z Polaków niewolników aryjskiej rasy panów, spowodował wykrwawienie się tego narodu, które porównywać można chyba tylko ze skutkami wojny 30-letniej w Niemczech. Tym bardziej godne jest podziwu pragnienie odrodzenia znajdujące swój wyraz w odbudowie i świadczące o żywotności i odporności duchowej, jaką w 1945 r. mało kto uważał za możliwą. Dorastające pokolenie uzupełnia teraz stopniowo wyniszczone kadry. Wśród najlepszego elementu pragnienie zbliżenia z Zachodem będzie coraz silniejsze, nie tylko dlatego, że wynika to z zakorzenionej od dawna woli obrony przed Rosją, lecz również z odczuwanej przez cały naród przynależności do kultury zachodniej. Świadczy o tym przykład znakomitych Polaków, którzy, w różnych czasach emigrowali na Zachód, do Szwajcarii, Francji, Anglii i Stanów Zjednoczonych, gdy we własnym kraju ucisk stawał się zbyt dotkliwy. Należy mieć nadzieję, że trudności i częściowo sztuczne przeszkody, stojące na drodze do bardziej ożywionej wymiany z Zachodem, zostaną z czasem usunięte z korzyścią dla Polski, bliskiej nam przez swą psychikę i tradycje, a także z korzyścią dla Zachodu, który zawdzięczał temu uzdolnionemu słowiańskiemu narodowi wiele owocnych impulsów.

Gdy patrzę wstecz na wrażenia z podróży, przychodzi mi na myśl coś podobnego do wizji mglistej, odległej przyszłości. Co by się stało, gdyby państwa satelickie, mające silne tradycje wolnościowe, zapomniały o wzajemnych urazach i niechęciach i okazały wspólną wolę wyzwolenia się z narzuconego im obcego jarzma rosyjskiego? Czy władcy Kremla, z trudem tylko utrzymujący w posłuszeństwie własny naród i zmuszeni uciekać się do spektakularnych wypraw kosmicznych dla utrzymania zachwianego prestiżu, potrafiliby oprzeć się zjednoczonej woli państw satelickich? Czy władcy ci, jakkolwiek okazali niezaprzeczoną wiedzę i nawet wirtuozerię w kierowaniu sztucznymi satelitami, krążącymi dokoła ziemi, potrafią na dłuższą metę, podporządkować sobie stojące na granicy ludy satelickie? Czy inicjatywa ich nie stałaby się sygnałem do wspólnej walki o nową, wolną egzystencję, w której wyzwolone siły utorowałyby drogę prawdziwemu społecznemu i politycznemu postępowi? Ludy te — Polacy, Węgrzy, Czesi, Słowiaczy, Serbowie, — w toku historii walczyły niejednokrotnie w obronie wolności. Obecne panowanie, bezwzględne czy bardziej tolerancyjne, nie potrafiło nigdy osłabić ich przywiązania do wolności i gotowości do jej obrony. Wypadki na Węgrzech i w Polsce 1956 są tego dowodem. Ruchy te, słabe przez swą izolację, były przedwczesne. Były zaledwie pierwszymi znakami. Dążenia, które znalazły w nich wyraz są żywe także u innych ludów Europy Wschodniej. Na razie są bezsilne

bo rozproszone. Wspólny wysiłek przyniósłby wolność nie tylko ludom ujarzmionym lecz mógłby także pomóc narodowi rosyjskiemu w znalezieniu drogi do swobodniejszej egzystencji.

Dziś taki obrót wypadków jest tylko mglistym choć śmiałym marzeniem. Droga do jego spełnienia jest długa i niebezpieczna. Z mojej nowej bytności w Polsce wyniosłem jednak wrażenie, że w tym kierunku zmierza rozwój wypadków. To co dziś wydaje się niemożliwe, może się stać rzeczywistością; potrzebne do tego siły wzrastają z roku na rok. Myślę wreszcie że na dłuższą metę nie będziemy mogli zrezygnować z czynnego udziału w odbudowie swobodnej, odrodzonej społecznie i duchowo, wolnej od konfliktów Europy, a także dalszych krajów Wschodu.

Hans ZBINDEN

(Przełożył Jerzy KROŃSKI).

PACZKI BEZ CŁA - PRZEKAZY PIENIĘŻNE DO POLSKI



Tel: FRE. 7888

\$ = 72 zł.

£ = 201 zł.

PRZEDSTAWICIELSTWO
BANKU P.K.O.

HASKOBA LTD

81 CROMWELL Rd., LONDON S.W. 7

BIURO PODRÓŻY: ANGLOPOL TRAVEL Ltd.
38 Thurloe Place, LONDON S.W. 7 Tel. KEN 3223

Religia a polityka

„Only those who have the courage not to be certain are truly free”.

Frederic Morton.

O religii nie można mówić obiektywnie, ponieważ teologia, nawet na najwyższym poziomie nie jest nauką w tym sensie jak matematyka, fizyka czy chemia. Dlatego podejmując dyskusję w tej sprawie należy zacząć od przedstawienia własnego poglądu. W gruncie rzeczy bowiem — wbrew temu co mówi Kardynał Heenan — każdy z nas jest swoim własnym teologiem.

W moim przekonaniu ateizm jest fikcją. Nie spotkałem w życiu ani jednego prawdziwego ateisty. Przed kilku laty BBC nadało dialog pomiędzy Bertrandem Russell'em a jednym z wybitnych angielskich jezuitów. Russell przyciśnięty do muru wycofał się ze swojego ateizmu i oświadczył, że jest agnostykiem. Agnostyk nie jest ani teistą ani ateistą i rezerwuje swój sąd.

Nie ma żadnych dowodów na to, że Bóg nie istnieje. Natomiast za jego istnieniem przemawia „wiedza wrodzona”, której nikt w całości nie jest w stanie w sobie zniweczyć.

Jest rzeczą charakterystyczną, że ateści odczuwają potrzebę bezustannego umacniania się w obranym poglądzie i w swych pismach ustawicznie powracają do centralnej tezy. „The Humanist” — organ „The British Humanist Association” (prez. prof. A. Ayer) — połowę każdego numeru poświęca apologetyce ateizmu. Freud nazwał religię „neurozą ludzkości”. Doświadczenia kliniczne wykazały jednak, że uświadomienie sobie własnej neu-

Artykuł J. Mieroszewskiego w sposób bardzo ciekawy i kontrowersyjny porusza jedno z najważniejszych zagadnień naszych czasów, zaktualizowanych ostatnią sesją soborową, obradującą obecnie w Rzymie.

Mamy nadzieję że artykuł ten ożywi zainteresowanie naszych czytelników Ankieta którą ogłosiliśmy w nrze. lipcowym.

Pragnąc by rezultaty Ankiety były najbardziej reprezentatywne przedłużamy termin nadsyłania odpowiedzi do końca października br.

REDAKCJA

rozy nie prowadzi do jej uleczenia. Ateiści analizują i zwalczają swoją „neurozę” — lecz obsesja z jaką to czynią budzi wątpliwości czy terapia jest w pełni skuteczna.

W rzeczywistości ateizm jest taką samą formą fideistycznego eskapizmu jak zorganizowana religia. Akceptując bez zastrzeżeń katolicyzm — brzemień wątpliwości porzucamy u progów kościoła. Akceptując ateizm — brzemień wątpliwości wyrzucamy na śmietnik. Eskapizm niestety jest iluzją ponieważ nie można uciec przed samym sobą.

Gdyby ateizm był odpowiedzią na wszystkie wątpliwości i niepokoje — nie byłoby problemu. Ludzie podzieliliby się na dwa obozy — wierzących i ateistów i wszyscy byłiby zadowoleni w ramach swojego poglądu na świat. W gruncie rzeczy jednak tak zorganizowana religia jak i zorganizowany ateizm dostępne są dla mniejszości o fideistycznej dyspozycji psychicznej. Dla większości ludzi myślących ani zorganizowana dogmatyczna religia ani zorganizowany dogmatyczny ateizm (marksizm) są nie do przyjęcia. I tu zaczyna się problem.

Pierwszym przykazaniem jest uczciwie myśleć — to znaczy myśleć zgodnie z sumieniem i rozeznaniem. Tylko człowiek mający odwagę uczciwie myśleć zdobędzie się na odwagę przeciwstawienia się złu.

Jeden z moich kolegów szkolnych — lekarz praktykujący na zapadłej prowincji opowiedział mi klasyczny wypadek, jeden z tysięcy. U swej pacjentki, chłopki, matki trojga nieletnich dzieci — stwierdził w początkach ciąży nieomogę nerek. Zaproponował przerwanie ciąży. Spowiednik pacjentki kategorycznie sprzeciwił się zabiegowi. W rezultacie kobieta umarła bezpośrednio po porodzie, osierocając troje małych dzieci.

Ów ksiądz nie miał odwagi zdobyć się na racjonalne, uczciwe myślenie i wskutek tego podpisał wyrok śmierci na matkę trojga dzieci. Katolicy w większości nie znają lub nie pamiętają słów św. Tomasza z Akwinu, że lepiej jest człowiekowi umrzeć w ekskomunie niż w niezgodzie ze swoim sumieniem. Większość katolików poczytuje sobie za „heroiczną cnotę” wbrew swemu sumieniu i rozeznaniu ugiąć się przed dogmatem. W moim przekonaniu człowiek czyniący oczywistą krzywdę nie może zasłaniać się dogmatem czy przepisem kościoła ani na tym ani na tamtym świecie.

Naczelną ludzką cnotą jest odwaga, bo tylko odważni bywają intelektualnie uczciwi sami z sobą — a trzeba być uczciwym samemu z sobą by się zdobyć na uczciwość wobec innych.

Ów *double thinking*, który akceptuje wielu katolików (pogląd naukowy — jedna szufladka, — pogląd religijny — druga szufladka) działa intelektualnie deprawująco.

Dziś nie ulega najmniejszej wątpliwości, że człowiek nie został stworzony — jak głoszą wszystkie wielkie religie — tylko wyewoluował stopniowo z niższych form zwierzęcych. Dla celów klasyfikacji i systematyki przyjmujemy, że osobnik człokształtny, który zaczął wytwarzać prymitywne narzędzia — był już czło-

wiekem. Jest oczywiste, że gdy człowiek zaostriął pierwszy kamień — Bóg nie tchnął w niego duszy nieśmiertelnej — musieliśmy bowiem przyjąć, że ludzie zostali wywianowani w nieśmiertelność w pewnym określonym pokoleniu. Wydaje się pewne, że duch, dusza, *mind* — ewoluowały w człowieku powoli i stopniowo i ów proces trwa nieprzerwanie po dzień dzisiejszy. Jeżeli człowiek wyewoluował z niższych form zwierzęcych — nie mógł popełnić grzechu pierworodnego. Jeżeli nie popełnił grzechu pierworodnego — nie ma powodu go chrzcić itd. itd.

Świątły katolik odpowie na to, że biblijna relacja o stworzeniu świata i człowieka jest przypowieścią, pełną symbolicznych porównań i obrazów. Niemniej w oparciu o owe parabole wypracowano z biegiem stuleci szereg dogmatów, nakazów i zakazów.

Kościół katolicki do dziś podtrzymuje doktrynę o piekle, które jest Oświęcimm podniesionym do n-tej potęgi. Doktryna piekła przekreśla ideę chrześcijańskiego zbawienia. Osobiście nie refleksuję na niebo, jeżeli w niebie miałyby mi towarzyszyć świadomość, że w piekle cierpią potępieni niewypowiedziane męki bez kresu i nadziei. By uwierzyć w tego rodzaju porządek rzeczy musiałbym wpierw całkowicie zwątpić w istnienie Boga — co w moim wieku — myślę — już mi nie grozi. Koszmarne absurdy wymyślają tylko ludzie — nigdy Pan Bóg.

Od czasów Kopernika ziemia przestała być centrum wszechświata. Lecz dopiero w ostatnich dekadach weszliśmy w epokę kosmiczną. Jest wielce prawdopodobne, że w naszym systemie słonecznym życie istnieje tylko na naszej planecie. Astronomowie zgodni są jednak w przekonaniu, że w wszechświecie istnieją setki milionów planet na których mogło powstać i rozwinąć się życie — w wielu wypadkach być może w wyższych formach niż na ziemi. Fred Hoyle, znakomity astronom i matematyk brytyjski wyraził pogląd, że ani my, ani nasi ewentualni kosmiczni sąsiedzi nie przewyżczymy przestrzeni ze względów biologicznych. Nie można planować podróży międzyplanetarnych, które musiałyby trwać setki lat. Lecz kiedyś z cywilizacjami poza-ziemskimi możemy nawiązać kontakt radiowy i telewizyjny. Ci, którzy w tym miejscu uśmiechną się sceptycznie, niech postawią sobie pytanie jakby przyjęli 20 lat temu przepowiednię, że w roku 1965 na łamach prasy światowej ukażą się autentyczne fotografie powierzchni Marsa.

Chrześcijaństwo jest religią klasycznie ziemską i nie jest przygotowane do przyjęcia poglądu kosmicznego. Człowiek z innej planety nie mógłby zostać chrześcijaninem, ponieważ cała saga chrześcijańska jego nie dotyczy. Nie jego pra-rodzice popełnili grzech pierworodny, nie za niego umierał Chrystus na krzyżu — nie jemu obiecano zbawienie. A przecież prawdziwa religia musi być prawdziwa i uniwersalna wszędzie. Zarówno na ziemi jak i na milionach planet w kosmosie. Bóg nie przynależy do żadnej religii ani ziemskiej ani poza-ziemskiej i jest jeden i ten sam w całym wszechświecie.

W mojej opinii nie ma żadnego kryzysu religijności. Kryzys dotyczy wyłącznie zorganizowanych religii. „Materia wyparowała” jak mówi Koestler, klasyczna granica oddzielająca przyrodę organiczną od nieorganicznej traci na znaczeniu, duch, dusza, *mind* — nabierają nowego wyrazu w świetle teorii ewolucyjnych. Po między religijnością a nauką nie ma dziś żadnej podstawowej sprzeczności. Trzeba tylko uznać, że główną i najwspanialszą „księgą objawioną” jest nauka. Żadna doktryna religijna nie może być wyższa od prawdy. Bóg jest czystą prawdą i tylko poprzez naukę można poznać jego dzieło, a poprzez dzieło jego samego. Rozum ludzki jest ułomny, lecz wszystko inne jest niepomniernie bardziej ułomne. W gruncie rzeczy nie ma żadnej metafizyki — jest tylko fizyka. Nauki ściśle odkryły przed nami wszechświat i zbliżyły nas do prawdy w nieporównanie większym stopniu niż wszyscy mistycy i metafizycy ostatnich dwóch tysięcy lat.

Fatalną spuścizną mistyków jest pogląd, że w tych sprawach istnieje droga „na skróty”, droga „na przełaj”. Jeżeli ktoś nic nie wie o fizyce, matematyce, astronomii, biologii — w gruncie rzeczy nic nie wie o Bogu. Ignorancja jest drogą do bałwochwalstwa i praktyk kultowych, które mogą być „opium dla tłumów” lecz o Bogu nie mówią niczego. Bóg jest czymś niepomniernie bardziej wspaniałym niż sobie to wyobrażają teologowie.

Prawdziwą teologią są nauki ściśle, ponieważ poprzez wiedzę dokonuje się dzieło objawienia, tzn. proces stopniowego poznania prawdy.

Każdy dogmat doktrynalny, który jest sprzeczny z udokumentowanym poglądem naukowym jest w gruncie rzeczy herezją, ponieważ herezją jest wszystko to co nie odpowiada prawdzie. Nie ma dwóch objawień — religijnego i naukowego, ponieważ nie może być dwóch różnych prawd. Zorganizowane religie a kościół katolicki w szczególności — nie chcą przyznać nauce statusu narzędzia objawienia. Kościół zainteresowany jest w nauce tylko o tyle o ile dane odkrycie czy teoria naukowa jest zgodna z doktryną.

O. Teilhard de Chardin pojmował naukę jako instrument objawienia. O. Teilhard był niewątpliwie naukowcem i prorokiem chrześcijaństwa, lecz nie dokonał rewolucji w kościele do jakiego należał.

Zorganizowane religie jeśli mają przetrwać — muszą przyjąć pogląd że objawienie nie jest rzeczą ostateczną i daną — lecz z woli Boga prawda musi być zdobywana ewolucyjnie krok po kroku. Nasz umysł podlega stałemu rozwojowi poprzez wiedzę. Nie każdy może być Teilhard'em lecz każdy może czytać jego dzieła. Trzysta lat temu największy mistyk nie mógł wyprodukować koncepcji Boga i systemu takiej głębi i horyzontów — ponieważ wówczas najświętsi ludzie nie dysponowali wiedzą, którą zdobył Teilhard de Chardin.

Sytuacja uległa odwróceniu. Dawniej nauka była podejrzana i kościół dopatrywał się w niej źródeł herezji. Dziś triumf nauki jest całkowity i dogmaty doktrynalne uważane są często za

źródło poglądów nieodpowiadających prawdzie — a więc w istocie swej stanowiących herezję.

W krajach Zachodu maleje procent ludzi uczęszczających do kościołów. Nie oznacza to bynajmniej, że maleje procent ludzi religijnych. Natomiast maleje procent ludzi, którzy są w stanie pogodzić akceptację dogmatów z intelektualną uczciwością. Bóg nie jest koncepcją fideistyczno-statyczną, lecz przeciwnie jest koncepcją dynamiczną i otwartą. O planiście możemy się tylko dowiedzieć poprzez odszyfrowywanie jego planów. Fakt, że stale choć mozolnie postępujemy na drodze ku odszyfrowaniu owego planu — jest zasadniczą cechą naszego człowieczeństwa. Ustawiczna ewolucja nauki i naszych umysłów wyodrębniła gatunek ludzki ze świata zwierzęcego i stanowi sens „boskiej przygody”, która jest wyłącznie udziałem człowieka.

Teilhard — którego dzieła nie znalazły uznania ani u jego zakonnych przełożonych ani w kurii rzymskiej — wykazał, że chrześcijaństwo może nie tylko inkorporować w swój system cały dorobek nauki współczesnej — lecz pokusić się również o filozoficzno-religijną syntezę, której świecka filozofia nie dostarcza.

Wydaje mi się, że to jest jedyna droga otwarta przed chrześcijaństwem. Ludzie nie wyprą się nauki — raczej wyprą się chrześcijaństwa. Jeżeli zorganizowane religie nie uznają prymatu nauki jako głównego źródła poznania prawdy — co oczywiście pociągnąć by musiało za sobą daleko idące reformy — kościoły będą pustoszały. W jeszcze większym stopniu niż dotychczas upowszechni się przekonanie, że w dzisiejszym świecie tylko w ramach prywatnej religijności możliwe jest zharmonizowanie doświadczenia religijnego z poglądem naukowym.

W tych rozważaniach na czoło wybijają się dwa zagadnienia. Uczciwości w sensie intelektualnym i uczciwości w sensie etycznym.

Fundamentem każdej postawy religijnej jest uczciwość intelektualna i etyczna. Uczciwym intelektualnie jest człowiek, który daje świadectwo prawdzie nawet wbrew doktrynie religijnej. Prawdą jest pogląd, który podlega sprawdzeniu i udowodnieniu. W wypadkach w których badanie naukowe poparte sprawdzonymi faktami przeczy doktrynie religijnej — można zaakceptować tezę ortodoksyjną tylko poprzez *brain-washing*, co jest operacją intelektualnie nieuczciwą. Człowiek przyjmuje daną tezę religijną ze strachu, na skutek perswazji — lub najczęściej z obawy przed wyłączeniem z Kościoła. Spotkałem wielu katolików, którzy mi mówili, że byliby najchętniej agnostykami, gdyby mieli odwagę żyć i umierać poza ramami Kościoła.

Uczciwość intelektualna wymaga odwagi lecz dopóki nie chcemy Boga identyfikować z „Wielkim Bratem” z powieści Orwella — uczciwość intelektualna stanowić musi podstawę naszego stosunku tak do Boga jak i do ludzi. Nic bardziej nie deprawuje moralnie i intelektualnie jak akceptowanie tezy, w którą na dnie duszy się nie wierzy. To jest równoznaczne z zaparciem się człowieczeństwa.

Podstawą wszelkiej etyki jest zasada, że nikogo nie wolno krzywdzić. Jeżeli dany czyn nie przynosi krzywdy naszym bliźnim ani nam samym uznać go można za etycznie neutralny.

Żaden dogmat czy teza religijna nie mogą powodować oczywiście krzywdy bo wówczas dany przepis religijny należałoby uznać za sprzeczny z etyką.

W kraju w którym śmierć z głodu jest zjawiskiem znanym a chroniczne niedożywienie objawem powszechnym — przepis religijny zabraniający zabijania krów jest nie tylko nonsensem lecz krzywdzącym nonsensem.

Zakaz przerywania ciąży nawet w umotywowanych wypadkach — jest również krzywdzący, a tym samym nie etyczny. Przepis zabraniający stosowania środków antykoncepcyjnych w obecnej ludnościowej sytuacji świata jest absurdalny i społecznie szkodliwy.

Można by wymienić wiele innych przykładów, lecz ograniczam się do najbardziej jaskrawych. Kardynałowie sądzą, że laik nie powinien być swoim własnym teologiem. Jednak ci sami kardynałowie pragną być naszymi ginekologami i socjologami, pomimo że w tych dziedzinach są całkowitymi laikami.

Żadna etyka — chrześcijańska czy jakakolwiek inna — nie może sankcjonować krzywdy indywidualnej czy społecznej powołując się na wskazania doktryny religijnej.

Pierwszym obowiązkiem człowieka wobec Boga i ludzi jest zachować bezkompromisową uczciwość intelektualną i etyczną. To co się określa spokojnym sumieniem jest tylko i wyłącznie na tej drodze do osiągnięcia.

◆

Korespondenci pism zagranicznych zwracają uwagę na manifestacje zbiorowego życia religijnego w Polsce. W przeciwieństwie do Anglii — religijność w naszym kraju jest zjawiskiem masowym. Neal Acherson, korespondent angielskiego tygodnika „The Obserwer”, napisał niedawno, że Polska jest bardziej katolicka niż Hiszpania i bardziej pobożna niż Irlandia.

Jednak większość obcych obserwatorów nie zdaje sobie w pełni sprawy z socjologicznych przemian zachodzących w Polsce. Niezmienione pozostają formy tradycji lecz treść ulega głębokim przeobrażeniom. By wymierzyć w pełni głębie owych socjologicznych przemian wystarczy uzmysłwić sobie fakt, że ponad 50% ludności Polski żyje dziś w miastach. Ostoją tradycyjnego katolicyzmu była zawsze wieś. Polska wieś dostarczała w przeszłości — choć nie arcybiskupów i kardynałów — lecz księży — armii wiejskich proboszczów. Dziś w statystyce powołań Polska spadła w Europie omal na ostatnie miejsce.

Socjologowie katoliccy podkreślają w swych studiach, że młodzież wiejska łądując w miastach porzuca tradycyjną obyczajowość i skalę wartości. Młoda inteligencja polska — w przeważającym procencie pochodzenia robotniczo-chłopskiego — w opinii socjologów katolickich pozostawia wiele do życzenia. Młodzież

wyznaje „ideologię konsumpcyjną”, co ją odcina zarówno od religii jak i od marksizmu. Młodych fascynuje postęp technologiczny, dobrobyt, i amerykańska „uroda życia”. Motocykl, barek w ścianie, płytoteka — według krakowskiego „Życia Literackiego” symbolizują *affluent society* w oczach młodego pokolenia.

Przyziemny materializm zarzucają u nas młodzieży nieodmiennie ci, którym materialnie doskonale się powodzi. Identyfikowanie ubóstwa z ideowością jest tradycyjnym rysem polskim i wschodnim. Gomułka, którego nieuctwo w sprawach gospodarczych kosztuje Polskę miliardy, jest „ideałem”, ponieważ żyje skromnie i co wieczór osobiście wystawia puste butelki po mleku za drzwi swego mieszkania. Dobrobyt wielu deprawuje — lecz nędza deprawuje znacznie bardziej i powszechniej, („Jak się chce w Polsce żyć przyzwoicie... nie można być przyzwoitym” — mówi współczesne porzekadło warszawskie).

Ks. A. Boniecki na łamach „Tygodnika Powszechnego” w oparciu o badania katolickich socjologów — stwierdził, że wśród młodej inteligencji uległ przemianom typ motywacji religijnej. Ci inteligenci, którzy są religijni nie wiążą dziś religijności z lojalnością wobec norm grupy do której należą, jak np. rodzina czy naród.

Jeżeli istotnie tak jest, należy uznać to za ewolucję w kierunku pożądanym. Nacjonalizm w sojuszu z fanatyzmem religijnym daje w rezultacie anty-tezę religii i patriotyzmu. Motywowanie polskości katolicyzmem i katolicyzmu polsnością — prowadzi do fanatyzmu, totalizmu — nietolerancji, agresywnej reakcji w najgorszym wydaniu. Nacjonalισci wychodzą zawsze z założenia, że co dobre dla nacjonalistycznych ambicji — to dobre i dla kościoła, łącznie z biciem Żydów, masowym paleniem cerkwi itp. itp. Zarówno katolicy jak i komuniści pragną uczynić z nacjonalizmu główny motyw wyznawczy swojej ideologii.

W Polsce nigdy nie było antyklerykalizmu. Określenie „katolicki antyklerykał” w języku polskim brzmi wręcz absurdalnie. Polak antyklerykalizm kojarzy automatycznie z „żydo-komuną”, z masonerią z... propagandą świadomego macierzyństwa zmierzającą do „ludobójstwa”. (Jest rzeczą charakterystyczną, że w pewnych kołach katolickich w Kraju potępiono ograniczanie urodzin jako akcję sprzeczną z polskimi interesami w obliczu rewizjonizmu niemieckiego!)

Z tych samych przyczyn w Polsce nie było nigdy liberalizmu — tak jak się go pojmuje na Zachodzie. Człowiek o postawie liberalnej jest z definicji nastrojony antyklerykalnie. Liberalowie nie walczą przeciw religii — natomiast przeciwstawiają się politycznym ambicjom kościoła, które w przeszłości często zagrażały wolności. Lecz w Europie zachodniej to wszystko są dzieje starożytne. Liberalizm jest postawą kulturalną niemal powszechną i dzięki temu wielka dyskusja religijna zapoczątkowana przez Jana XXIII toczy się na Zachodzie w atmosferze swobody i powagi.

W interesie religii leży rozdział pomiędzy państwem a kościołem. Religia państwowa — panująca i prawnie uprzywilejowana — z *religii przemienia się w ideologię*.

W gimnazjum, które kończyłem, nasz młody i uczony katecheta był *de facto* politrukiem. Jednego z moich kolegów nie dopuścił do matury ponieważ uważał, że jego poglądy religijne są nieprawomyślne. Tailiśmy przed nim wszystkie nasze wątpliwości powtarzając jak papugi wyuczone lekcje. Praktyki religijne były przymusowe a uczestnictwo pedantycznie sprawdzane. Tak usytuowana religia przemienia się w oficjalną ideologię z wszystkimi deprawującymi konsekwencjami, znanymi nam z dziejów innych państwowych ideologii.

W szkołach państwowych nauka religii winna być przedmiotem dostępnym dla wszystkich, lecz nie obowiązującym. Z życia religijnego winien być usunięty wszelki przymus administracyjny. Obecnie „katecheci” marksizmu-leninizmu dysponują przymusem administracyjnym. Katecheci katoliccy byliby gotowi zajmując ich miejsce z władzą stosowania przymusu włącznie. Uczyniliby to jutro gdyby mogli.

Osobiście ufam, że z owego okresu ucisku ideologicznego — który trwa w Kraju od lat 20 — Polacy wysnują wniosek, że wolność i sprawiedliwość społeczną gwarantować może tylko państwo całkowicie laickie — wolne od serwitutów zarówno religijnych jak i ideologicznych.

Źródłem ucisku nie jest ustrój tylko monopol ideologiczny. Możemy mieć ustrój społeczno-gospodarczy jak najbardziej socjalistyczny — nie oznacza to jednak by jedna partia wyznająca określoną ideologię decydowała o wszystkim — od długości sznurówadeł zaczawszy a na literaturze i malarstwie skończywszy. Państwo rzetelnie demokratyczne nie może być konstytucyjnie ani katolickie ani marksistowsko-leninowskie. Rzeczpospolita — jak głoszą wszystkie kolejne konstytucje — jest dobrem wszystkich obywateli. Ponieważ nie wszyscy obywatele są katolikami i nie wszyscy są marksistami — państwo winno stać ponad partiami, ideologiami i wyznaniem. Tym bardziej, że prawdziwych katolików jest niepomrotnie mniej niż wykazują statystyki, a marksistów jest również niepomrotnie mniej niż wykazują statystyki. Tylko w państwie laickim i w pełni demokratycznym mielibyśmy możliwość przekonania się ilu mamy prawdziwych katolików i prawdziwych marksistów.

Nie można skutecznie zwalczać państwowej ideologii proponując w zamian inną państwową ideologię. Katolicy polscy winni zdać sobie sprawę, że każda upaństwowiona religia przeistacza się w ideologię i staje się złem. Za swój ideał katolicy powinni uznać państwo chrześcijańskie w treści a laickie w formie ustrojowej. Dysponujemy dziś olbrzymim materiałem historycznym i porównawczym. Dla nieuprzedzonego obserwatora jest oczywiste ponad wszelką wątpliwość, że w aspekcie socjalnym działalność religijna podlega tym samym prawidłom co działalność polityczna. Tylko w ramach państwa laicko-demokratycznego tak

partie polityczne jak i wyznania religijne mają możliwości swobodnego rozwoju.

Ponieważ mamy nieprzepartą słabość do wodzów — gen. Franco dla wielu Polaków na emigracji stanowi ideał katolika i antykomunisty. W rzeczywistości wygląda to jednak nieco inaczej. W jednym z ostatnich numerów „World Marxist Review” (Vol. 8., No. 6.) czołowy hiszpański ideolog komunistyczny, Santiago Alvarez, pisze dosłownie: „Katolicy są dziś naszymi głównymi sojusznikami w walce przeciwko gen. Franco. I to jest fakt, który stanowi najbardziej charakterystyczny i pocieszający element obecnej sytuacji w Hiszpanii”.

Gdy Kuronia i Modzelewskiego po wyroku wyprowadzano z sali sądowej, tłum ludzi powitał ich „Międzynarodówką”. Ową pieśń śpiewali zgodnie komuniści i nie-komuniści. Nie-komuniści ci chcieli w ten sposób zamanifestować solidarność z młodymi ideowymi komunistami, których w kajdanach prowadzono do więzienia, jak w przedwojennej „pańskiej” Polsce. Owa manifestacja była przebłyskiem sojuszu nie-komunistów z postępowymi komunistami przeciwko reżymowi, który jest doktryną totalistyczno-policyjną.

W Hiszpanii katolicy sprzymierzają się z komunistami w walce z dyktaturą. W Polsce katolicy i nie-komuniści manifestują solidarność z młodymi ideowymi komunistami przeciwko dyktaturze. Dyktatura jest wrogiem zarówno katolicyzmu jak i ideowego komunizmu. Dyktatura jest bowiem wrogiem nie tylko wolności słowa lecz i wolności sumienia.

Nie można jednak domagać się liberalizmu od przeciwników ideowych jeżeli samemu potępia się liberalizm. Nie można komunistom zarzucać, że dla swych celów wykorzystują nacjonalizm — jeżeli samemu eksploatuje się nacjonalizm w nie mniejszej skali. Nie można domagać się od przeciwników tolerancji, jeżeli samemu jest się tolerancyjnym tylko wówczas, gdy się jest bezsilnym.

Katolicy w Polsce mogliby odegrać wielką rolę w przebudowie ustroju. Lecz stosując sąd generalizujący — w odniesieniu do jednostek niesprawiedliwy — trzeba stwierdzić, że mamy dwie kategorie polskich katolików. Postępowi i „otwarcy” wykazują często skłonność nie tylko do kompromisu lecz i do kolaboracji. Natomiast niezłomni w wierze i w obyczajach są ciasni, konserwatywni i reakcyjni.

Katolicy nie stanowią wyjątku. Takich się ma katolików jak się ma kulturę polityczną. Ponieważ jesteśmy politycznie niewyrobieni nie umiemy łączyć niezłomności z postępowością — wierności zasadom ze zmysłem do kompromisu — umiłowania tradycji z szerokim horyzontem intelektualnym. Postępowiec bez moralnego stosu pacierzowego jest jednostką ujemną. Człowiek niezłomny lecz ciasny i parafiański jest również jednostką ujemną.

Kronika angielska

PUBLICYSTYKA NA EMIGRACJI

W moim przekonaniu emigracja stwarza idealne warunki dla obiektywnej publicystyki. Przez „obiektywną publicystykę” rozumiem pisarstwo polityczne nie odbarwione od indywidualnego sądu i przekonań — lecz odcięte od interesów prywatnych, partyjnych czy grupowych. Nie reprezentuję interesów żadnej partii, żadnego ugrupowania czy ośrodka władzy. Wiem, że nigdy nie dostanę żadnego orderu, nikt nie zrobi mnie wojewodą, redaktorem wielkiego prorządowego pisma, czy ambasadorem w jakiejś stolicy o przyjemnym klimacie. Nie dostanę nawet koncesji na kiosk z papierosami jako były żołnierz SBSK. Publicysta w mojej sytuacji może zdobyć się na obiektywizm, nieosiągalny dla pisarzy politycznych żyjących w tzw. normalnych warunkach. W normalnym kraju i w normalnych warunkach publicysta zależny jest od takiego czy innego pisma, które z kolei zaangażowane jest w walce o władzę i związane z władzą korzyści materialne. Natomiast ja, rozważając sprawy ustrojowe współczesnej Polski — analizuję plany „domu”, w którym ani nie będę mieszkał ani nie będę odgrywał żadnej roli. Jedyłą moją troską są interesy obecnych i przyszłych pokoleń Polaków oraz kraju w którym żyją.

Na sali szpitalnej na której leżą wyłącznie ludzie nieuleczalnie chorzy — wszyscy są obiektywnie w tej samej sytuacji. Różnica między nimi polega tylko na tym, że jedni zdają sobie sprawę z własnego położenia a inni nie. Osobiście już bardzo dawno zdałem sobie sprawę z faktu, że emigracja po 25 latach jest „chorobą nieuleczalną”. Należy się z tym nie tylko pogodzić, lecz wyłuskać z tej sytuacji wartości, które nigdy nie są udziałem ludzi żyjących w normalnym układzie. W normalnym układzie dziennikarstwo, publicystyka a nawet pisarstwo historiozoficzne podporządkowane są zazwyczaj ośrodkom partyjnym, grupowym, klikowym i obiektywizm poświęca się na ołtarzu aktualnej strategii politycznej. Bardzo trudno wyobrazić sobie Polskę w której mogłaby się ukazywać „Kultura” w jej obecnej postaci, formie i treści. Nawet w Polsce bez Berez i bez UB — władze dysponowałyby taką gamą środków nacisku, że w praktyce nie byłoby możliwe utrzymać w Warszawie niezależności z której korzystamy w Maisons-Laffitte. W tej sprawie nie należy mieć żadnych złudzeń.

W sumie należy stwierdzić, że na emigracji jesteśmy bardziej wolni niż byliśmy wolni kiedykolwiek w przeszłości i niż kiedykolwiek będziemy w przyszłości. Jest rzeczą zdumiewającą jak mało ludzi z owej wolności w pełni korzysta. Przez tych kilka czy kilkanaście lat, które nam jeszcze zostały — moglibyśmy w atmosferze absolutnej politycznej bezinteresowności przeanalizować i zbilansować dzieje naszego pół-stulecia. Powtarzam — ani w Polsce obecnej ani w przyszłej pisarze polityczni i historycy nie będą mieli nigdy możliwości równie obiektywnej pracy i oceny jak na emigracji. Wolni od ciężaru władzy, niewiukłani w zagadnienia administracyjne,

wyłączeni z krajowych rozgrywek partyjnych i klikowych, odcięci od polskiego brzegu oceanem czasu, zbrojni w wiedzę i doświadczenie zdobyte w wielu krajach — moglibyśmy usiąść spokojnie i rozważyć polską rzecz w perspektywie, którą poza nami nie dysponuje żadne z polskich pokoleń.

Gdy czytam w prasie emigracyjnej coraz częściej i gęściej pojawiające się nekrologi ogarnia mnie takie uczucie jak na dworcu kolejowym na kilka minut przed odejściem pociągu. Odjeżdżamy — lecz w niepokoju — w nieuświadomionym przeświadczeniu, że coś istotnego zapomnieliśmy zrobić.

Indywidualne osiągnięcia tak osób jak i instytucji są poważne — lecz to wszystko nie sumuje się, nie bilansuje. Aktywna emigracja składa się z partyzanckich grup, które prowadzą działania we własnym imieniu nie uznając żadnej zwierzchności nad sobą. Władze oficjalne emigracji składają się niemal wyłącznie z pokolenia gospodarzy 2-giej Rzeczypospolitej. Pokolenie gospodarzy wywodzi przyszłość z przeszłości. Partyzanci natomiast wywodzą przyszłość z teraźniejszości. Pierwsi wierzą w „wyzwolenie” i zmartwychwstanie — drudzy w ewolucyjne powolne przemiany. Trzeba by wielkiej demokratycznej kultury i zupełnie innego typu naczelnej organizacji emigracyjnej by te dwa odłamy myśli politycznej pomieścić pod jednym dachem.

Lecz wróćmy do publicystyki od której rozpocząłem te rozważania. Nasi publicyści przypominają lekarzy, którzy ukończyli medycynę przed pół wiekiem. Najpierw naszą mistrzynią była historia. Uważano, że historia jest w biegu zatrzymaną polityką — więc publicysta z historii winien czerpać swe natchnienie. Następnie w zakres zainteresowań publicystyki włączono ekonomię. Znałem jednak wybitnych publicystów, którzy o sprawach gospodarczych nie mieli pojęcia. Lecz dziś trzeba się uczyć wszystkiego od nowa. Stare atlasy anatomii potencjałów siły można spokojnie wrzucić do pieca.

Każda epoka ma pretensje do „epokowości”. Lecz niewątpliwie są epoki bardziej epokowe i mniej epokowe. W obecnym czasokresie historia przestała być mistrzynią życia — ponieważ historia operuje analogiami a nasza sytuacja jest bez analogii. Pomiędzy Rosją carską z roku 1900, a Rosją Sowiecką z roku 1939 — były olbrzymie różnice lecz i wielkie analogie. Natomiast pomiędzy Rosją, drugim atomowym mocarstwem świata — a wszystkimi innymi historycznymi Rosjami nie ma żadnej analogii. Pomiędzy Ameryką sprzed pierwszej wojny światowej, zadłużoną po uszy w Europie, a Stanami Zjednoczonymi pierwszym atomowym mocarstwem świata — również nie ma żadnej analogii.

Odkryto nowe źródła energii, które stanowią potencjał wręcz niewymierzalnych sił. Każda siła jest *siłą polityczną*. Ów nowo odkryty potencjał sił stanowiący źródło nienotowanej w dziejach potęgi militarnej i gospodarczej — wykopał nieznaną w przeszłości przepaść pomiędzy narodami.

Energia atomowa, automatyzacja, cybernetyka, kosmonautyka — warunkują politykę w niepomierzenie większym stopniu niż historia. Nasi publicyści (z Londyńczykiem włącznie) o historii wiedzą często wiele, lecz o cybernetyce nie wiedzą nic.

Wykształcenie i odczytanie jakim powinien dysponować współczesny publicysta przekracza ludzkie możliwości. Wielkie i bogate pisma amerykańskie mają sztaby specjalistów. Czy to oznacza, że publicystyka upadnie w sey-

bernetyzowanym świecie ku któremu zmierzamy? Nie sędzę. Brygada prasowych specjalistów wyposażona w najnowocześniejsze urządzenia techniczne — nie zastąpi pisarza politycznego z prawdziwego zdarzenia. Weźmy dla przykładu „Newsweek” który czytuję od bardzo dawna. Spośród dziesiątków artykułów napisanych przez korespondentów, reporterów i wysoko kwalifikowanych specjalistów na czoło numeru wybija się kolumna Waltera Lippmanna. Redakcja „Newsweek’u” zdaje sobie z tego sprawę, poświęca bowiem jego artykułowi całą stronę i to zawsze jedną z pierwszych. Układ graficzny i druk mają za zadanie wyodrębnić stronę Lippmanna z całego numeru. Co to oznacza? Oznacza to, że biuro studiów „Newsweek’u” ustaliło na podstawie szerokich i dokładnych badań, że Lippmann jest znakomitą propozycją handlową a jego artykuły są towarem jak najbardziej poszukiwanym.

Czego ludzie szukają w artykułach Lippmanna, który jest starszym panem po 70-ce i nie jest specjalistą? W epoce masowej kultury, masowej informacji, w epoce satelitów tele-komunikacyjnych, biur badania opinii publicznej, statystyk, wykresów i potopu cyfr — ludzie chętnie słuchają autentycznego głosu indywidualnego człowieka o oryginalnej umysłowości, wielkiej wiedzy i doświadczeniu. Wybitnych publicystów i pisarzy politycznych nie zastąpią ani armie specjalistów ani zespoły maszyn cybernetycznych. „Mózgi elektronowe” są niepomiarne bliższe doskonałości niż mózg ludzki — lecz nie są nigdy utalentowane. Natomiast człowiek, nawet w nędzy fizycznej niedoskonałości spowodowanej wiekiem czy chorobą, zdobywa się na genialne odkrycia i rozwiązania.

Lippmann w swoich artykułach przeciwstawia się kategorycznie wietnamskiej polityce prez. Johnsona. Nie podzielam jego opinii — lecz trzeba przyznać, że logika jego argumentów nie jest łatwa do odparcia. Na tym przykładzie można określić polityczno-społeczny cel publicystyki.

Arystoteles głosił, że ludzie postępują nieracjonalnie wówczas, gdy nie mają przed sobą jasno określonego wyboru. Natomiast jeżeli w danej sytuacji człowiek widzi jasno serię możliwych rozwiązań — należy przyjąć, że w większości wypadków wybierze rozwiązanie najbardziej racjonalne.

W moim przekonaniu publicysta nie powinien służyć takiej czy innej ideologii — lecz poprzez logiczną analizę ułatwiać ludziom dokonanie racjonalnego wyboru. Sprawne funkcjonowanie demokracji zależy od procentu ludzi zdolnych do powzięcia w danym momencie racjonalnych decyzji. Dokonanie wyboru poprzedzić musi rozpoznanie sytuacji. Talent publicystyczny polega na zdolności oddzielenia rzeczy istotnych od nieistotnych i rozgraniczenia rzeczy możliwych od niemożliwych. Innymi słowy, rolą publicysty jest dostarczać alternatywę. Tam gdzie nie ma alternatywy nie ma wyboru — tam gdzie nie ma wyboru nie ma dyskusji — tam gdzie nie ma dyskusji nie ma demokracji.

NIEMCY PRZEGRALI WOJNĘ PRZECIWKO ŻYDOM

Einstein wahał się, ponieważ nikt lepiej od niego nie zdawał sobie sprawy z konsekwencji wywianowania ludzkości w bombę atomową. Na jego decyzję wpłynęły dwa czynniki. Informacje wywiadu, że Niemcy są w

przede dniu wyprodukowania bomby atomowej — oraz raporty dotyczące hitlerowskiego „ostatecznego rozwiązania” kwestii żydowskiej.

Niemcy nie byli w przede dniu wyprodukowania broni atomowych — byli jednak w przede dniu całkowitego wyniszczenia narodu żydowskiego. Na decyzję Einsteina wpłynął moment moralny i przebudzone poczucie solidarności z nieszczęsnym narodem, który go wydał.

Helmunt Helber w swojej biografii Adolfa Hitlera stwierdza, że Führer na kilka dni przed śmiercią oświadczył, że cokolwiek powiedzą o nim historycy — to przecież narody Europy będą mu wdzięczne za „przecięcie ropiejącego wrzodu kwestii żydowskiej”. Hitler nie zdawał sobie sprawy, że nie pod śniegami Stalingradu lecz pod krematoryjnym popiołem pomordowanych i spalonych Żydów pogrzebał sny o niemieckiej potędze.

Zarówno w życiu jak i w polityce istnieją błędy nieodwracalne. W okresie ubiegłej kampanii wyborczej w Niemczech zachodnich oślawiony b. minister obrony narodowej Strauss oświadczył, że jeżeli NRF narzucony zostanie „Wersal atomowy” — to w oparciu o doświadczenia historyczne należy przewidywać pojawienie się nowego Führera, który obieca Niemcom bombę atomową i zdobędzie ją.

W roku 1918 Niemcy przegrały wojnę. Lecz w roku 1945 Niemcy nie tylko przegrały wojnę, lecz również utraciły dziejową szansę. Była chwila kiedy Niemcy posiadały większe możliwości stania się pierwszą atomową potęgą świata niż Ameryka czy Związek Sowiecki. Dziś w Federalnej Republice byłoby trudniej przekształcić się w potęgę atomową niż jakiemuśkolwiek innemu państwu w Europie. Niemcy nie zdają sobie sprawy, że bomba atomowa, która upadła w Hiroszynie pogrzebała coś więcej w Niemczech niż w Japonii.

Szansa Niemiec była niepowtarzalna (Einstein był profesorem berlińskiego uniwersytetu) — lecz nie umieli jej wykorzystać. Woleli przeciąć „ropiejący wrzód kwestii żydowskiej” nie zdając sobie sprawy, że równocześnie przecięli balon imperialnych ambicji niemieckich raz i na zawsze. W aspekcie polityki narodowej nikt nie zapłacił (i słusznie!) tak wysokiej kary za antysemityzm jak Niemcy. NRF jest trzecią z kolei gospodarczą potęgą świata i równocześnie wielkim pionkiem w grze supermocarstw. Militarnie Niemcy przegrali drugą wojnę światową w Rosji. Lecz swą historyczną szansę pogrzebali w obozach zagłady.

Hitler wystąpił z hasłem „armaty zamiast masła”. Jednak za masło całej Europy nie można by ufundować statków kosmicznych czy orbitalnego laboratorium, którego „spuszczenie” na przestrzeń kosmosu zapowiedział prez. Johnson. Jest oczywiste, że analogiczne statki orbitalne budują równocześnie Rosjanie.

Pod koniec bieżącego stulecia tytuł do potęgi imperialnej będą posiadały tylko mocarstwa dysponujące flotą kosmiczną. Już obecnie każdy nowy wyczyn w przestrzeni — powiększa przepaść pomiędzy Stanami Zjednoczonymi i Rosją z jednej strony, a zespołem emerytowanych potęg z drugiej strony. Produkcja prymitywnych broni atomowych nie jest zbyt kosztowna ani szczególnie trudna. Lecz tylko opanowanie kosmosu wokół ziemi plus arsenał skomplikowanych broni atomowych zapewniają status supermocarstwa. W przeciwieństwie do produkcji tanich bombek atomowych à la Chiny — najskromniejszy program kosmiczny jest zawrotnie kosztowny.

Arcy-kapitalistyczny kanon głoszący, że potęgą to pieniądze (złoto!) został potwierdzony historycznie w całej rozciągłości.

Niemcy nie tylko przegrali wojnę lecz przegrali ją w historycznie fatalnym momencie. Na skutek antysemityzmu wyjałowili kadry uczonych ze specjalistów atomowych a reszty dokonali Rosjanie wywoząc tych naukowców, którzy się ostali. Lecz to jeszcze nie wszystko. Dziś postęp technologiczny idzie z taką szybkością, że utrata ćwierćwiecza jest utratą historycznej szansy. Niemcy nie mają żadnej możliwości — pomimo, że są trzecią gospodarczą potęgą świata — przekształcenia się w nuklearno-kosmiczne imperium. Są mocarstwem drugiej klasy i żaden Hitler tego nie zmieni. Deklasacja Niemiec jest zjawiskiem nieodwracalnym, podobnie jak historyczna deklasacja Hiszpanii czy Turcji.

„ZOOLOGYKA”

Pod powyższym tytułem ukazała się w Warszawie książka pióra Jana Gerharda, wyd. MON. Tom liczy 386 stron i jest bogato ilustrowany. Przez „Zoologykę” autor rozumie politykę zezwierzęcenia i bezprawia. A więc Ku-Klux-Klan, masakra Murzynów w Sherpeville (Afryka południowa), swastyki, trupy pomordowanych białych i czarnych, sprofanowane groby żydowskie, neo-hitlerowcy, rewizjoniści, faszysty — galeria okropności 20 wieku.

„Zoologyka” — jako zjawisko socjalne — kończy się jak nożem obciętą na murze granicznym Ulbrichta. W Związku Sowieckim, w Polsce, czy na Węgrzech — „zoologycy” są gatunkiem nieznanym. Nigdy nie było łągów, Katyniów, X Pawilonów — nigdy ludziom nie wyrwano paznokci, nigdy nie było czystek, monstualnych procesów, bezprawia na nienotowaną w dziejach skalę. Czytając opracowania w rodzaju cytowanej powyższej książki Jana Gerharda — dochodzi się do wniosku, że w ustrojach totalistycznych ludzie tracą poczucie sensu praworządności. Ci ludzie nie rozumieją, że praworządność, podobnie jak demokracja — zależy od społecznego uświadczenia i aktywnego zaangażowania obywateli.

We wszystkich procesach przeciwko zbrodniarzom hitlerowskim — największe zdumienie budziły korowody świadków, którzy rzekomo o niczym nie wiedzieli. Wielu z nich mieszkalo w odległości kilku kilometrów od obozów zagłady — lecz nie im nie było wiadomo o zbrodniach tam dokonywanych.

W państwie w którym przeciętny obywatel nie jest gotów stanąć w obronie praworządności ilekroć prawo jest gwałcone — o demokracji ani o praworządności nie może być mowy. Praworządności nie zapewniają ustawy tylko ludzie.

15 lat temu skazano na śmierć i powieszono Timothy Evans'a. Głównym świadkiem oskarżenia był wówczas człowiek, który, jak się później okazało, był wielokrotnym mordercą. Powstało podejrzenie, że Evans został powieszony za zbrodnię której nie popełnił. W Anglii zawiązano specjalne stowarzyszenie, które postawiło sobie za cel doprowadzenie do pośmiertnej rehabilitacji Evansa. Po kilkunastu latach stowarzyszenie częściowo osiągnęło swe zamierzenie. Sprawa Timothy Evansa będzie powtórnie zbadana.

W czasie na szeroką skalę rozwiniętej kampanii za powtórny rozpatrzeniem sprawy Evansa — Michael Stewart powiedział w jednej z dyskusji:

„W chwili gdy powiemy sobie, że nic nas to nie obchodzi i że mamy ważniejsze rzeczy na głowie niż zastanawiać się czy 15 lat temu wymierzono komuś sprawiedliwość — wkroczymy na drogę, która w ostatecznej konsekwencji prowadzi do Belsen”.

Nawet w Anglii ani sądy ani ustawodawstwo nie są ostatecznym gwarantem sprawiedliwości. Gwarantem sprawiedliwości są obywatele w każdym wypadku gotowi walczyć o praworządność. Jan Gerhard gotów jest walczyć o praworządność w Ameryce, w Afryce Południowej, w Niemczech Zachodnich — wszędzie, tylko nie w Polsce.

NAJLEPSZE DZIENNIKI ŚWIATA

W wyniku ankiety przeprowadzonej w 26 instytucjach prasoznawczych w Stanach Zjednoczonych — wytypowano listę dziesięciu najlepszych pism codziennych świata. Oto ich tytuły: „New York Times”, „Times”, „The Guardian”, „Neue Zürcher Zeitung”, „Christian Science Monitor”, „Le Monde”, „The Washington Post”, „La Prensa” (Buenos Aires), „St. Louis Post-Dispatch”, „Frankfurter Allgemeine”.

Smutno jest pomyśleć, że dziesiątki tysięcy inteligentów polskich czy rosyjskich przechodzi przez życie nie spędziwszy kwadransa z dobrym dziennikiem w ręce.

SALATKA KRAJOWO-EMIGRACYJNA

Gomułka przy każdej okazji powtarza, że należy zniszczyć paryską „Kulturę”. Na szczęście komuniści są bardzo mało pomysłowi. Mózgownice aparaczyków pracują według określonego schematu. Ów aparaczkowski schematyzm zastępuje logikę.

Jeden z dziennikarzy krajowych, który odwiedził mnie kilka tygodni temu — wyraził pogląd, że „Kultura” oraz p. Lucjan Blit dopomogli walnie Piaseckiemu (Pax) do uzyskania mandatu poselskiego. Aparaczczycy wnioskuje bowiem, że skoro przywódca Paxu znajduje się pod stałym ostrzałem wroga klasowego — skoro na Zachodzie wydaje się o nim książki (L. Blit, *The Eastern Pretender*), skoro poświęca się mu audycje radiowe i artykuły w prasie — to Bolesław Piasecki musi być kimś bardzo ważnym.

Od innego rodaka z kraju, doskonale poinformowanego, dowiedziałem się, że dr Frankowski, którego grupa nie może być nawet porównana z Paxem — swój mandat poselski zdobył w Australii. Dr Frankowski niczego nie zdziałał w Australii lecz wywołał burzę w polskiej prasie australijskiej i serię artykułów i polemik na łamach „Kultury”. Tak dynamiczna reakcja wroga klasowego i to w dodatku na antypodach — umocniła aparaczyków w przekonaniu, że dr Frankowski jest postacią groźną i należy mu się fotel poselski.

Wielu panów na emigracji wykazuje identyczną mentalność jak aparatczycy w kraju. Kiedyś, za czasów „wiosny” w Październiku — prof. Schaff pochwalił niżej podpisanego na łamach śp. „Przeglądu Kulturalnego”. Londyńska prasa emigracyjna odnotowała ową pochwałę z bardzo krytycznymi komentarzami. Zostałem pochwalony przez wroga klasowego z czego należy wnioskować, że „staczam się z platformy niepodległości”. Wówczas pomyślałem sobie, że gdyby prasa komunistyczna na rozkaz z góry zaczęła mnie systematycznie chwalić i obrzucać komplementami — na terenie emigracyjnym i w kraju zmarłbym śmiercią cywilną w ciągu kilku miesięcy.

Weźmy jeszcze inny przykład. Wyobraź sobie drogi Czytelniku, że w „Trybunie Ludu” pewnego poranku ukazał się krótki komunikat urzędowy Polskiej Agencji Prasowej. Tytuł skromny na dwie szpalty na jednej z dalszych stron: „Przyznanie Debitu Prasowego”. Pod powyższym tytułem, petitem, następująca notatka: „Miesięcznikowi „Kultura” wydawanemu w Maisons-Laffitte pod Paryżem, oraz wydawnictwom Instytutu Literackiego przyznano debit na terenie PRL. Z dniem jutrzejszym wydawnictwa Instytutu Literackiego będą w sprzedaży we wszystkich punktach kolportażowych „Ruchu”. „Ruch” przyjmuje również wpłaty na prenumeratę miesięcznika „Kultura”. (PAP)”.

Zaiste łatwo przewidzieć jakie konsekwencje pociągnąłby za sobą tego rodzaju niewinny komunikacik. Panowie Stahl, Mękowski, Stermiński wykrzyknęliby jednym głosem: „A co — nie mówiliśmy!” Wohnout napisałby artykuł wstępny pod sześćcio-szpaltowym tytułem: „Wylazło szydło z z „kulturowego” worka”. A w podtytule: „Giedroye i Mieroszewski odślonili swe prawdziwe oblicze”.

Aleksander Bregman — zawsze niezmiernie kulturalny i zrównoważony — wystąpiłby z artykułem melancholijnie zatytułowanym: „Od Ewolucjonizmu do Agenturalizmu”.

A w Kraju nasi przyjaciele i Czytelnicy kiwaliby głowami i szeptali sobie na ucho: „a jednak ich kupili...”

Nie by nie pomogły protesty, bo by nas kochani rodacy zakrzyczeli i zapluli. Nie pozostałoby nic innego jak puścić sobie gaz. Lecz i tu jeszcze nie byłby kres dramatu. W kilka miesięcy po samobójczej śmierci na mojej wygnańczej mogile pojawiłaby się płyta z następującym napisem: „Tu leży Londyńczyk, pułkownik UB służby stałej. Agent licznych wywiadów krajowych i zagranicznych. Ten kamień hańby na jego grobie położyła Rada Trzech imieniem skonfederowanych stanów emigracji politycznej”.

No, ale na szczęście aparatczycy są tylko aparatczykami.

LONDYŃCZYK

Przegląd niemiecki

Piąty już rok wychodzi w Niemczech miesięcznik „EUROPÄISCHE BEGEGNUNG — Beiträge zum West-Östlichen Gespräch (Europejskie Spotkanie — przyczynki do rozmów zachodnio-wschodnich). Pismo to zjednoczyło pod wspólnym tytułem cztery dawniej ukazujące się periodyki: „Der Remter”, „West-Ost-Berichte”, West-Östliche Begegnung”, i „Ostdeutsche Monatshefte”.

Zjednoczony miesięcznik jest nastawiony zasadniczo na wszelkie zagadnienia Zachód-Wschód. W praktyce omawia głównie sprawy wschodnie, interesujące bezpośrednio Niemców. Stąd stosunki niemiecko-polskie zajmują w nim bardzo poczesne miejsce.

Wydawcą jest „Towarzystwo popierania spotkań zachodnio-wschodnich w Europie”, którego założycielem jest dość liczna grupa instytucyj i zrzeszeń uchodźczych i ewangelickich.

„Towarzystwo popierania spotkań” jest personalnie powiązane z hanowerskim „Arbeitskreis für Ostfragen”, który korzystając z wydatnej pomocy rządu Dolnej Saksonii, od kilku lat organizuje „Rozmowy” w Barsinghausen pod Hanowerem. W czerwcu rb. odbyły się już dwudzieste trzecie takie „Rozmowy” pod ogólnym tytułem „Możliwości niemiecko-polskich stosunków”. Trzy podstawowe, wzajemnie uzupełniające się wykłady wygłosili profesorowie: Gotthold Rhode, „Państwo Niemieckie i Niemcy w wyobrażeniu i w historiografii dzisiejszej Polski”, Herbert Ludat „Niemiecko-polskie stosunki w przeszłości i obecnie”, Hans Roos „Możliwości przyszłych stosunków niemiecko-polskich”.

W sierpniowym numerze „Europäische Begegnung” znajdujemy teksty tych trzech wykładów, streszczenia lub omówienia kilku referatów, oraz komentarze do czerwcowych „Rozmów”. Profesor Rhode rozpoczął swój wykład pięcioma stwierdzeniami:

— Dla Polaków niemieckie sąsiedztwo i stosunki z Niemcami są zagadnieniem o wiele większej wagi niż odwrotnie.

— Niemcy jako całość nie doświadczali nigdy polskiego sąsiedztwa, gdyż tylko północno-wschodnie szczepy niemieckie stykały się bezpośrednio z polszczyzną; wszyscy Polacy natomiast stykali się w ostatnich stuleciach bezpośrednio i stale z Niemcami.

— Od 18 wieku stanowisko państwa polskiego w Europie jest zależne od stosunków Polski z Niemcami i z Rosją. Stosunek do Niemiec i do Rosji jest dla Polski od 1717 roku zagadnieniem być albo nie być. Dla Niemców alternatywa związania się z Zachodem czy ze Wschodem istnieje dopiero od 1945 roku. Polacy przeżywają taką alternatywę ponad dwieście lat i dlatego tak intensywnie obserwują wydarzenia w Niemczech. Z podobnych przyczyn Niemcy obecnie mocniej interesują się wydarzeniami w Moskwie i Waszyngtonie, mniej zwracając uwagę na to co dzieje się w Rzymie czy w Madrycie.

— Dla całości narodu niemieckiego Polacy są jednym z dziesięciu w ogóle, a jednym z trzech bezpośrednich sąsiadów na wschodzie. Dla Po-

laków natomiast Niemcy są jedynym zachodnim sąsiadem i to o podstawowym znaczeniu.

— Naród polski po 1795 roku trzykrotnie przeżywał na całości swych etnograficznych terenów okupację niemiecką, przy czym każda następna okupacja była dla Polaków o wiele uciążliwsza od poprzedniej. Niemcy, w przeciwieństwie, nigdy nie zaznali całkowitej okupacji wojsk jednego ze swych bezpośrednich sąsiadów. W 1945 zostały wprowadzić całkowicie okupowane i podzielone, lecz przez cztery różne mocarstwa.

To wszystko należy wiedzieć, konkluduje profesor, by rozumieć miarę stosowaną przez Polaków przy ocenie wszelkich poczynań i wydarzeń w Niemczech. Dalej, analizując trafnie i obiektywnie wyobrażenia Polaków o Niemczech i o Niemcach, profesor zwrócił kilka uwag pod naszym i pod swoich rodaków adresem.

Polskiej historiografii wypomniał, że zbyt nikle interesowała się walkami między Cesarstwem i Papiestwem, oraz ponadnarodową koncepcją Cesarstwa, że zbyt pochopnie stosuje negatywną ocenę do wszystkiego co niemieckie. Swych rodaków zaś pouczał: „Nic by nie szkodziło, gdyby tu i ówdzie w niemieckim obrazie historii niemieckie osiągnięcia były wyrażane z nieco mniejszą dumą, a wpływy niemieckie bardziej rzeczowo oceniane”.

Szkicując historię nieufności, z jaką Polacy odnoszą się obecnie do wszelkich niemieckich poczynań, profesor twierdził: „Nie możemy przeczyć, że ta podejrzliwość, po wszystkim co w Polsce przeżyto jest zrozumiała. Nie możemy także przeoczać, że niektóre u nas wydarzenia mogą u Polaków wywołać wrażenie, że ich podejrzliwość jest usprawiedliwiona”. Wykład profesor zakończył sentencją. „Nim dojdzie do tego, że wszystko co w Niemczech się dzieje i co czynionym będzie, zostanie przyjęte z zaufaniem, musi upłynąć jeszcze sporo czasu. Ale żeby takie zaufanie powstało — winna nie tylko przeciwna strona działać, lecz w pierwszym rzędzie my sami”.*

Wykład profesora Herberta Ludata o przeszłych i obecnych stosunkach niemiecko-polskich należałoby podać w pełnym tłumaczeniu. Dla braku miejsca — kilka cytatów, bez komentarzy.

„W dwadzieścia lat po wojnie wciąż jeszcze często spotyka się u nas stereotypowe wyobrażenia, wynikłe z myślenia kategoriami pragnień i nadziei: Zjednoczenie z Sowiecką Zoną Okupacyjną winno być dokonane bez wyrzekania się naszych roszczeń prawnych do powrotnego ustanowienia niemieckiej całości w granicach z 1937 roku; nasze roszczenia prawne — przy rzeczywistej poważnej woli Zachodu — winny służyć jako „Tausch-objekt” (przedmiot wymiany) przy zawieraniu traktatu pokojowego, dla uzyskania zgody Moskwy na ponowne zjednoczenie Niemiec”.

„Radziłbym nie zapominać, że to właśnie polityka Hitlera spowodowała takie sowieckie włamanie (do Europy) i że rozszerzenia zwierzchnictwa Związku Sowieckiego dokonano kosztem nie tylko niemieckiego narodu”. „Pakt Hitler-Stalin był nie tylko sygnałem do rozpętania drugiej wojny światowej, lecz także kolejnym rozbiorem Polski”.

* W sierpniu rb. prof. Rhode opublikował w masowym wydawnictwie krótki podręcznik (ca 500 stron) historii Polski. Recenzję tej pracy podamy wkrótce.

„Wobec doświadczeń narodu polskiego, zwłaszcza z okresu przemocy „nacjonal-socjalistycznej”, zbędne jest wyjaśniać, że każda myśl rewizjonistyczna wywołuje u Polaków, zarówno w kraju jak i u emigrantów, zdecydowany odpór. Dla należytego zrozumienia naszej obecnej sytuacji należy pamiętać że: 1). Od czasu stosowania przez Stany Zjednoczone polityki otamowania sowieckiej agresji — zagadnienie polsko-niemieckie stoi w cieniu konfliktu obu tych potęg. 2). To zagadnienie automatycznie musi wypłynąć przy każdej próbie poruszenia sprawy zjednoczenia Niemiec, gdyż oba te problemy są nierozdzielnie związane zarówno z formalno-prawnymi roszczeniami Niemiec, jak i z utrzymaniem równowagi wielkich potęg. 3). Stąd jest wątpliwe i na razie nie do przewidzenia, czy i jak sprawa niemiecko-polska może stać się politycznym problemem *sui generis* bez odpowiedniej zmiany kursu politycznego w Moskwie. Błędne byłoby zamykanie oczu przed tą twardą rzeczywistością polityczną i pograżanie się w marzeniach pragnień. Ale wątpliwej wartości byłaby także rezygnacja wobec tak deprymującej perspektywy i traktowanie z tego powodu problematyki niemiecko-polskiej jako sprawy drugorzędnej, albo w ogóle wykreślanie tej problematyki z naszych rozważań”.

„Polskie millenium nie powinno nas skłaniać do oskarżeń i lamentacji, lecz raczej refleksyjnie nastrajać: Polska i Prusy — nieprzejednani rywale w piastowskim antyniemieckim obrazie historii — stali się ofiarą tej samej potęgi”.

„Jeżeli dzisiaj Polacy, przemocą zmuszeni żyć na przedpolu Związku Sowieckiego, sens swojej historii widzą w wypełnianiu misji skierowanej przeciw Niemcom, to nie powinniśmy zapominać ileśmy sami do tego się przyczynili”.

Profesor Hans Roos, mówiąc o możliwościach przyszłych stosunków niemiecko-polskich, nakreślił cztery obiektywne przeszkody wzajemnego porozumienia: 1. Podział Niemiec, tzn. Rzeszy z 1871 ewentualnie z 1918 r. 2. Problem granicy na Odrze i Nysie. 3. Brak stosunków dyplomatycznych między Bonn i Warszawą. 4. Przynależność Niemiec i Polski do dwóch przeciwnych bloków.

Punkt pierwszy jest o tyle ważny, że postuluje roszczenia Republiki Związkowej do wyłącznej reprezentacji wszystkich Niemców. Do punktu drugiego profesor stwierdza, że ponowne włączenie do Niemiec ziem za Odrą stanowiłoby dla Polaków utratę czwartej części ludności i trzeciej części potencjału gospodarczego. Jest to sytuacja przypominająca żądania i motywację Shylocka przed Sądem Weneckim.

Jako wyjście z tej sytuacji Roos proponuje plebiscyt, w którym Niemcy wypowiedzieliby się za koniecznością powrotu tych ziem, albo za możliwością zrzeczenia się tych roszczeń.

Dziennik „Die Welt” (trzysta tysięcy nakładu) w sprawozdaniu z Barsinghausen przychylnie odniósł się do wykładu Roosa. Natomiast urzędowa biurokracja Związku Ziomekstw orzekła, że mówca wygłaszający takie projekty przed forum niemieckiej inteligencji dyskwalifikuje się nie tylko jako polityk, ale i jako naukowiec.

Naczelny redaktor „Europäische Begegnung” i jednocześnie stały współprzewodniczący „Rozmów” w Barsinhausen, Hans Beske, konkluduje: aby

osiągnąć wzajemnie korzystne wyniki przy rozmowach polsko-niemieckich należy stosować dwie zasady: unikać prób przekonania drugiej strony i — szanując wzajemnie partnerów rozmów — gruntownie przemyśleć ich wypowiedzi.

Od siebie i moich przyjaciół dodałbym: i nie unikać wzajemnych dyskusji.

S. W. KOZŁOWSKI

KWARTALNIK

DROGA

Wolna trybuna polskiej myśli demokratycznej

Ukazał się zeszyt 4, który zawiera m. in.

Ślepy wystrzał M. Moczara — Postawa obywatela PRL — Inteligencja grupą nacisku — Poglądy polskich katolików — Glossy, komentarze, sprawozdania

Poprzedni zeszyt 3 zawierał m. in.

Droga naprawy, dwugłos — Rady Narodowe, próba bilansu — O „ewolucjonizmie” Mieroszewskiego —
Spuścizna po Chruszczowie

Cena egzemplarza 3 F

Prenumerata za cztery zeszyty 10 F

Wyd. ŚWIATŁO, 5, rue d'Alsace, Paris 10^e,

konto poczt. PARIS C.C. 98 98 28

DO NABYCIA W KSIĘGARNIACH POLSKICH

Sprawa "Kolonizatory"

W okresie „dwudziestolecia”, pod wpływem zainteresowania krajami zamorskimi, powstały różne organizacje o rozmaitych celach i zadaniach. Między innymi zostało utworzone Międzynarodowe Towarzystwo Osadnicze (w skrócie M.T.O.), którego celem było organizowanie osadnictwa w odległych krajach, w oparciu o kapitały o charakterze publicznym. W wykonaniu swych zadań M.T.O. zakupiło rozległe tereny w Argentynie i Brazylii¹.

Obszary leśne, zakupione przez M.T.O. w Argentynie, położone były nad rzegą Parana w prowincji Misiones. Obejmowały one około 64.000 ha. Tereny te, przeznaczone były na racjonalną kolonizację między osadnikami polskimi, przybywającymi do Argentyny.

Z uwagi na przepisy prawne obowiązujące w Argentynie, utworzona została w dniu 29 lipca 1935 r. spółka akcyjna pod nazwą „Compania Colonizadora del Norte S.A.” przy czym jako założyciele figurowały osoby wyznaczone przez M.T.O. (8 Polaków i 2 Argentyńczyków). Jeśli informacje moje nie są błędne, transakcja zakupu ziemi dokonana została przez reprezentanta M.T.O., znanego podróżnika i pisarza, płk. M. B. Lepeckiego. W dalszym rozwoju wypadków w imieniu p. Lepeckiego występował sekretarz Poselstwa Polskiego w Buenos Aires, p. Wacław Dostal. Formalnie, jako akcjonariusze figurowali wspomniani już założyciele, faktycznie zaś akcje znajdowały się w Poselstwie Polskim pod opieką p. Dostala.

Kolonizadora (jeśli wolno mi w ten sposób spolszczyć oficjalną nazwę „Colonizadora del Norte S.A.”), w wykonaniu swych za-

1. Tysiące hektarów lasu, zakupione w Brazylii, zostały sprzedane w pierwszych latach po wojnie. Podobno pieniądze, uzyskane ze sprzedaży, zostały przekazane ówczesnemu Poselstwu Polskiemu w Brazylii. Niestety, dalszy los tych pieniędzy jest mi nieznany. Niewątpliwym jednak faktem jest, że społeczeństwo polskie żadnych korzyści z sum tych nie uzyskało.

dań i zgodnie ze swym statutem, zatwierdzonym przez Inspección General de Justicia, rozparcelowała około 10.000 ha. zakładając dwa polskie osiedla: „Colonia Wanda” i „Colonia Lanusse”. Na tym, z różnych względów, których analiza przekracza ramy niniejszego artykułu, utknęła właściwa praca Kolonizatory. Pozostał dziewiczy las, którego racjonalną eksploatacją miała się zająć spółka akcyjna — twór M.T.O.

Z chwilą uznania przez władze argentyńskie reżymu warszawskiego, sprawa Kolonizatory weszła na nowe tory. Gdy rozwiała się instytucja przed którą należało składać sprawozdania i rachunki i przed którą było się odpowiedzialnym za dokonane czynności — Zarząd Kolonizatory nie bardzo wiedział co zrobić „z tym fantem”, który mu pozostał w ręku. Wprawdzie skład osobowy Zarządu nie wiele się zmienił, jednak, mówiąc przenośnie, Kolonizadora pozostała nie tylko „bez steru”, ale i „port docelowy” gdzieś zginął we mgle wydarzeń wojennych. — „Pańskie oko” z dalekiej Polski przestało „konია tuczyć” i Kolonizadora zaczęła bardzo widocznie „chudnąć”.

Formalni posiadacze akcji, a faktyczni powiernicy zagubionego w odmętach dziejowych M.T.O., zostali więc pozostawieni własnemu losowi. Niewątpliwie majątek spółki należało uważać za „dobro publiczne”, zarządcy jednak owym mieniem, nie mieli przed kim składać sprawozdań i rachunków. Ich odpowiedzialność za działalność, związaną z administracją spółki, stała się zupełnie iluzoryczną.

Oczywiście Zarząd Kolonizatory rządził; administrował. Biuro centralne mieściło się w stolicy Argentyny, majątek zaś, składający się z lasów, urządzeń portowych, tartaku, pól „yerba mate”, szeregu sklepów aprowizacyjnych (tzw. „provedurias”) znajdował się w dalekim Misiones. Być może, gdyby administracja pozostawała w rękach osób fachowych i dynamicznych, gdyby udało się znaleźć odpowiednich wykonawców na miejscu, gdyby potrafiiono dostosować się do zmian koniunkturalnych, sytuacja byłaby odmienna. Analizując jednak działalność Zarządu Kolonizatory, stajemy wobec smętnej rzeczywistości. — Przedsiębiorstwa dochodowe, jak tartak i hodowla „yerba mate” zostały szybko sprzedane. Sprzedano również w r. 1948 czy też 1949 aż 30.000. — ha lasu wraz z ziemią, uszczuplając o ponad 60% stan majątkowy spółki. Dlaczego? *Cui bono?* Na zapytania nie znalazłem odpowiedzi.

Eksploatacja pozostałego lasu również nie przynosiła należytych dochodów. Niezbyt korzystne umowy, dotyczące wyrębu lasu, procesy o niewypełnienie zobowiązań dostarczenia drzewa, wysokie koszty administracji, brak kontroli i cały szereg innych czynników, których nie czas i miejsce analizować, przyczyniły się do tego, że spółka zamiast przynosić wysokie dywidendy, ponosiła straty. Dla pokrycia strat sprzedawano dalsze hektary ziemi i w ten sposób majątek spółki stale się zmniejszał.

Był moment, gdy zdawało się, że pomyślny wiatr zadął w

żagle Kolonizatory. Stworzona została I.F.A. (Industria Forestal Argentina S.R.L.), spółka z o. o., w której Kolonizadora posiadała 50% udziałów. Na terenach Kolonizatory wybudowano fabrykę dykty i zaistniała nadzieja, że zyski płynące z I.F.A. poważnie zasilą kasę Kolonizatory. Po krótkim jednak czasie, na skutek zmienionej koniunktury, fabryka przestała pracować i produkcja dykty ustała. Zamilkły maszyny, ustał ruch, fabryka zamarła. I znikła złudna nadzieja.

Oczywiście łatwo krytykować. Łatwo *ex post* formułować zarzuty i wytykać błędy. Należy przypuszczać, że w obronie Zarządu Kolonizatory wiele można by wyjaśnić, wiele uzasadnić. Kolonizadora jednak niczego nie wyjaśnia, niczego nie uzasadnia. — Kolonizadora milczy.

I tak prawdopodobnie wegetowałyby w milczeniu Kolonizadora, ostatni bastion dawnego M.T.O., sprzedając co roku część swych terenów na pokrycie kosztów administracji, aż do całkowitego samounicestwienia, gdyby nie poszczególne głosy, które z początku nieśmiało, później coraz głośniej i wyraźniej stawiały sprawę Kolonizatory na właściwej płaszczyźnie, twierdząc, że majątek tej spółki, to mienie publiczne, że właściciele akcji, to tylko powiernicy, że społeczeństwo polskie w Argentynie ma prawo domagania się wyjaśnień.

Opinia publiczna pozostała poruszona tymi głosami i „Kurier Polski” opublikował w marcu 1962 r. list p. Karola Orłowskiego, właściciela dużych obszarów leśnych w Misiones, dotyczący tej Kolonizatory. Autor uzasadniając prawo interesowania się sprawami tej spółki w związku z historią jej powstania i jej istotnymi celami, przeprowadza następujące rozumowanie nie pozbawione logiki: jeśli nie jest prawdą, że majątek Kolonizatory jest źle administrowany, jeśli Zarząd dokłada wszelkich starań, by należycie wywiązać się ze swych obowiązków powierniczych i w rezultacie Spółka przynosi dochody — wówczas wolno się zapytać dokąd te zyski płyną, kto z nich korzysta i z jakiego tytułu; jeśli natomiast prawdą jest, że Zarząd spółki nie wywiązuje się należycie ze swych zadań, jeśli majątek spółki ulega stałemu zmniejszeniu, jeśli gospodarka jest deficytowa — wówczas kierowników tej instytucji należy potępić i ewentualnie zmienić. —

Na zapytania Kolonizadora nie udzieliła odpowiedzi, nie rozproszyła wątpliwości. Pozostała nadal jako tajemniczy Sfinks.

Powstała do rozstrzygnięcia zasadnicza kwestia. Z jakiego tytułu społeczeństwo polskie w Argentynie interesuje się sprawami Kolonizatory? — Kto je do tego upoważnia? — Na jakich przepisach prawa opierać się może żądanie kontroli działalności spółki? — Z jakich przesłanek wypływa pretensja do majątku spółki?

Argumenty na poparcie tezy wysuwanej przez opinię publiczną są następujące: nie ulega wątpliwości, że formalni posiadacze akcji są tylko powiernikami mienia publicznego; że celem jakim się kierowało M.T.O. w zakładaniu Kolonizatory, było organizowanie

i popieranie osadnictwa polskiego w Argentynie (co zostało uwi-docznione w art. 4 statutu spółki), że zadania kolonizacyjne tkwią w samej nazwie spółki „Kolonizadora”, że cele te są ogólnospołeczne, a nie prywatne. Wiążąc przeto historię powstania Kolonizadora z jej celami statutowymi, staje się oczywiste, że Kolonizadora nie jest instytucją prywatną, że celem jej nie jest osiągnięcie dla swych akcjonariuszy jak największych dywidend, ale jest instytucją o charakterze społecznym, powstałą początkowo dla dobra tylko osadników polskich w Argentynie, z zadaniem popierania imigracji polskiej do Argentyny, organizowania jej i dążenia do jej rozwoju.

Społeczeństwo polskie zaczęło się Sprawą Kolonizadora interesować. Coraz głośniejsze mówiło się o potrzebach naszych na terenie Argentyny. Polskie szkoły, polskie szpitale, polskie domy starców. Szukano źródeł zaspokojenia tych potrzeb. Wszelkie zbiórki na tzw. Fundusz Społeczny miały zasięg ograniczony, nie pozwalający na zrealizowanie tych potrzeb. Majątek Kolonizadora, wprawdzie poważnie uszczuplony, wciąż jednak okazał się, dawał możliwości rozwiązania problemu finansowego. Społeczeństwo Polskie w Argentynie nie chciało się pogodzić z faktem, żeby mienie publiczne przekształciło się w mienie prywatne, przy milczącej zgodzie społeczeństwa.

W „Kurjerze Polskim” zaczęły się ukazywać artykuły, dziś już nieżyjącego śp. Wacława Kozłowskiego. W oparciu o niekompletne, lecz wiarygodne źródła urzędowe, analizuje historię i gospodarkę Kolonizadora, bijąc na alarm i przedstawiając skutki błędów Zarządu Kolonizadora. Już wyraźnie zaczyna mówić się o interwencji w tej sprawie Związku Polaków. Już są prowadzone rozmowy między przedstawicielami Związku a Kolonizadora. Sprawa ta jest tym „delikatniejsza” i „drażliwsza”, że prezesem Kolonizadora jest p. Zbigniew Żółtowski², minister pełnomocny Rządu Polskiego na Wypchnięciu (tzw. Zamku) a dyrektorem p. Jan Sikora, stary działacz społeczny, wice-prezes Instytutu Argentyńsko-Polskiego i były prezes Stow. Kombatantów.

A tymczasem mnożą się artykuły na temat Kolonizadora. Temat ten wpływa na porządek dzienny obrad Rady Naczelnej Związku Polaków. Padają zapytania pod adresem Kolonizadora. — Kolonizadora milczy.

To uparte milczenie Kolonizadora zostało przerwane nagle i nieoczekiwanie wytoczeniem przez pp. Z. Żółtowskiego i J. Sikorę (prezesa i dyrektora Kolonizadora) przeciwko pp. Feliksowi Zahorze-Ibiańskiemu i Wacławowi Kozłowskiemu (redaktorowi „Kuriera” i autorowi artykułów) sprawy o zniesławienie z żądaniem ukarania winnych zgodnie z art. 110 i 114 Kodeksu Karnego oraz skazania ich na zapłatę sumy 100.000 pesos m. in. z tytułu wyrządzonej szkody materialnej i moralnej. Obro-

2. P. Zbigniew Żółtowski jest ponadto szwagrem p. Prezydenta Zaleskiego.

ny oskarżonych podjął się dr Z. Gałaczyński i niżej podpisany. W odpowiedzi na skargę obrona podniosła, że p. W. Kozłowski nie miał intencji obrażania oskarżycieli, że działał w interesie społecznym i że podawane wiadomości oparte na źródłach urzędowych są prawdziwe i ścisłe.

Zgodnie z obowiązującą procedurą, wyznaczone zostało posiedzenie „koncyliacyjne”, które po długich pertraktacjach zakończono ugodą między stronami. Oczywiście w interesie stron nie leżało wałkowanie tej czysto polskiej sprawy przed sądem państwowym. Wypracowana przez strony formuła ugodowa została wpisana do akt i sprawa została umorzona. „Kurier Polski” nie przestał informować opinii publicznej w sprawie Kolonizadory, ogłaszając na ten temat artykuły Dr. Z. Gałaczyńskiego, niżej podpisanego i innych.

Pod wpływem nacisku opinii publicznej Związek Polaków wyznaczył Komisję „do przeprowadzenia rozmów” z władzami Kolonizadory. Komisja ta po długich pertraktacjach ogłosiła 11 stycznia 1963 r. w „Kurierze Polskim” sprawozdanie, z którego wynikało, że Kolonizadora uznała, iż: 1) Kapitał spółki nie jest kapitałem prywatnym; 2) Zarząd spółki działa w charakterze powierników M.T.O., które jest właścicielem prawnym akcji; 3) Społeczność polska ma prawo moralne do zainteresowania się działalnością spółki; 4) Akcje spółki złożone są w jednym z banków i mogą być podjęte za dwoma z trzech upoważnionych podpisów.

Niewątpliwy postęp. Na rozprawie sądowej pełnomocnik oskarżycieli stał twardo na stanowisku, że nikt postronny nie ma prawa wtrącenia się do spraw prywatnej spółki akcyjnej, założonej zgodnie z przepisami prawa i podlegającej kontroli „Inspección General de Justicia”. W tezie tej nastąpił pewien zwrot. Wprawdzie sprawozdanie opublikowane zostało przez Komisję jednostronnie, i nie podpisane przez władze Kolonizadory, jednak pierwszy krok na drodze porozumienia został zrobiony i rozmowy potoczyły się dalej.

Analizując w jednym artykule sprawozdanie Komisji, starałem się wyjaśnić, że władze Kolonizadory, która uznaje, iż majątek spółki jest mieniem publicznym, iż akcje są w rękach nie właścicieli, lecz powierników, i że społeczeństwo polskie ma prawo „moralne” interesowania się działalnością spółki, udzielając tego uprawnienia winny poczuwać się do obowiązku zaspokojenia tego zainteresowania i odpowiedzieć na szereg niepokojących pytań, wyjaśnić rozmaite wątpliwości. Uprawnienia jednej strony są ściśle bowiem związane z obowiązkami drugiej. — Kolonizadora jednak nadal milczy. Na pytanie: „I co dalej” — nie ma odpowiedzi.

W maju 1963 r. dalszy postęp. Komisja podała do wiadomości Rady Nadzorczej, iż istnieje możliwość wprowadzenia do Zarządu Kolonizadory dwóch przedstawicieli społeczeństwa polskiego. — Istotnie do Zarządu tej spółki przyjęty został p. Bolesław

Schreiber³, były prezes Związku Polaków i długoletni prezes Klubu Polskiego. Charakter jego nie został bliżej określony. Delegat Związku Polaków? Przedstawiciel społeczeństwa polskiego? Łącznik między „stronami”?

Sejmik Polonii Argentynskiej, który zebrał się w czerwcu 1963 r. zatwierdził mandat p. Schreibera, który jednak wyraźnie zaoponował przeciwko jakimkolwiek instrukcjom, wskazówkom czy wytycznym ze strony Związku Polaków odnośnie jego działalności na terenie Kolonizatory. Mamy więc „delegata”, który za „delegata” się nie uważa, mamy „mandatariusza” bez „mandatu”, mamy „reprezentanta”, który nie uznaje autorytetu reprezentowanego. Tym niemniej jednak siłą faktu p. Schreiber jest uważany za rzecznika opinii społecznej na terenie Kolonizatory.

W kilka miesięcy później „Kurier Polski” opublikował wywiad z p. Schreiberem, który niczego nie wyjaśnił i na żadne z pytań nie udzielił konkretnej odpowiedzi. Analizując wypowiedź p. Schreibera, stwierdziłem w jednym z artykułów, że odpowiedzi na zasadnicze pytania wciąż wiszą w próżni. Na razie nasza rozmowa z Kolonizatorą przypomina rozmowę przysłowiowego dziada z obrazem. My gadamy „do obrazu”, a „obraz do nas ani razu”.

Rozmowy między Związkiem Polaków a Kolonizatorą toczą się jednak dalej. Rozmowy te nawet przynoszą pewne drobne rezultaty. W chwili obecnej już nie jeden, a trzech „przedstawicieli” Związku Polaków bierze udział we władzach spółki. — Wprawdzie nie są „przedstawicielami oficjalnymi”, wprawdzie ich rola na terenie Kolonizatory jest bardzo ograniczona, mogą jednak wglądać w te, dosyć zresztą opłakane, sprawy spółki i informować o tych sprawach społeczeństwo polskie.

Na ostatnim „Sejmiku” jeden z takich „przedstawicieli”⁴ (który przynajmniej sam za takiego się uznaje) złożył obszerne sprawozdanie. Niestety jednak Sejmik nie okazał się odpowiednim terenem do poważnych rozważań na ten temat. Sens ciekawych danych i wniosków sprawozdawcy rozplynął się w powodzi pustych słów i często nieuzasadnionych krytyk.

A tymczasem majątek Kolonizatory wciąż ulega uszczupleniu. Sprzedane zostały udziały jakie spółka miała we wspomnianej już I.F.A. (*Industria Forestal Argentina*). Fabryka dykty, która przez kilka lat stała beczynna, nagle pod nowym kierownictwem ożyła i z pewnością przyniesie będzie znaczne dochody. Uzyskane za sprzedane udziały pieniądze poszły na pokrycie należności podatkowych, długów, wydatków.

3. Żłudne nadzieje optymistów, związane z wprowadzeniem do Kolonizatory p. Schreibera, jako „konja trojańskiego”, szybko się rozchwiały.

4. Referat p. Kruszewskiego (który ze względu na swą bojową postawę nie jest zbyt przychylnie widziany w Kolonizatorze) zasługiwał tym bardziej na uwagę, że zawierał istotne dane, dotyczące podziału akcji między poszczególnych akcjonariuszy.

Dla uniknięcia nieporozumień czy fałszywych interpretacji, pragnę podkreślić, że wynagrodzenie jakie otrzymuje prezes czy dyrektor spółki jest bardzo niewielkie. O ile się nie mylę, wypłacane wynagrodzenia nie wystarczają nawet na bardzo skromne utrzymanie. Kolonizadora jest przedsiębiorstwem ledwie węgającym, oczywiście deficytowym.

Wniosek z tego jest prosty. Kolonizatorę należy zlikwidować. Zlikwidować dlatego, że cel dla którego ją założono dawno już przestał istnieć. Zlikwidować dlatego, że nie rokuje żadnych nadziei na „lepszą przyszłość”. Zlikwidować dlatego, że kontynuowanie jej „działalności” doprowadzi z pewnością do całkowitego samounicestwienia.

A pieniądze uzyskane z likwidacji?

Pieniądze te oczywiście należałoby przeznaczyć na cele społeczne.

— Na jakie cele? — Do czyjej dyspozycji?

To już są dalsze problemy, które przekraczają ramy tego już i tak przydługiego artykułu.

Dr. Stanisław SZWEJS

OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedynе pismo polskie w Republice Federalnej Niemiec

UKAZUJĄCE SIĘ TRZY RAZY TYGODNIOWO
W KAŻDĄ NIEDZIELĘ DODATEK.

Redakcja, administracja, drukarnia :
Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 301

Toast niespełniony

KRAJOWA DYSKUSJA O „LITERATURZE POLSKI LUDOWEJ”
(1944 — 1964)

(Cz. I.).

W marcu 1963 r. w Nrze 6/134 warszawskiej „Współczesności” ukazał się artykuł Anny Bukowskiej pt. „Nim spełnimy toast”, przewidujący, iż w roku następnym (1964) posypią się opracowania „rocznicowe” na temat „dwudziestolecia istnienia Polski Ludowej” — i że nie zabraknie wśród nich ocen dorobku literackiego. Autorka oczekiwała nie tylko podsumowań i wniosków ogólnych ale i rewizji stosunku do pisarzy i utworów przechwalonych lub przemilczanych oraz szerokiej i swobodnej dyskusji na tematy takie jak np. ocena stopnia oryginalności dzieł literackich powstałych w latach 1944-1964, szans przetrwania *niektórych* (ale jakich i dlaczego?), świeżego spojrzenia na tzw. „literaturę rozrachunkową” i „obrachunki inteligentkie”.

Punktem wyjścia ciekawych rozważań Anny Bukowskiej było zdarzenie istotnie zaskakujące: kandydatka na uniwersyteckie studia polonistyczne, zapytana o tytuły kilku najwybitniejszych krajowych książek *współczesnych*, pominęła „Popiół i diament” Jerzego Andrzejewskiego. Zapytana: „Dlaczego?” odparła z nieukrywanym zdziwieniem: „Przecież to nie jest powieść współczesna!”. Obiektywnie rzecz ujmując miała zupełną rację, gdyż urodziła się w bliskim sąsiedztwie daty wydania książki.

Skoro — rozumowała Bukowska — w murach uniwersytetów a także wśród pisarzy-debiutantów pojawiać się zaczynają przedstawiciele w stu procentach powojennego pokolenia, rozsądek nakazuje podjęcie prób krytycznego spojrzenia w przeszłość i sformułowania ocen okresu dostatecznie długiego i ważkiego o zdecydowanie odrębnym obliczu. Sposobność do podjęcia takiej próby dostrzegała w ramach zapowiadanego wówczas na rok następny (1964) „Dwudziestolecia Polski Ludowej”.

Przewidywała trafnie. Na sygnalizowane przez nią tematy ukazało się od r. 1963 po jesień rb. kilkadziesiąt wypowiedzi, których bibliografię zestawili sumiennie Marian Stępień w numerze 3/1965 „Ruchu Literackiego” w artykule pt. „Dyskusja o literaturze Polski Ludowej”.

Rzeczywistość przekroczyła przewidywania Bukowskiej. Sprawy oceny literackiego dwudziestolecia i różnorodnych jego aspektów poświęciły wiele miejsca zarówno pisma literacko-społecznon polityczne, jak warszawska „Kultura”, „Współczesność” (cykl „Weryfikacje”), wrocławska „Odra”, „Twórczość” (art. Andrzeja Kijowskiego), „Życie i Myśl” itd., — jak i ściśle historyczno-literackie („Ruch Literacki” i „Pamiętnik Literacki”) — a także polityczne („Nowe Drogi”).

Władze partyjne zatroszczyły się o wytyczenie zarysów właściwej syntezy. Konstruowali ją w pokrywających się zasadniczo kształtach weterani podobnych przedsięwzięć w osobach Stefana Żółkiewskiego. Ryszarda Matuszewskiego i Jana Zygmunta Jakubowskiego. Wypracowana przez nich wersja, wsparta głośną wypowiedzią Józefa Lenarta spopularyzowaną w broszurze pt. „O ideowe wartości literatury”, rozprawadzona została szeroko za pośrednictwem „Nowych Dróg” (art. Matuszewskiego), trzytłotowej broszury Jakubowskiego pt. „20 lat współczesnej literatury polskiej z perspektywy historycznej” wydanej w nakładzie 40.000 egzemplarzy oraz oficjalnej wypowiedzi Żółkiewskiego na otwarciu Konferencji Naukowej na temat „Główne kierunki prozy w Polsce Ludowej” zorganizowanej przez Instytut Badań Literackich PAN i Katedrę literatury polskiej Uniw. Wrocławskiego w dniach 14-15. XII. 1964. Teksty referatów wygłoszonych na tej konferencji ukazały się w zesz. 4 „Pamiętnika Literackiego” (1964) i w odbitkach powielaczowych przynoszących teksty kilku ciekawych referatów nieogłoszonych drukiem. Tekst broszury Jakubowskiego ukazał się w początkach roku 1964 w formie cyklu artykułów na łamach warszawskiej „Kultury”, — był nadto wygłoszony na plenum Związku Literatów Polskich w dn. 12 stycznia 1964¹.

Warto przyrzeć się bliżej owym rozlicznym i na różne sposoby wymownym próbom ocen owego powojennego dwudziestolecia. Nie ulega wątpliwości, iż był to temat kłopotliwy i niebezpieczny, najeżony pułapkami i ogrodzony szczerlnymi barierami. Jedną z nich stanowiły chronologiczne ramy okresu: 1944-1964. Historyka literatury razi użytkowo polityczny ich charakter. „Dwudziestolecie” — inne, międzywojenne — było niedawno w Kraju przedmiotem dyskusji i podsumowań. Celebrowane obecnie „ludowe” nie następuje po nim bezpośrednio. Przegradza je okres Drugiej Wojny Światowej, trwającej do r. 1945 — okres po którym, jak

1. Artykuł obecnie ogłoszony omawia oficjalne wypowiedzi Żółkiewskiego, Jakubowskiego i Matuszewskiego. Cz. II dotyczyć będzie właściwej dyskusji.

dobrze wiemy, pozostał ogromny dorobek piśmienniczy, rozłamujący się na krajową twórczość podziemną z okresu Okupacji, literaturę emigracyjną, jeniecką i piśmiennictwo w języku polskim powstałe i publikowane w Sowietach (z „Nowymi Widnokręgami” na czele). W roku śmierci Krzysztofa Baczyńskiego powstawały współbrzmiające z Podziemiem „Krzyże i miecze” Kazimierza Wierzyńskiego, a, z drugiej strony, kreowano na reprezentacyjną pisarkę polską Wandę Wasilewską. Okres ten nie doczekał się w Kraju żadnego syntetycznego opracowania. O Emigracji nie pisze się w ogóle, doprowadziwszy do perfekcji technikę eliminowania pisarzy i wydawnictw zakazanych. Twórczość „radziecka” jest tematem niewdzięcznym na wiele sposobów: naukowe jej omówienia wymagałyby „uzgodnień” na najwyższym szczeblu, targowicki jej charakter zdecydowanie nie nadaje się do przypomnień, a liczni ex-współpracownicy pism typu „Nowych Widnokręgów” nie palą się na pewno do wskrzeszenia obrazu ich ówczesnej działalności. Sprawy te poruszane są na ogół dyskretnie i marginesowo w „bohaterskich” pamiętnikach wybitnych członków Związku Patriotów Polskich — a te, jak zdaje się wynikać z ankiet czytelniczych, nie są lekturą ani ulubioną ani szczególnie rozchwytywaną.

Literatura podziemna — po stosunkowo niedawnej amnestii, daleka jest od opracowania ogólnego — jest ciągle jeszcze przedmiotem rozsianych po czasopismach i przedmowach przyczynków bio- i bibliograficznych. Są wśród tych zakonspirowanych pozycji ujęcia b. wartościowe, by wymienić prace Sierotwińskiego, Bartoszewskiego, Bartelskiego, Borowicza, Wyki, Marczaka, Oborskiego i in. Najnowszym świadectwem, że dzieje jej żywo obchodzą społeczeństwo jest Nr 7/8 „Życia i Myśli” z sierpnia r.b., poświęcony w głównym swym zrębie „pokoleniu literackiemu czasów wojny”. Ale dotąd brak podbudowy w postaci wydań tekstów. Wzorowo wydano tylko Baczyńskiego i L. Z. Stroińskiego, ułamkowo, w wyczerpanym od dawna wydaniu „Paxu” Gajcego — czeka nadal na wydobyć z pism, rękopisów i zapomnienia twórczość Andrzeja Trzebińskiego (S. Łomienia) i w. in.

Wobec zarysowującego się wyraźnie braku opracowań literatury podziemnej, jest dziś do pomyślenia, że dla innej imaginyjnej kandydatki czy kandydata na studia polonistyczne okres ten będzie może tylko niejasną cezurą dzielącą dwa rysujące się wyraźnie dwudziestolecia.

(Tu uwaga marginesowa. Mamy już za sobą 65% wieku dwudziestego — dwie trzecie stulecia. Na ileż dzieli się ono „poderesów”, na jak zawiłe rozłamuje gałęzie!).

Próby syntetycznej oceny podejmowane obecnie w Kraju zwiększone są w większości ujęć do „literatury Polski Ludowej”. Nie wszystkie jednak: broszura-pilot Jakubowskiego, nosi tytuł „20 lat współczesnej literatury polskiej z perspektywy historycznej”, obowiązujący w *teorii* do ogarnięcia całości. Uważna lektura szki-

cu Jakubowskiego wykazuje, iż nie dotrzymał obietnicy wyrażonej w tytule i ograniczył się do omówienia li tylko literatury Polski Ludowej i to w bardzo zwężonym ujęciu. Czy zdawał sobie sprawę z zasadniczych niedociągnięć swego opracowania? Chyba tak. Wskazują na to znamienne zastrzeżenia notatki wstępnej, w której pisze, iż oddawany do druku szkic nie jest „zarysem historycznoliterackim, pretendującym do możliwie pełnego potraktowania złożonego obrazu literatury lat powojennych”. Nadto, na str. 68-ej, po zdaniach usprawiedliwiających pominięcie w szkicu działów takich jak twórczość satyryczna („traktowana zresztą przez profesjonalnych krytyków jakoś niechętnie”), reportaż, literatura dla dzieci i młodzieży, czytamy: „Brak tu... ale nie będę czynił spowiedzi ze wszystkich opuszczeń, bo musiałoby się to zamienić w szkic obszerniejszy niż ten, który przedstawiłem”.

Nie ulega wątpliwości, iż Jakubowski ograniczył się do omówienia literatury „domowej”, legalnej, z wyraźnym uprzywilejowaniem „prawomyślnej” partyjnie. O tym obszerniej dalej. Tu wysunąć należy bijące w oczy niekonsekwencje wynikające np. z wyeliminowania z grona Skamandrytów Wierzyńskiego, Wittlina i Balińskiego a nawet nieżyjącego Lechonia, przypominanego jedynie (w sensie negatywnym) cytata z „Herostratesa”. Pokolenie pisarzy wchodzących w życie literackie po I wojnie światowej — dowodzi Jakubowski — odcinało się od rzeczywistości społecznej; — chwalebnym przeciwstawieniem się takiej postawie jest wiersz także Skamandryty, Broniewskiego, z r. 1945 (a cóż znaczy, że żenująco „skopany”?):

*Trzeba ziemię garściami rwać,
ruinie wydzierać cegły,
dom budować i sercem trwać
w Niepodległej!*

Osobliwości takich jest więcej. Jakubowski rozwodzi się szeroko nad związkami „współczesności i tradycji” i wymownie pisze o przemożnym wpływie Żeromskiego. Wywody swe popiera między innymi cytatami z zakopiańskiego odczytu pisarza wygłoszonego w sierpniu 1915 r. pt. „Literatura a życie polskie” oraz „Snobizmu i postępu”. Pikanterię tych cytat stanowi fakt, że zarówno publicystyka Żeromskiego, jak i „Snobizm i postęp” należą do utworów praktycznie nieznanych pokoleniu powojennemu, gdyż nie ukazały się dotąd w masowych przedrukach w krytycznym wydaniu dzieł patrona literatury Polski Ludowej ze względu na ich dotąd żywą „niebłagonadiożność”.

Miła Jakubowskiemu „ciągłość” tradycji literackich zilustrowana została nie tylko przykładami z Żeromskiego, ale i Nałkowskiej oraz Tadeusza Borowskiego, jako pisarzy podejmujących w ramach wielkich tradycji narodowych próby „nowych środków wyrazu”. Historyka literatury interesować powinna „ciąg-

łość" świeższej daty. Wyrazem jej będzie w poezji wpływ Czechowicza czy Miłosza, w prozie — Brunona Schulza czy Witolda Gombrowicza. Nie mówiąc — o Dąbrowskiej. Z krótkiego ustępu poświęconego Zmarłej pisarce warto przytoczyć, jako niewątpliwie *curiosum* interpretację „Trzeciej jesieni” (str. 49). Jakubowski pisze: „...w opowiadaniu „Trzecia jesień” sprawa toczy się na marginesie głównego nurtu życia w Polsce Ludowej, dotyczy przecież losów niepozornego działkowicza. Ale naprawdę rzecz tkwi w czym innym. Oto nowa rzeczywistość socjalistyczna ratuje — przy wszystkich oporach, jakie stawia człowiekowi polityczna i biurokratyczna nieufność — zagubionego człowieka z marginesu społecznego”.

Co krok wyczuwamy oddziaływanie instrukcji zabraniających najbliższych nawet wzmianek o pisarzach zakazanych. Tak więc na próżno szukalibyśmy nazwiska Marka Hłaski, pisarza będącego niewątpliwie produktem atmosfery Polski Ludowej. Fakt, że „wybrał wolność” sprawia, że nie wymienia się go w ogóle, choć stworzył coś więcej niż przelotną modę literacką i Jakubowski mógłby bez trudu wymienić młodych pisarzy wywodzących się z jego szkoły.

Jakubowski popełnił jeszcze jedną omyłkę w tytule swego opracowania, nazywając je oceną „z perspektywy historycznej”. Tytuł właściwy powinien brzmieć: „Jak *powinna* wyglądać literatura Polski Ludowej w dwudziestoleciu 1944-64”. Nie ulega bowiem wątpliwości, że zabieg przykładania dorobku pisarzy wzorowych do stawianych im wymagań wypadł niezadawalająco. Obowiązkiem ich było pomaganie rządowi w „rozpoczętej z niemałym trudem budowie nowego, socjalistycznego porządku”. Rzeczywistość okazała się, jak ujmuje to Jakubowski „oporna”. Zawinili twórcy, zawiniła też krytyka, której odłam „ośmieszał w istocie pierwsze załączki pisarstwa, które próbowało ukazać nowe życie w Polsce Ludowej”. Na „produkcyjniaki” patrzeć należy z dystansu „spokojnie, bez egzaltacji”, „bez gniewu i stronniczości”. Pisane były przecież w „latach pięćdziesiątych”, które „nie sprzyjały literaturze zapuszczającej głębszą sondę w życie współczesne”. Dziś jest to rzekomo możliwe. „Poligon (sic!) nowej literatury o dużych ambicjach społecznych i artystycznych jest znacznie szerszy, niż to sugerują ci, co odmieniają od lat kilkanaście nazwisk”, a „coraz żywszy rytm życia literackiego różnych środowisk prowincjonalnych zawiera nadzieję, że otrzymamy powieści realistyczne o pełnym dynamiki życiu różnych środowisk” (str. 51). A więc — czas przyszły! Pogląd ten powraca w dosadniejszym jeszcze ujęciu na str. 55-ej, gdy Jakubowski rzuca czytelnikowi dramatyczne pytanie: „Gdzie są książki o ogromnej pracy narodu, o jego przeżyciach, niepokojach i nadziejach?”.

Znacznie optymistyczniej wypada ocena dwudziestolecia u Ryszarda Matuszewskiego. („Ogólne tendencje rozwojowe w prozie dwudziestolecia” w zesz. lipcowym „Nowych Dróg” z 1964 r.).

Uważa on, iż pierwsze dziesięciolecie upłynęło pod znakiem walk ideologicznych i „krystalizacji postaw”, — w drugim powrocie miały na widownię „spory na temat formy artystycznej, oczywiście na nowej płaszczyźnie i w nowym uwarunkowaniu”. Władze, jak wynika jasno z jego artykułu, wypracowały po r. 1956 „założenia polityki kulturalnej” oparte „na przekonaniu, że droga do twórczości socjalistycznej wiedzie nie przez ustalanie sztywnych kanonów artystycznych, lecz przez różnorodność form, uwzględniających zarówno najszerze potrzeby mas czytelniczych, jak i prawo artysty do eksperymentu i szukania nowych dróg”. Władze-Partia wychodziły nadto „z założenia, że popierając jak najusilniej twórczość ideowo zaangażowaną i o masowym zasięgu należy równocześnie dać możliwość rozwoju innym tendencjom, dopuścić do swobodnych dyskusji w sprawach artystycznych a także respektować w znacznie szerszych niż dawniej granicach prawo pisarza do krytycznej oceny rzeczywistości”. Osobliwy ów liberalizm nie wytrzymał jednak, jak stwierdza dalej Matuszewski, próby życia. Już w latach 1957-8 (sielanka trwała krótko!) „zahamować” wypadło „falę literatury rozrachunkowej, w której — poza słuszną i potrzebną krytyką okresu błędów i wypaczeń z pozycji socjalistycznych — uwidoczniły się też elementy krytyki nie dającej się pogodzić z podstawowymi założeniami ideologicznymi socjalizmu” (str. 300). Obserwacje literatury najnowszej nasuwają podejrzenia, że „zahamować” wypadło z analogicznych pobudek wiele innych dziedzin produkcji literackiej a „Zapowiedzi Wydawnicze” nasuwają przypuszczenia, że zobaczymy jeszcze niejedno. Na pewno nie zabraknie jednak papieru na dalsze wydania „książek bardzo różnego rodzaju”, do których Matuszewski zaliczył: „Pół wieku” Jerzego Putramenta, czy też „Książkę moich wspomnień” Jarosława Iwaszkiewicza, a także „Pamiętnik matki” Marcjanny Fornalskiej czy „Barwy Walki” Mieczysława Moczara” (str. 301).

Oficjalną wersję oceny prozy dwudziestolecia dał jednak nie Jakubowski czy Matuszewski, ale wytrawny weteran przedsięwzięć tego typu — Stefan Żółkiewski. I jemu także okres powojenny układa się w trzech zasadniczych rozdziałach: bezpośrednio powojennym, „stalinowskim” i popaździernikowym (1945-8, 1949-55, 1956-64), co zdaje się podziałem „optymistycznym” sugerującym, iż wpływ Października trwa dalej, wyrażając się zelżeniem kursu. Realistyczniej podszedł to periodyzacji dwudziestolecia Z. Żabicki („O tendencjach rozwojowych współczesnej prozy polskiej” w „Pam. Literackim”, 1964, z. 4), wprowadzając podokres czwarty: 1956-7 o nazwie okresu „obrachunków październikowych”, którym istotnie, jak wynika z przytoczonych wyżej enuncjacji Matuszewskiego położono kres bardzo szybko.

Żółkiewski poświęca wiele miejsca sprawie „periodyzacji” dwudziestolecia. „Dzieje współczesnej literatury polskiej rozpoczynamy przeważnie (!) od 1945” — pisze na wstępie „Polskiej prozy powojennej” („Pamiętnik Literacki”, 1964, zes. 4) — zwraca

cając się do uczestników wspomnianej na wstępie Konferencji wrocławskiej z grudnia 1964 r. W poszukiwaniu genealogii okresu cofa się do „międzywojennego dwudziestolecia literackiego”, dzieląc je na dwa podokresy: „jasny” (pod znakiem Żeromskiego jako autora „Przedwiośnia”) i „ciemny” (lata bezpośrednio poprzedzające wybuch II wojny światowej). Lata wojny, oglądane wyłącznie pod kątem produkcji podziemnej Kraju — i to w zakresie zwężonym do „ocalonych”, interesują go wyłącznie jako okres „upolitycznienia” literatury, ważny dlatego także „że okupacja, niszcząc ustabilizowane stosunki przedwojennego życia literackiego, szeroko otworzyła wszystkie możliwości przed młodymi”. (A tak się gorszyliśmy niemiecką książką Zofii Kossak-Szczuckiej „Das Antlitz der Mutter”, która w doświadczeniach wojennych widziała zasłużoną karę za grzechy narodu i piękną sposobność nowego początku!).

Społeczeństwo — kontynuuje Żółkiewski — podchwyciło tę wspaniałą szansę, „zradikalizowało się” na komendę — a prym wiodły „środowiska twórcze”. One to opanowały sytuację na odcinku literatury, skupiając się wokół „Kuźnicy”. Na tle dalszym, czy bardzo dalekim, dostrzega Żółkiewski „grono pisarzy katolickich, zresztą bynajmniej nie jednoznacznie zachowawczych w sprawach społecznych”.

Żółkiewski ma niewątpliwie rację wiążąc program literacki „Kuźnicy” z tradycją Żeromskiego i polskiej prozy społecznej i politycznej z wczesnego okresu powojennego. Zbyt jednak pochopnie wysuwa Stendhala jako głównego patrona „programu teoretycznego krytyków”. To chyba sprawa lat późniejszych. „Stendhalizm” dopatruje się nadto w postawie Tadeusza Borowskiego (z nowel oświecimskich) i w „Medalionach” Nałkowskiej. Zgoda (warunkowa) co do Nałkowskiej. Ale Borowski? To raczej temat dla komparatystów, śledzących niezależnie zrodzone a bliźniacze postawy czy punkty widzenia.

Ciekawiej wypadła u Żółkiewskiego ocena powieści spod znaku tzw. „obrachunków inteligenckich” wałkujących stosunek intelektualistów do „procesu rewolucji społecznej i kulturalnej” i czynnego w niej zaangażowania twórców — lub „emigracji wewnętrznej”. Z powieści politycznych stawia (słusznie) najwyżej „Popiół i diament” Andrzejewskiego. Dłużej zatrzymuje się przy Adolfie Rudnickim jako „twórcy najdoskonalszych opowiadań o zagładzie Żydów polskich”.

W rozdziale następnym poświęconym „latom najgorszym” (określonym jako okres „konsekwentnej demokratyzacji kultury”) zastanawia nadużywanie formy bezosobowej. Żółkiewski nie występuje nigdy w pierwszej osobie, nie pisze „myśmy” czy „wyście”, ale raz po raz pisze, iż „ingerowano”, „popelniano błędy i wypaczenia”, posługiwano się „niewłaściwymi środkami”. Kim byli owi tajemniczy „oni”. Czyżby autor „Polskiej prozy powojennej” zapomniał o Szczecinie i swoim własnym niepoślednim udziale w wydarzeniach owych niesławnych lat? A może utoż-

samić należy owych „onych” z istotnie zadziwiająco anonimowymi cenzorami, celnikami itp. osobnikami, w których władzy leżą konfiskaty, skreślenia, ograniczenia przydziału papieru — a może nawet (bo i to przychodzi na myśl) „uzgadnianie” tekstu wypowiedzi publicznych samego Stefana Żółkiewskiego.

Co zostało po owym kłopotliwym okresie? — „Plon prozatorski raczej ilościowo ubogi”, „półpogardliwie” określany jako „powieści produkcyjne”. „Nie brak tu jednak wartościowych pozycji” — reflektuje się natychmiast, przypomniawszy sobie, co na ten temat napisał Józef Lenart w broszurze „O ideowe wartości literatury”.

Przecierając oczy i spoglądając dla pewności na datę wystąpienia Żółkiewskiego (1964! — tak, 1964...) — znajdujemy ustalone w składnym ordynku „powieści bezpośrednio poświęcone budownictwu socjalistycznemu, industrializacji, problematyce pracy, jak „Lewanty” Brauna, „Węgiel” Ścibora-Rylskiego” — uznane za utwory, które „poszerzają horyzonty tematyczne, obejmują doświadczenia różnych środowisk” itd. — zbyt może schematycznie, ale...

Mamy wrażenie, że operowy chór widm wyłania się zza kulis i raz jeszcze przemaszewuje przed naszymi oczami w papierowych czapkach wzorowych traktorzystów i górników...

Błado wypadła Żółkiewskiemu próba apologii przeszłości, której „wypaczeniom” tak ongiś żwawo komenderował. Z gmatwainy niedopowiedzeń zdaje się wyłaniać próba przekonania słuchaczy, iż inaczej być nie mogło, „że model prozy aspirującej przede wszystkim do fikcji werystycznej, nie umiał sprostać komplikacjom intelektualnym problematyki współczesnej człowieka w atomowym świecie”. (O „realizmie socjalistycznym” — ani słowa!). „Należało (znów forma bezosobowa) postawić rzeczywiste problemy, znaleźć nowe środki wyrazu istotnych konfliktów”. Zgoda. Należało to zrobić — a nawet dokonano tego w pewnym stopniu. Ale bez udziału Żółkiewskiego. Nie on pisał „Poemat dla dorosłych” i współpracował z „Po Prostu”.

On natomiast i to niewątpliwie świadomie przeskakuje nad wielkimi rozdziałami żywej historii literatury Polski Ludowej — a przede wszystkim nad drażliwym okresem „obrachunków październikowych”, w którym literatura objęła na krótko „rząd dusz” a szpalty pism literackich zaroily się od nazwisk nowych lub niespotykanych od dawna. Nie interesuje go wspaniały rozkwit noweli i „małych form”, nie dostrzega Hłaski — i „czarnej literatury” (włącznie z „Wzlotem” Iwaszkiewicza). Nie interesuje go nawet fenomen, jakim jest wyjście literatury polskiej na forum międzynarodowe i niewątpliwe, w Kraju ledwo odnotowywane a rzetelne sukcesy Herberta, Mrożka, Kotta, Andrzejewskiego, Leca — według klucza talentów a nie deliberacji takiego czy innego plenum.

Interesuje go — „przyszłość”. Niepokoi się o nią poważnie, wtórując pilnie Lenartowi. Na tereny budownictwa socjalistycz-

nego wdarły się do literatury z Zachodu „propozycje niezgodne z doświadczeniami naszego kraju”. Czytamy i nie wierzymy oczom: z ust i spod pióra intelektualisty, jakim jest niewątpliwie *prawdziwy* Żółkiewski pada potępienie Kafki, Camusa, Becketta i „kultury wyziębionej, umarłych wartości, jak w „Doktorze Faustusie” Manna”. Razi go... uniwersalizm problemów stawianych przez pisarzy Zachodu: widzą oni „problemy uniwersalne, wiecznego człowieka, poza czasem historycznym, podczas gdy najistotniejszym naszym doświadczeniem są kierunkowe zmiany historyczne, dokonywane ludzkimi siłami”.

Z analogicznych względów razi go „parabola groteskowa znakomitego satyryka Mrożka” gdyż „ukazuje tylko czyste struktury sytuacji ludzkich”. (Brzydko, Mrozek, do kąta!). Niedobrze spisuje się także Jerzy Andrzejewski. Powieść jego „Idzie skacząc po górach” „nawiązuje do obsesyjnej w wielu krajach problematyki współczesnej, która wyrasta z krytyki kultury społeczeństw mrowiskowych, pozbawionej autentycznych wartości, krytyki kultury wartości urzeczywistnionych przez komercjalizację”. „Problemy naszej kultury masowej, która właśnie nie jest skomercjalizowana — pisze dalej — są zasadniczo inne”. (Brzydko, Andrzejewski, do drugiego kąta!). „Sennik współczesny” Konwickiego „więcej spełnia jako powieść polityczna” od „Arki Noego” i „Pasierbów” Putramenta — „ale i tu autor nie mówi najważniejszego: jakie jest znaczenie tych snów o przeszłości w dniu dzisiejszym bohatera? Ten ostatni czuje, że go paraliżują i odbierają mu sens życia, ale tego właśnie doświadcza tylko w dławiącym śnie”. (Brzydko, Konwicki, masz ołówek i kartkę papieru, siądź przy stoliku i dopisz zakończenie: bohater przyłącza się kadry inżynieryjno-technicznej turowskiego zagłębia węglowo-energetycznego i wyleczony ze snów zrywa z ideologicznymi kompromisami).

Lata 1956-1964 rysują się Żółkiewskiemu jako okres, w którym ścierał się „wzór prozy Szołochowa i jego walki o realizm socjalistyczny drogą nawiązywania do tradycji Lwa Tołstoja” z całą *avalanche* „modernistycznych stylizacji i deformacji niosących jako sztandar „problematykę indywidualną”. W rezultacie tego starcia „literatura najnowsza imponuje odkryciami artystycznymi i nieraz trafnością poszczególnych sądów ideowych ale budzi krytyczny niedosyt”.

Nie jest jednak tak źle, jakby wydawać się mogło — pociesza się w zakończeniu. W Polsce Ludowej pojawiają się także powieści ukazujące „swoistość procesów urbanizacji Polski, kształtowanie się specyficznych grup pośrednich chłopów-robotników, z im właściwą psychologią i moralnością”. Utwory te (a raczej wyroby) „ukazują procesy modernizacji wsi polskiej i przemian reżymu indywidualnego gospodarstwa, który kształtował światopogląd i kulturę chłopską” itd.

Chór widm operowych wyłania się zza kulis raz jeszcze. Zdjął kombinezony górnicze i przydział po kołchoźnemu a przecho-

dząc przyśpiewuje żwawo melodie „Mazowsza” i szczerzy białe zęby w uśmiechu obowiązującym wzorowego obywatela Polski Ludowej.

Toast, którego spełnienia spodziewała się (z zastrzeżeniami!) Bukowska, nie przechodzi przez gardło. Dlatego zapewne, że ściska je strach na myśl o widmach okresu „błędów i wypaczeń”, wyłaniających się zza kulis w dziwacznym niezrozumiałym, ale — niestety — groźnym korowodzie.

Maria DANILEWICZOWA

31 sierpnia 1965.

Komunikat

ŚWIADKOWIE HISTORII

Rozgłośnia Polska Radia Free Europe zapowiada, że pod powyższym tytułem ukazą się w niedługim czasie w sprzedaży *cztery płyty długogrające*. „Wspomnienia i wypowiedzi uczestników niektórych wydarzeń naszej historii pierwszej połowy XX wieku zostały utrwalone na płytach z myślą o odbiorcy, który będzie ich słuchał gdy zejdzie z widowni pokolenie dziś żyjące. Za sto lub więcej lat dokument ten — poprzez głosy w których pozostała cząstka żywego człowieka — pozwoli w sposób bardziej bezpośredni zetknąć się z naszymi czasami”. Montaż i realizacja Jana Jasiewicza; objaśnienia Eugeniusza Romiszewskiego.

PLYTA I

STRONA A

1. Józef Piłsudski — Gawęda o utrwalonym głosie. Nagranie na płycie firmy „Rudzki”, dokonane w starej jadalni pałacu belwederskiego.
2. Odślonięcie pomnika Mickiewicza w Warszawie w r. 1898. — *Jan Fryling*.
3. Manifestacja trzeciomajowa w czasach carskich. — *Jerzy Iwanowski*.
4. Napad na pociąg w Rogowie w r. 1906. — *Jan Kwapiński*.
5. Odślonięcie pomnika grunwaldzkiego w Krakowie w r. 1910. — *Władysław Folkierski*.
6. Wymarsz pierwszej kompanii kadrowej z Oleandrów w r. 1914. — *Tadeusz Kasprzycki*.
7. Z Piłsudskim w Magdeburgu. — *Kazimierz Sosnkowski*.
8. 30 października 1918: Wolność w Krakowie. — *Adam Pragier*.

Strona B

1. 11 listopada 1918: Wolność w Warszawie. — *Kajetan Morawski*.
2. Pierwszy rząd Polski odrodzonej. — *Bronisław Hełczyński*.
3. Odsiecz Lwowa w r. 1918. — *Michał Tokarzewski-Karaszewicz*.
4. Powstanie wielkopolskie w r. 1918. — *Stanisław Józwiak i Zygmunt Łąkiński*.
5. Próba zamachu stanu w r. 1919. — *Marian Kukiel*.
6. Powrót Błękitnej Armii do Polski w r. 1919. — *Józef Haller*.
7. Rok 1919: Wolność w Wilnie. — *Stanisław Kopański*.
8. Zaślubiny Polski z morzem w r. 1920. — *Józef Haller*.

PŁYTA II

Strona A

1. Wojsko polskie w Kijowie w r. 1920. — *Władysław Wolski*.
2. Jak powstał plan bitwy warszawskiej w r. 1920. — *Bronisław Regulski*.
3. Kto był autorem bitwy warszawskiej. — *Maxime Weygand*.
4. Traktat pokojowy w Rydze w r. 1921. — *Karol Poznański*.
5. Wybuch trzeciego powstania śląskiego w r. 1921. — *Michał Grażyński*.
6. Wspomnienie z walk w trzecim powstaniu śląskim. — *Adam Ciołkosz*.
7. Spotkania z Romanem Dmowskim w Polsce Odrodzonej. — *Tadeusz Bielecki*.
8. Zamach majowy w r. 1926. — *Henryk Piątkowski*.

Strona B

1. Złożenie prochów Słowackiego na Wawelu w r. 1927. — *Zygmunt Nowakowski*.
2. Gdynia w r. 1905 i w r. 1935. — *Kajetan Morawski*.
3. Śmierć zwycięzców „Challenge”u Żwirki i Wigury w r. 1932 — *Adolf Fierla*.
4. Zgon Piłsudskiego w r. 1935. — *Kajetan Morawski*.
5. Mowa sejmowa ministra Józefa Becka „o honorze”. Odpowiedź na żądanie Hitlera (5 maja 1939).
6. Wybuch wojny: 1 września 1939 w Londynie. — *Edward Raczyński*.
7. Agresja sowiecka: dzień 17 września 1939 w Moskwie. — *Wacław Grzybowski*.
8. Przyczyny klęski wrześniowej. — *Sławoj Składowski*.

PŁYTA III

Strona A

1. Obrona Warszawy: Wrzesień 1939. — *Walerian Czuma*.
2. Bombardowanie Warszawy: 25 września 1939. — *Tadeusz Tomaszewski*.
3. Obrona Wyrzeża w r. 1939. — *Józef Unrug*.
4. Epopeja okrętu podwodnego „Orzeł” w r. 1939. — *Stanisław Pierzchlewski* (nagrane w grudniu 1939).
5. „Służba zwycięstwu Polski”. Jak powstał Ruch Podziemny w Polsce. — *Michał Tokarzewski-Karaszewicz*.

6. Otwarcie parlamentu Polski Podziemnej 7 lutego 1940. — *Stefan Korboński*.
7. *Ignacy Paderewski* żegna Szwajcarię. Przemówienie radiowe (1940).
8. - 9. Otwarcie Rady Narodowej w Paryżu — przemówienie *Ignacego Paderewskiego i Władysława Sikorskiego* (23 stycznia 1940).

Strona B

1. Brygada Podhalańska w walce o Narvik w r. 1940. — *Zygmunt Szyszko-Bohusz*.
2. Samodzielna Brygada Strzelców Karpackich w Tobruku w r. 1941. — *Stanisław Kopański*.
3. Zrzut i walka spadochroniarzy w Polsce w r. 1941. — *Tadeusz Chciuk-Celt*.
4. Na stacji Gniezdowo. — Świadek *Stanisława Swianiewicza*, jedynego ocalałego więźnia z transportu do Katynia.
5. Katastrofa w Gibraltarze: Śmierć gen. Sikorskiego w r. 1943. — *Ludwik Łubieński*.
6. Prezydent Rzeczypospolitej *Władysław Raczkiewicz* o zmarłym gen. Sikorskim. — Przemówienie radiowe (5 lipca 1943).

PŁYTA IV

Strona A

1. Bitwa o Monte Cassino. Fragment wywiadu Jana Bielatowicza z *Władysławem Andersem*.
2. D-Day w Normandii. — Przemówienie premiera *Stanisława Mikołajczyka* do Polaków na wszystkich frontach (6 czerwca 1944).
3. Walka podziemna w Polsce: akcja „N”. — *Tadeusz Żenczykowski*.
4. Z gen. Stefanem Grottem-Roweckim w obozie koncentracyjnym w Sachsenhausen. — *Wołodimir Stachiw*.
5. Powrót z Londynu: meldunek emisariusza w przeddzień wybuchu powstania warszawskiego w r. 1944 — *Jan Nowak*.
6. Dlaczego wydałem rozkaz do powstania warszawskiego. — *Tadeusz Bór-Komorowski*.

Strona B

1. Radiostacja powstania warszawskiego „*Błyskawica*” — fragmenty audycji utrwalonych przez nasłuch w Anglii.
2. Pierwsza Samodzielna Brygada Spadochronowa w bitwie o Arnhem w r. 1944. — *Stanisław Sosabowski*.
3. Z walk 1-ej Dywizji Pancerniej: zdobycie Bredy w r. 1944 — *Stanisław Maczek*.
4. Bolonia — ostatnia zdobycz 2-go Korpusu w r. 1945. — *Klemens Rudnicki*.
5. Koniec wojny: kapitulacja Wilhelmshaven w r. 1945. — *Antoni Gruziński*.
6. Uwięzienie 16 przywódców Polski Podziemnej w r. 1945. — *Franciszek Białas i Zbigniew Stypułkowski*.
7. *Ignacy Paderewski*. — Apel do Rodaków w okupowanym Kraju (23 stycznia 1940).

Żeromski i echa społeczne

Stulecie urodzin Żeromskiego przypadające na rok 1964 wywołało dosyć rozległy choć niezbyt ciekawy odzew w publicystyce, przyniosło zgoła nikłe wyniki w naukowym badaniu pisarza i dzieła. Jedną z wybitniejszych, jeśli nie najwybitniejszą pozycją jest książka Stanisława Eilego ogłoszona przez Wydawnictwo Literackie w Krakowie. Nosi ona podwójny tytuł, trochę sprzeczny i trochę tautologiczny w swoim brzemieniu: „Legenda Żeromskiego. Recepcja twórczości pisarza w latach 1892-1926”. Pierwsza część tego tytułu służy *ad usum Delphini*, ma przynęcić czytelnika, druga niesensacyjnie, rzeczowo określa temat pracy, nawiasem mówiąc, tezy doktorskiej. Chodzi w niej o odbiór twórczości przez zbiorowisko ludzkie, do którego jest skierowana, o potwierdzenie jej przez to zbiorowisko. Wbrew rozpowszechnionemu przesądowi trzeba stwierdzić, że przy zachowaniu rygorów akademickich jest to książka niezmiernie interesująca nie tylko dla specjalisty, miejscami wręcz fascynująca.

Eile bynajmniej nie debiutuje w badaniach nad Żeromskim. Ma w dorobku kilka prac drobniejszych, jest współautorem, a praktycznie autorem „Kalendarza życia i twórczości Żeromskiego”. W ostatniej książce zgromadził wszystko lub niemal wszystko co o nim napisano za jego życia i bezpośrednio po śmierci a jest to w sumie zawartość sporej półki bibliotecznej. Drobnica pracowicie wyłowiona z dawno nieistniejących czasopism rozmaitej maści i poziomu, nieraz ważek-jedniodniówek, nieraz organów o bardzo ograniczonym zasięgu została przez badacza ułożona w przejrzysty, wymowny porządek. Zamknęła się we wzór trochę przypominający rysunek diun piaskowych.

W tym wzorze najbardziej uderza, góruje nad wszystkim, odczucie Żeromskiego jako wyraziciela generacji, jako kontynuatora wielkich romantyków i jako „uosobionego głosu sumienia”. Bardzo wcześnie Ostap Ortwin nazwie go romantykiem z edukacją pozytywistyczną, a Wilhelm Feldman, jeden z głównych

architektów jego renomy, skojarzy go z Mickiewiczem. Świadomość tego związku dojdzie do głosu nazajutrz po śmierci autora „Popiołów” i znajdzie najpełniejszy wyraz w nazwaniu go przez Józefa Ujejskiego — „ostatnim wajdelotą”. To jest rama i jakby leitmotyw, motyw powrotny wzoru, który tworzy recepcja Żeromskiego w ciągu trzydziestu lat.

Po środku rysunek jest bardziej skomplikowany, a nawet zawity. Ma on dwa centra. Jedno z nich stanowi okres między „Ludźmi bezdomnymi” i „Popiołami”, drugi — okres ogłaszania dosyć dowolnie tak nazwanej „trylogii morskiej” tj. „Wisły”, „Wiatru od morza” i „Międzymorza”. Za każdym z tych centrów, szczytowych punktów uznania, otwierają się wiry: skandal wokół „Dziejów grzechu” i nagonka po „Przedwiośniu”.

Inną komplikację wzoru, w jaki układają się echa społeczne twórczości Żeromskiego, tworzy zmienność niejako ich kierunku. W pierwszej połowie swego życia Żeromski był *spokesmanem* lewicy, radykalnej inteligencji, „inteligentnego proletariatu”. W drugiej aż do „Przedwiośnia” cieszył się uznaniem kół prawicowych, zachowawczych, nacjonalistycznych. Linia graniczną czy punktem przejściowym jest „Róża”, dramat o rewolucji 1905 r., który zmobilizował przeciw Żeromskiemu wszystkie najbliższe mu i najdalsze orientacje polityczne, wszystkie partie, wszystkie zorganizowane ośrodki myśli i działania. „Róża” ukazuje Żeromskiego jako pisarza o zupełnie wyjątkowej niezależności i wierności sobie, swemu wewnętrznemu głosowi.

W bardzo jasnym, jakby naocznym przedstawieniu przez Eilego falowań opinii najciekawsze jest to, że ani zmienny jej podział ani raz po razie wybuchająca atmosfera skandalu nie naruszyły pozycji Żeromskiego, jedynej i wyjątkowej, czy tradycyjnej w Polsce i typowej. Pozostał on do końca autorytetem moralnym, dyrygentem sumień. „Nikt tak jak on nie podnosił i nie targał naszych serc” — pisał Borowy pod wrażeniem śmierci. — „Był tym wobec którego niemożliwa była obojętność”. Wtórował mu Ferdynand Goetel: „Żeromskiemu wierzyliśmy, z góry i na ślepo, był to stosunek miłości bez zastrzeżeń... Żaden jeszcze z wieszczów polskich, nie wyłączając wielkich romantyków, nie wpływał tak bezpośrednio, tak szybko, tak realnie na życie społeczeństwa”.

To tłumaczy zjawisko w całej pełni widoczne dopiero dzięki przewodowi Eilego, że pisarstwo autora opowieści „O Walgierzu Udałym” było przedmiotem oceny, dyskusji, polemiki przede wszystkim społeczno-politycznej, w pewnym okresie również interpretacji filozoficznej; sprawy estetyczne, sprawy artyzmu pozostawały zepchnięte w głąb lub zgoła niewidoczne. „Róża” w rozgwarze ataków ze wszystkich stron, nie doczekała się oceny jako dzieło sztuki.

Eile na ogół dobrze sobie radzi z ogromem zgromadzonego, często bardzo miłego, przesypującego się przez palce materiału. Słuszny wydaje się podział pracy na dwie części, prze-

dzielenie jej cezurą, którą stanowi rok 1914. Rozkład zagadnień w obrębie tak powstałego dyptyku jest również przekonywujący. To co można by „Legendzie Żeromskiego” zarzucić, zwłaszcza w partiach początkowych, to ich charakter zbyt mechanicznie relacjonujący. Czytelnik czasem się gubi, a jeśli czyta nie z obowiązku lecz dla nauki i przyjemności, może się też znużyć brakiem podsumowań, niedostatkiem wniosków ogólniejszych, nikłością konturów, które powinny wiązać szczegóły.

Ale im dalej w głąb książki, tym przejrzystość, dobitność ekspozycji materiału jest większa. Eile nie ma zbyt wyczulonej wrażliwości stylistycznej, np: „przybrał szaty biologicznego upojenia życiem”, „posiada usterki i potknięcia”, „stawała na usłudze”. Ma natomiast dar zwięzłego, celnego referowania często zawiłych, zawile ujętych poglądów. Pod tym względem zwłaszcza stronicę poświęconę Brzozowskiemu, jako krytykowi Żeromskiego należą do szczególnie udanych i cennych. Równie cenne, niemal rewelacyjne jest ukazanie Irzykowskiego w postawie krytycznej wobec autora „Ludzi bezdomnych”. Autor „Pałuby” stanowi właściwie zjawisko unikatowe w dziejach recepcji Żeromskiego. Jeden jedyny nie uległ jego nieodpartej magii, jeden jedyny nie uwikłał się w nie skończone rozważania polityczno-społeczne, nie poddał się szeroko upowszechnionej legendzie. Patrzył na niego jako pisarza. Pewne formuły np. o „fałszowaniu monologu wewnętrznego”, o „rurze, która łączy bohaterów Żeromskiego z jego własnym rezerwuarem uczuciowym” — utrzymały się w obiegu do dzisiaj. Ale pedantyczne zestawienie Eilego wykazuje również nieobliczalność krytyka. To co Irzykowski pisze o jednym z najbardziej ambitnych, lecz jednym z najbardziej nieudanych usiłowań artystycznych Żeromskiego, o trylogii „Walka z szatanem” jest czymś zaskakującym w swej kapryśnej pobłażliwości.

Największą zdobyczą pracy Eilego wydaje mi się jej przedostatni rozdział poświęcony „Przedwiośniu” i „Przepióreczce” pt. „Nowa powieść społeczna i nowy bohater”. Mimo że końcowy epizod twórczości Żeromskiego trwa ciągle żywy w pamięci niedługo z nas, jest on w tym ujęciu odkrywczy. Eile pierwszy ukazał kolejne etapy polemiki wokół „Przedwiośnia”, która w zapisie pamięciowym skłębiła się w jedno wirowisko. Odsonił także jak odbiór „Przepióreczki” przeplatał się z tamtą burzliwą rozprawą, „niczym nieprzypominającą polemiki literackiej”. Interesujące jest odkrycie w niej udziału „geografii literackiej”, udziału regionów byłego zaboru pruskiego, do których legenda Żeromskiego nie dotarła. Ten rozdział jest równocześnie jednym z rozdziałów biografii pisarza, głęboko dramatycznym akordem zamykającym życie i dzieło. Walor niemal muzycznego czy plastycznego kontrastu ma zakończenie książki pt. „Echa śmierci Żeromskiego”, choć i tu w apoteozę wdziera się — żeby użyć określenia Nowaczyńskiego — „maniacka i parafiańska zawziętość”.

Praca Eilego odznacza się nieposzlakowaną bezstronnością. Pokazuje galerię pognębieli Żeromskiego z prawicy społecznej, napastliwych ale inteligentnych jak Adam Grzymała-Siedlecki, płazowatych jak Edward Ligocki. Ale nie tai również „nieprzejednanie wrogiego stosunku KPP” do Żeromskiego za jego „optymistyczne uniesienie po odzyskaniu niepodległości”. Czymś najbardziej nieprawdopodobnym jest potępienie przez ówczesnych komunistów polskich pierwszej marksistowskiej krytyki Żeromskiego przeprowadzonej przez Juliana Bronowicza i jego formalne „pokajanie” za ten śmiertelny grzech, co nie przeszkodziło, że napiętnowana i odwołana książka ukazała się ponownie w r. 1958 z przedmową samego Leona Kruczkowskiego.

Tragiczno-groteskowy los jednej książki, jak i szczegółowe dzięki Eilemu rozpatrzenie się w dziejach odbioru Żeromskiego, prowadzi do konkluzji praktycznej: ten człowiek, który budził tyle miłości i nienawiści, odpychał, ale i pociągał, porywał, niewolił, jak nikt w naszej literaturze, zasłużył sobie, żeby na niego wreszcie spojrzeć jako na pisarza, na artystę, na „czwartego” (po Mickiewiczu, Słowackim i Sienkiewiczu) jak go ktoś zaszczytnie nazwał „mistrza mowy polskiej”.

Tymon TERLECKI

Osiemdziesięciolecie prof. Kukiel

W ramach obchodu jubileuszowego osiemdziesięciolecia urodzin generała i profesora Mariana Kukiel, Polska Fundacja Kulturalna wydała tom jego szkiców i rozpraw historycznych. Tytuł: *Od Wiednia do Maciejowic* (studia i szkice historyczne). Treść: zespół studiów o wojskowości XVII i początku XVIII wieku i dłuższa rozprawa o bitwie pod Maciejowicami.

Podkreślanie zalet książki byłoby powtarzaniem komunałów. Ograniczam się do stwierdzenia, że jak wszystkie prace Jubilata i tę przeczyta z zainteresowaniem każdy czytelnik, nawet nie mający pociągu do historii. Dla historyków, zwłaszcza historyków wojskowości, książka jest kopalnią rzetelnie opracowanych wiadomości. Dane są w tym cenniejsze, że jak się dowiadujemy z przypisów, archiwa na których się Autor opierał uległy zniszczeniu w okresie drugiej wojny.

Rozpoczyna szkic zatytułowany: „Sobieski wódz”. Pisany jako odczyt na 250-letnią rocznicę wiedeńskiej wyprawy, nie wprowadza

dza nowych materiałów. W wydaniu książkowym jest wspaniałym, treściwym wstępem, wprowadzającym czytelnika w omawianą epokę.

Po nim idą rozprawy omawiające wojskowość polską czasów Sobieskiego i pierwszego Sasa. Są one wynikiem, jak je skromnie określa Autor, sondarzy dokumentów archiwalnych odnośnego okresu. Mimo charakteru wstępnych sondarzy, zawierają ogromną ilość cennych stwierdzeń, tym cenniejszych, że jak powiedziałem wyżej, archiwa uległy zniszczeniu. Chociaż nie ukończone, omawiane badania posunął Autor tak daleko, że zmuszają one do zupełnej zmiany naszych pojęć o składzie społecznym i narodowym polskiego wojska tamtego okresu.

To samo dotyczy naszych pojęć o rzekomej improwizacji i przypadkowości naszych instytucji wojskowych. Z dowodami w rękę wykazuje nam Autor mylność utartych opinii.

Okazuje się że na wyprawę wiedeńską w 1683 roku zaciąg przeprowadzono według wszelkich zasad nowoczesnej mobilizacji. Określono potrzebną ilość wojska — zgodnie z traktatem zawartym z cesarzem 31. III tr. miało ono wynosić z Korony i Litwy 40.000. Z kolei, rozdzielono ogólną ilość wojska przewidzianego do formowania na ziemię i województwa. W zależności od ich możliwości ludzkich i gospodarczych poszczególne obszary miały formować te czy inne formacje wojskowe, w tych czy innych ilościach. Według tego terytorialnego rozdzielnika powiększały swoje stany chorągwie i regimenty stare, formowały się nowe. Plan przewidywał ile dane województwo lub ziemia ma wystawić na przykład husarzy, ilu pancernych, piechoty, czy dragonów. I takie, a nie inne cyfry (z małymi odchyleniami) osiągnano. Równie planowo przeprowadzano demobilizację, czyli „przejście wojska z komputu wojennego na ordynaryjny”. Zaciekawiony czytelnik dowiaduje się o sposobie zaciągu, o wysokości „ćwierci” (i jej stosunku do panujących cen) i o wielu innych sprawach dotyczących rozwinięcia siły zbrojnej do działań wojennych.

Autor koryguje inne błędne a rozpowszechnione pojęcia. Mianowicie obala dotychczasowe opinie o narodowym i społecznym składzie wojska tamtych czasów. W autoramencie narodowym (zaciąg towarzyski) towarzyszami nie byli wyłącznie szlachcice. Chłop zubożony łupem wojennym, lub mieszczanin wystawiał poczet i zaciagał się nawet do najgórnějších, usarskich chorągwi. Dowiadujemy się, o szeregu wypadków nobilitacji towarzyszków, nawet husarskich. Jasne, że większość towarzystwa była szlachecka, ale Autor stwierdza istnienie wyjątków i licznych wyjątków. W konkluzji, była szlachta w polskim autoramencie elementem przodującym, ale nie najliczniejszym.

Z kolei dowiadujemy się, że „cudzoziemski autorament” nie był „cudzoziemskim już od panowania Jana Kazimierza. Za króla Jana korpus oficerski składali Polscy albo spolszczeni, często od pokoleń, cudzoziemcy. Prawdziwych cudzoziemców było coraz mniej. Wśród „gemajnow” stanowili obcokrajowcy zniko-

my procent. Nawet sama nazwa zaciągu cudzoziemskiego zaczyna wychodzić z użycia. Na jej miejscu pojawia się termin: infanteria, obejmujący piechotę i dragonię. Język służbowy i komendę niemiecką wypiera język polski. Regimenty piesze mundurowane są w błękitne żupany, kapuzy i buty, a nie w kapelusze i trzewiki z pończochami.

Wiele miejsca poświęca Autor regulaminom wojskowym owego czasu. Podkreśla ich rzeczowość i ich postępowość nie pozostającą w tyle za resztą Europy.

Cykl zamyka rozprawa o Janie Kampenhauzenie podkomorzym parnawskim, wojskowym autorze czasów saskich. Przypominam, że Kampenhauzena znamy z Encyklopedii Staropolskiej Zygmunta Glogera, jako „ostatniego husarza”.

Doprawdy, trudno jest mówić o pogłębieniu omawianego tematu. Ale, czytelnikowi zainteresowanemu jego poszerzeniem można polecić: Jana Wimmera: „Wojsko Rzeczypospolitej w dobie wojny północnej”, wyd. MON. 1956. Znać na tej książce wielki wpływ omówionych wyżej rozpraw.

Tematycznie i sposobem ujęcia „Maciejowice” odcinają się od pierwszej części książki. Jak stwierdza Autor w przedmowie, ocena Kościuszki podana w rozprawie spotkała się z krytyką innych znawców epoki, między innymi Skałkowskiego i Korzona. Nie zamierzam włączać się do polemiki potentatów historii. Jedynie pragnę podać do wiadomości czytelników opinie paru innych autorytetów i podkreślić pewne fakty podane przez Jubilat.

Rozprawę cechuje dwoistość. Ścisłość ustalania faktów, tak charakterystyczna dla Autora, daje nam możliwie jasny obraz przebiegu wypadków. Jego uczucie dla postaci Najwyższego Naczelnika nie pozwala mu na uszczknięcie bodaj jednego listka z wieńca laurowego bohatera. Stąd powstają opinie wywołujące wątpliwości innych historyków.

Wielkość Kościuszki jest kwestionowana, w pierwszym rzędzie w zakresie jego wojskowych talentów. Musiały one być kwestionowane już w jego dobie czemu daje dowód nieodłączny przyjaciel i osobisty sekretarz Kościuszki — Julian Ursyn Niemcewicz w „Pamiętnikach Czasów Moich”. Cytuję: „...znał Kościuszkę dobrze rewolucyjną partyzancką wojnę, przez kilkuletnie prowadzenie jej w Zjednoczonych Stanach Ameryki, wszędzie on nudził, niespokoił, rozdawał siły, urywał nieprzyjaciela; ach! gdyby podobnie w wielkich obrotach wojennych kombinacjach był biegłym;...” „Czemuż, niestety, Bóg go nie natchnął geniuszem Napoleona, czemuż nie zebrał sił dostarczających, nie uderzył najprzód na Moskali pod Fersenem;... Inaczej chciało przeznaczenie. Rozerwał Naczelnik siły swoje...” Niemcewicz, chociaż wychowanek korpusu kadetów, nie był uczonym wojskowym, powtarza, zapewne, opinię panującą powszechnie. Ma to swoją wagę, że przyjmuje ją za swoją wierny przyjaciel i zwolennik Naczelnika.

W 1962 r. ukazał się zbiór rozpraw profesora Bronisława Paw-

łowskiego dla uczczenia jego 55 lat pracy naukowej (i 80-ciolecia urodzin). Chociaż z przedmową autora, wydaną pośmiertnie. Tytuł: Od konfederacji barskiej do powstania styczniowego (W-wa, MON.). W rozprawie zatytułowanej: „Początki służby księcia Józefa Poniatowskiego w wojsku polskim” udawadnia prof. Pawłowski, że: „...Poniatowski był zwolennikiem koncentracji... Kościuszkę natomiast... krytykował zarządzone przez ks. Józefa rozmieszczenie oddziałów i proponował zasadniczą w nim zmianę, przez ustawienie ich wzdłuż granicy systemem kordonowym w dwu liniach, w pierwszej — kawalerii, w drugiej — piechoty”. Pogląd Poniatowskiego na konieczność koncentracji był jasny i wyraźny: „doświadczoną jest wojenną maksymą, że kto wszystko zaślaniać usiłuje, tym samym wszystko odkrywa, a przeciwnie każda siła zjednoczona dzielniejsze wyprowadza skutki”. Cytuję powyższe w celu wykazania, że skłonność Kościuszki do rozpraszania sił nie była „błędem powszechnym jego współczesnych”. Natomiast, cytaty te, odnoszące się do okresu przygotowań do wojny 1792 r., zdają się wskazywać na rozpraszanie sił jako część składową wojennych koncepcji Kościuszki.

W omawianej monografii (i we wspomnieniach Niemcewicza) uderza sposób dowodzenia stosowany przez Kościuszkę. Galopowanie samowtór nocami między rozrzuconymi po całym kraju korpusami. Brak sztabu, budzenie po nocach Niemcewicza (trochę sekretarza, trochę totumfackiego) dla podyktowania rozkazu. Wyraźny brak zaufania do powładnych dowódców. Te i inne szczegóły tworzą sylwetkę wodza o nieskrystalizowanych zasadach dowodzenia.

Przechodząc na szczebel taktyczny, widzimy tę samą regułę rozpraszania sił. Dla przeszkodzenia Fersenowi w przejściu Wisły, rozciąga się korpusik Ponińskiego w kordon. Ruchy Fersena mogły być dozorowane przez podjazdy działające na lewym brzegu Wisły. Skoncentrowany korpus Ponińskiego winien był posuwać się równolegle do Fersena prawym brzegiem rzeki zgodnie z meldunkami otrzymywanymi od podjazdów. W 1809 roku, w gorszych warunkach, bo bez dostępu do lewego brzegu Wisły, Poniatowski, względnie Sokolnicki, przeszkodził przeprawie Austriaków pod Ostrówkiem. Piszę: w gorszych warunkach, bo w 1809 nie mieli Polacy możliwości działania na zachodnim brzegu Wisły.

Niefortunny wydaje się wybór miejsca do bitwy obronnej pod Maciejowicami. Naturalne przeszkody przedpoła pokonał przeciwnik bez większych trudności. Pozycja sama z odsoniętym lewym skrzydłem, była na wyrost dla rozporządzalnych sił. Przypuszczenie Autora, że to lewe skrzydło miał osłonić nadciągający Poniński, jest trudne do przyjęcia skoro zakładamy bronienie się na niej aż do czasu przybycia tegoż Ponińskiego. Albo, albo...

Wreszcie, nieprzyjemna sprawa „zdrady” Ponińskiego. Materiały zgromadzone przez Autora zdają się wskazywać na zbyt długie trzymanie Ponińskiego w oddaleniu i zbyt późne przesłanie mu rozkazów przybycia. Z ustaleń Autora widzimy niewin-

ność Ponińskiego, a winę — właściwie błąd — Kościuszki. Poniński jest pod piętnem zdrady. Po dziewięciu latach dociera w Paryżu do swojego byłego wodza i prosi o obronę. Kościuszko nie jest już wodzem, jest prywatną osobą. Żadne względy prestiżowe, względy wyższe nie grają już roli. I oto Kościuszko odmawia wyraźnej obrony byłego podwładnego. Z jednej strony ceną jest przyznanie się do popełnionego błędu, z drugiej — zarzut zdrady. Cała historia dziwnie odbiega od sylwetki duchowej Kościuszki, jaką znamy od dziecka.

Uważałem za swój obowiązek umieścić tych parę wątpliwości, które prawdopodobnie nasuną się wielu czytelnikom. Nie zmniejszają one mego uczucia wdzięczności, jakie odczuwam, wraz z innymi miłośnikami historii, za udostępnienie nam następnego cyklu wspnianych prac Jubilata.

Tadeusz NOWACKI

Nadeślane nowości wydawnicze

WYDAWNICTWA UKRAIŃSKIE

- KOWAŁENKO (Ludmyła), *Stepowi obriji*. Str. 226. Czastyna persza trylogiji „Nasza ne swoja zemla”. (Wydawnicza Spilka Tryzub. Winipeg 1964).
- BYKOWSKYJ (Łew). *Zwenyhorodśka Komercejna szkoła*. Spohady z 1905-1912. Str. 48 (Winipeg-Denver 1965).
- KOSZELIWEĆ (Iwan). *Suczasnna literatura w URSR*. Str. 378 (Wyd. Prolog. New York 1964).
- KOWAŁENKO (Ludmyła), *Dwi krasny. Noweli*. Str. 112. (Biblioteka „My i Swit” Toronto 1965).
- SZEWCZENKO (Taras). *Zapowit*. (Oryhinał i perekłady). Str. 60. (Buenor Aires 1964. Wyd. Julian Seredjak).
- LESYCH (Wadym). *Kamjani łuny. Poeziji 1960-1964*. Str. 88. (New York, 1964. Wyd. Orhanizaczi Czotyrjoch Swobid Ukrainy).
- BOJCZUK (Bohdan). *Wirsi dla Mechiko*. (Wyd. Njujorkskoj Hrupy. München 1964).
- KYŁYNA (Patrycija). *Łehendy i sny. Poeziji*. Str. 60. (Wyd. Njujorkskoj Hrupy. New York 1964).
- Nowi poeziji. cz. VI*. Wyd. Njujorkskoj Hrupy 1964. New York. 68 str. *Obkladynka Sołowija*. (Zbirka poezij Njujorkskoj Hrupy) Bohdana Bojczuka — hrafika Borysa Paczowskoho. Emmy Andijewskoji — mystečke oformlennja Lubosława Hucaljuka. Jurija Tarnawskoho — oformlennja W. Prokudy. Bohdana Rubczaka — oformlennja Jarosławy Gerulak. Patryciji Kyłyny — oformlennja Arkadiji Ołenśkoji-Petryszyn. Wiry Wowk — oformlennja Bohdana Bożemskoho. Wasyla Barky — rysunki Jakowa Hnizdowskoho. Perekłady Wolfrata Burghardta — oformlennja Sołowija.

Listy do Redakcji

Bellevue, Wash, 18 sierpnia, 1965 r.

Wielce Szanowny Panie,

Bezkrytyczny artykuł Aleksandra Hertza pt. „Kennedy i druga rewolucja” (*Kultura*, Nr 7/8, 1965, str 3-24) budzi zastrzeżenia, między innymi jeżeli chodzi o uznawany przez niego schemat doboru przywódców politycznych w Stanach Zjednoczonych. Ambicje polityczne ludzi wysoko uprzywilejowanych materialnie istotnie nie są historyczną nowością. W szeregu politycznie dojrzałych społeczeństw współczesnych obserwuje się jednak samozachowawczy odwrót od tego kosztownego anachronizmu cenzusu majątkowego na korzyść talentu, wykształcenia, doświadczenia, ogólnonarodowych zasług i determinacji poczynań.

Z licznymi argumentami na korzyść finansowo uprzywilejowanych aspirantów i przywódców politycznych można spotkać się w prasie i innych mediach informacji i oddziaływania na tzw. opinię publiczną w Stanach Zjednoczonych, chociaż poważne środki przeznaczone na to mogłyby być zużywane na inne, pilne potrzeby. Obfita literatura panegiryczna jest jedną z form tego niepokojącego zjawiska. Artykuł Aleksandra Hertza nie stanowi pod tym względem niczego nowego poza tym, że ukazał się, niestety, w niezależnym i cenionym czasopiśmie polskim we Francji.

Wewnętrzne stosunki polityczne Stanów Zjednoczonych nie są bynajmniej wewnętrzną sprawą tego kraju, jak świadczą choćby polskie wojenne i powojenne doświadczenia narodowe. To, jakiego formatu ludzie decydują i decydować będą tutaj o posunięciach politycznych, może stać się niedługo sprawą istnienia, lub zagłady całej cywilizacji; nie pora też dziś na ustępstwa wygórowanym ambicjom politycznym jednostek, których głównym atutem jest odziedziczona, lub zdobyta fortuna.

Pozostaje z poważaniem

Witold W. CIAS

Londyn, 2 września 1965.

Szanowny Panie Reda-ktorze,

W lipcowo-sierpniowym numerze Kultury w artykule p. Aleksandra Hertza, „Kennedy i druga rewolucja”, są rozważania i opinie o nacjonalizmie wyrażone zdaniem, „A na pewno nie jest on traktowany poważnie w Anglii, ani w krajach skandynawskich, ani w Stanach Zjednoczonych, Australii i Nowej Zelandii”. (str. 21).

Nie wiem jak jest w innych wymienionych przez autora krajach, ale odnośnie Anglii, p. A. Hertz, moim zdaniem, popełnia zasadniczy błąd. Anglicy są nacjonalistami nie tylko w stosunku do innych narodów poza wyspą, ale i w stosunku do narodów Zjednoczonego Królestwa, a więc zamieszkujących tę samą wyspę. Ich nacjonalizm jest szowinistyczny, oparty na przekonaniu że są wyjątkowym i wybranym narodem. Nie trzeba być bystrym obserwatorem, by zauważyć jak nadmiernie szafują zarzutem nacjonalizmu w stosunku do innych historycznych, już dawno uformowanych, narodów, czy też dopiero formujących się. Pomagają im w tym złudzenia, że wciąż są rzekomo potęgą polityczną, militarną i gospodarczą, i że świat im zazdrości i podziwia.

Śmiało można powiedzieć, że ogół jest mistrzem złudzeń odnośnie swego znaczenia i możliwości. Wynika to z odpowiedniego nastawienia szkoły, radia, propagandy, prasy i innych czynników, które formują angielską mentalność. „Murzyni mieszkają za Angielskim Kanałem” — to wciąż obowiązuje Anglików.

W tym samym numerze p. Juliusz Mieroszewski w artykule „Zjednoczenie Niemiec i Europa a Polska”, głosi, że „To Polacy uważają, że naczelnym obowiązkiem amerykańskich czy brytyjskich mężów stanu jest dbać o polskie interesy. Po śmierci Churchilla wszystkie artykuły w prasie emigracyjnej były napisane wyłącznie pod tym kątem widzenia”. (str. 117).

Jako dość pilny czytelnik prasy emigracyjnej, nie zauważyłem by autorzy artykułów po śmierci Churchilla wyrażali w nich wyżej przytoczone opinie. Artykuły te raczej przypominały, że W. Brytania od chwili podpisania umowy o wzajemnej pomocy i gwarancji (6. 4. 1939) nie miała zamiaru jej wypełnić i że Ameryka i W. Brytania w Teheranie i Jałcie dopuściły się zbrodniczych sprzeniewierzeń w stosunku do głoszonych haseł. Tak to wygląda w skrócie. Owoce umów z Teheranu i Jałty spożywa po dzień dzisiejszy Ameryka, W. Brytania i cały świat.

W. Brytania nie była uczciwym sojusznikiem Polski i nie miała zamiaru nim być. Była bezceremonialnym graczem wykorzystującym na rzecz swej polityki i swych interesów naszą wiarę, powstała z błędnych informacji i z jakiś urojeń o jej wielkości, uczciwości i honorze.

Polska ze swej strony zobowiązania wynikłe ze wspomnianego traktatu wykonała z wielką nadwyżką, stwarzając historyczny paradoks, kiedy to znacznie słabszy gospodarczo i militarnie kraj i o stosunkowo jeszcze małym znaczeniu politycznym, pośpieszył z wybitną pomocą Brytanii (na lądzie, w powietrzu i morzu) z jej imperium o rzekomo światowym znaczeniu „z nigdy nie zachodzącym słońcem, 500,000,000 ludności i największym w historii tego świata”.

W konkluzji tego listu trzeba przyjść do wniosku, że Ameryka i W. Brytania w walce z hitlerowskimi Niemcami o ich bezwarunkowe poddanie się, same podały się bezwarunkowo sowieckiej Rosji, która zręcznie i przebiegle wykorzystywała dla swych korzyści ich polityczną naiwność i brak rozeznania jej zamiarów i celów.

Z poważaniem

Kazimierz GÓRSKI

Londyn, 17. 8. 65 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

Ogłaszając po przeszło 20 latach niepoprawione opowiadanie „primamaprilisowe” śp. Adolfa Bocheńskiego, czynem tym wyrządził p. Redaktor szkodę: śp. Autorowi „Małej Prywatnej Wojny”, Ułanom Karpackim i Żołnierzom 15. B. S. „Wilków”.

Jestem przekonany, że za swego życia Autor nie umieściłby swych przysłów wojennych, nie przeprowadzając dokładnej korekty.

Gdyby prawdopodobieństwo w opowiadaniu śp. Adolfa Bocheńskiego, zawierającego częściowo zbliżoną sytuację jaka panowała na odcinku 15. B. S. „Wilków”, bez wymieniania nazwisk poległych żołnierzy Baonu, to wywoływanie „Cieni Przyjaciół” z zapadłych mogił żołnierskich, byłoby nie na miejscu.

Każdy numer „Kultury” jest dokumentem, który będzie służył następnym pokoleniom, w ocenie naszych wartości, każda niedokładność utrudni obiektywny osąd.

Dla uzasadnienia niedokładności podanych faktów śp. Autora z jego patrolowych kontaktów z pododdziałami 15. B. S., na drodze do Atina na odcinku obronnym M. Croce. Podaję skład osobowy (komp. strz.) 15. B. S. „Wilków”.

D-cą 3-ej. komp. strz. był śp. kpt. J. Jurkowski.

D-cą 1-ej. komp. strz. był śp. kpt. M. Świeściak.

D-cą 2-ej. komp. strz. był kpt. J. Polkowski.

D-cą 4-ej. komp. strz. był kpt. H. Bartosik.

Oficerów o nazwiskach (Cowler) i (Swerczak) w 15. B. S. nie było.

Trzecia komp. strz. Kpt. J. Jurkowskiego zajmowała stanowiska obronne na lewym skrzydle Baonu, w górach często pokrytych śniegiem, nie jednokrotnie „głodowała”, ponieważ warunki terenowe i pogoda, utrudniały dostarczenie termosów z jedzeniem.

Na lewym skrzydle za sąsiada miała: pionową skarpe góry, nierozpoznane przedpole i stanowiska niemieckie. Na prawym skrzydle była druga komp. strz. kpt. J. Polkowskiego, odgradzona polem minowym, zbierała ona ogień artylerii i moździerzy niemieckich, przeznaczone na trzecią, ponosząc straty.

W drugim rzucie batalionu stała pierwsza komp. strz. śp. kpt. M. Świeściaka, a czwartą dowodził kpt. H. Bartosik.

Śp. Adolf Bocheński i Jego Ułani, patrolując drogę do m. Atina nie mieli żadnych możliwości technicznych współdziałania z trzecią komp. strz. Nawiązanie łączności mogło się odbywać; a) telefonicznie, b) po przejściu całego ugrupowania baonu, c) okreśną drogą od linii niemieckich, ale tej drogi nikt rozumny nie wybierał.

15. B. S. rozkazem 5. W. B. P. został z odcinka przeniesiony na nowe m. p., stanowiska pozostawił nieobsadzone, faktu luzowania przez 16 L. B. S. nie było.

Co do strachliwości piętnastaków, to jako ludzie normalni, rozumieli znaczenie życia i śmierci. Jednak mają na swym koncie zaszczyt być odznaczonymi w polu przez Naczelnego Wodza Gen. Sosnkowskiego.

Łączę wyrazy poważania
H. LASSOTA
b. oficer. Inf. 5. W. B. P.

Londyn 12, 9. 1965

Drogi Panie Redaktorze,

Proszę o udzielenie mi w swoim piśmie gościny w sprawie niepodpisanej notatki „Przeciw klikom, protekcji i „kumoterstwu” (w numerze wrześniowym „Kontynentów”). Dotyczy ona II tomu „Literatury polskiej na obczyźnie”, którego jeszcze nie ma w obiegu księgarskim. Notatka, dosyć niezwykłym zwyczajem, uprzedza książkę i uprzedza do książki, nie po raz pierwszy zresztą i zapewne nie po raz ostatni. Nie odpowiadałem i nie myślę odpowiadać na systematyczną kampanię przeciw „Literaturze”. Ten jarmark próżności, jaki się wokół niej odbywa, jazgot podrażnionych ambicji, branie ślepego odwetu za zawiedzione nadzieje jest czymś głęboko zawstydzającym i, niestety, nie sprzyja sensownej dyskusji. Sprawa poruszona we wspominanej notatce wymaga jednak kilku wyjaśnień.

1. Rozpoczynając równo 10 lat temu pracę nad „Literaturą”, poprosiłem p. Lidę Ciołkoszową o napisanie artykułu o publicystyce — nie przyszło mi do głowy dobierać współpracowników według klucza politycznego i jedno spojrzenie na ich spis dowodzi tego ponad wszelką wątpliwość.

2. W napisanym przez siebie artykule p. Ciołkoszowa zacytowała 21 razy swego męża p. Adama Ciołkosza, lecz pominęła całe jedno ugrupowanie polityczne — Polski Ruch Wolnościowy „Niepodległość i Demokracja”. Posunęła się aż do tego, że powoławszy raz i drugi „Trybunę”, jeden z jego organów prasowych, przemilczała wydawcę (w pracy o publicystyce politycznej!).

3. Uzupełniłem to intencjonalne przemilczenie, uznałem dobór osób i cytat za sprawę intelektualnej odpowiedzialności autorki i — na sugestie pierwszego lektora książki, która mu wiele zawdzięcza pod innymi względami — wprowadziłem kilkustronicowe uzupełnienie o działalności publicystycznej Nidu pióra p. Stanisława Grocholskiego.

4. Można o tym ugrupowaniu sądzić to co p. W. A. Zbyszewski („Przyszłość emigracji w Anglii”, „Kultura” nr 5/211, str. 43), autor jak wiadomo nieskory do pochwał i niepodejrzany o „kumoterstwo”. Można mieć zdanie wprost przeciwne. Najmniej godne jest „Totschweigen”. Niedopuszczalne wydaje mi się zatławianie politycznych porachunków, dawanie upustu zacietrzewieniu i — nie waham się przed słowem — nienawiści w takiej książce jak „Literatura polska na obczyźnie”. Trudno ode mnie oczekiwać biernej zgody na taki eksces, taki samosąd w pracy, której poświęciłem wielką sumę energii i kawałek życia w stosunku do organizacji, której oddałem także kawałek życia i niemało trudu.

5. Uzupełnienie znalazło się w miejscu, do którego logicznie i kompozycyjnie przynależy. Tam gdzie mowa o „przemianach” w ruchu socjalistycznym i ruchu narodowym było miejsce na uwzględnienie takiej „przemiany”, jaką jest nowy ruch bez względu na to co się o nim sądzi. Integralność tekstu p. Ciołkoszowej nie była tu niczym naruszona, została podrażniona, jak się okazało, tylko jej emocjonalność. Uzupełnienie p. Grocholskiego oddziaływało notatka redakcyjna zapowiedziana we wstępie do książki (tom I, s. 10), jego podpis i linia przez całą szerokość stronicy. Nikt nie mógł mieć wątpliwości co tu jest czyje.

6. Uzupełnienie nie było aż takim *curiosum*, jak to się wydaje anonimowemu autorowi notatki. Ma ono precedensy w tej samej książce. W zupełnie identyczny sposób opracowanie p. Jana Ostrowskiego o dorobku filozoficznym i psychologicznym uzupełnia obszerniejsze opracowanie p. Zofii

Kozarynowej „Udział Polaków w literaturach zachodnich”. Cokolwiek uważniejszy czytelnik znajdzie w „Literaturze” coś więcej: dwa kontrastowe, zestawione obok siebie opracowania o prozie beletrystycznej, jedno pióra prof. Zygmunta Markiewicza, drugie p. Michała Sambora. Nikt z tego powodu nie protestował, nie czuł się obrażony i nie groził srogimi represjami.

7. P. Ciołkoszowa nie uznała słuszności tej praktyki redakcyjnej. Nie wahała się grozić wydawcy sądem angielskim, położeniem aresztu na książce (tzw. „injunction”) bez uwagi na to, że kosztowała ona kilkunastu ludzi moc wysiłku i pochłonęła sporo pieniędzy. Tylko pod tym naciskiem, a nie rozumowo przekonany, zaproponowałem przesunięcie i oddzielenie uwag uzupełniających. Osiągnąwszy to, p. Ciołkoszowa zgłosiła nowe żądanie: aby opuścić notę redakcyjną wiążącą uzupełnienie p. Grocholskiego z jej opracowaniem. Choć prawnik amerykański (przebywałem wtedy w Stanach Zjednoczonych) orzekł, że żądanie jest zupełnie bezpodstawne i jego odrzucenie nie grozi żadnymi konsekwencjami, także i ono zostało spełnione. Z właściwą sobie logiką p. Ciołkoszowa udostępniła „Kontynentom” tę notę, zresztą niewinną, ściśle rzeczową, liczącą wszystkiego kilkanaście słów. W książce byłaby ona obrazą, naruszeniem świętych praw, nie wiadomo czym jeszcze. W miesięczniku ta sama nota jest nimbem męczeńskim.

8. I to i cały przedstawiony przebieg sprawy ukazuje jej emocjonalny, irracjonalny podkład. Rzecz została zamknięta z górą pół roku temu; nie ma w niej już nic do zrobienia, bo praktycznie nie istnieje. A przecież są ludzie, którym zależy, na jej podnoszeniu, na prawowaniu się bez końca, nawet nie na starotestamentowym „oko za oko”, lecz cudze zdrowe oko za własne chorobliwe urojenie. Jest to drobny, ale niestety nieodosobniony przypadek, typowy dla atmosfery, jaka tu panuje.

Łączę bardzo przyjazne słowa.

Tymon TERLECKI

© Copyright by Institut Littéraire, 1965.

Londyński korespondent „Kultury”: Juliusz MIEROSZEWSKI
11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: CHLswick 1860

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)
Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Dépôt Légal 4^e trimestre 1965

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	Roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Janusz Kruszynski, 54, 15th St., Parkhurst, Johannesburg	75 cent.	4,20 rand	8,00 rand
ARGENTYNA : Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires	7 sh. 9 d.	£ 2.02.00	£ 4.00.00
AUSTRALIA : « Vistula » (Australia) Pty Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney	10 sh. (A)	£ A. 2.13.00	£ A. 5.00.00
AUSTRIA : Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien III, Salesianergasse Nr. 2 (Internationale Leih-Bibliothek, godz. 19-21).		145 szyl. a.	280 szyl. a.
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 116, rue Joseph-II, Bruxelles 4, Nr konta pocztowego 7315-20	60,00 F. b.	300,00 F. b.	560,00 F. b.
BRAZYLIA : Seweryn A. Hartman, rua Barao de Itapetinganga 221 s. 1203, Cx. Postal 6335, Sao Paulo, tél. : 35-5584.			
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w księgarniach polskich w Paryżu	5,00 F.	26,00 F.	50,00 F.
HOLANDIA : T. Szpilczynski, Ruysdaelkade 5 Amsterdam-Z, Tel. : 716080. Nr Konta poczt. 13500 — t.b.v.S. 6538	4,00 Fl. h.	22,00 Fl. h.	41,00 Fl. h.
IZRAEL : « Sifri-Holon », Stanislaw Wytrzyk, Holon, Sokolow Nr. 40		15 £ Izr.	28 £ Izr.
KANADA : M. Jaxa-Debicka, Polish Voice, 1089 Queen St. W. Toronto Ont., K. Krakowska, 2318 Hingston Ave. N.D. de G. Montreal/Queb., Tél. : HU 8-5224; M. Krol, 781 Beaverbrook, Winnipeg, Man.; « Zwiastkowicz », 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., Tél. : LE 1-2491; W.T. Drymmer, 31, Argyle Ave., Ottawa, Ont., Tél. : LE 33407. S. L. Lemanski, 273 1/2 Selkirk Ave., Winnipeg 4, Man.	1,50 \$ Can.	8,00 \$ Can.	13,00 \$ Can.
NIEMCY : St. M. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr. 7/1	4,50 DM	24,00 DM	46,00 DM
NORWEGIA : Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss.	5,50 F.	28,00 F.	54,00 F.
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, Genève. Tél. : 33 34 20, Nr konta poczt. 1.14431	4,75 F. s.	25,00 F. s.	48,00 F. s.
SZWECJA : Norbert Zaba, Kallskärsgatan 3/IV Stockholm.	6,00 Kor.	30,00 Kor.	58,00 Kor.
U.S.A. : J. Bienkowski, 627 Tracy St. Utica, N.Y. 13502; S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York 9, N.Y.; L. Dudarew-Osetynski, 1603 No Fuller Ave., Hollywood, Cal. 90046; S. Dziarczykowski, 2402 Cheremoya Ave., Hollywood 46, Cal.; M.K. Dziewanowski, 41 Katherine Rd., Watertown, Mass. 02172; T. Konopacki, 1242 Hathaway Av., Cleveland 7, Ohio, tel. LA-1.2305; Ch. M. Kretowicz, 4477 Wilson Ave., San Diego, Cal., 92116; V.B. Kwast, 376, Wallingford Terrace, Union, N.J.; Polish Amer, Book Co, 1136 Milwaukee Av., Chicago 22, Ill.; E. Posyniak, 595 Fillmore Av., Buffalo 12, N.Y.; Praca, 2419 Memphis St., Philadelphia 25, Pa.; The Polish Book Importing Co, Inc., 156 Fifth Ave., New York 10, N.Y.; R.J. Sas-Babczynski, 600 Imogen Ave., apt. 101, Los Angeles, Cal. 90026; Jan Wojcik, 131, Gold Street, New Britain, Conn.; A. Wisniewski, 1029 Cuba St., Toledo 17, Ohio, Jan Zych, 6428 Morse, Detroit 10, Mich. Tel. TA-5-6740	1,25 dol.	7,00 dol.	12,00 dol.
W. BRYTANIA : « Gryf » Publication Ltd., 169-171, Battersea Church Road, London, S.W.11	7 sh. 9 d.	£ 2.02.00	£ 4.00.00
WLOCHY : Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 int. 27 Tél. : 75-77-241	700 L	3.600 L.	7.000 L.

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 2 F półrocznie i 4 F rocznie. Przesyłka pojedynczego numeru: 0,35 F.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres:

**INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi,
par MAISONS-LAFFITTE (S.-et-O.) — C.C.P. PARIS 18.228-56**

BIBLIOTEKI "KULTURY"

TOM CXVI

CZESŁAW MIŁOSZ

GUCIO ZACZAROWANY

Nowy tom wierszy Czesława Miłosza świadczący o stałym rozwoju poety. Uderza w tym zbiorze — ułożonym w formie suity poetyckiej — skupiony spokój i rozległość wizji. Prostota i zwięzłość wyrazu idą tu w parze ze złożoną problematyką filozoficzną. Przyroda brzegów Pacyfiku nasycza te wiersze wnosząc nowe motywy do polskiej poezji. Włączone w tom adaptacje Walta Whitmana i Robinsona Jeffersa tematycznie uzupełniają całość.

Str. 56

Cena 7 F. (10/-; \$ 1,50)



TOM CXVII — Seria «Zeszyty Historyczne»

ZESZYT ÓSMY

sierpień 1965

zawiera m. in. prace

F. Kalinowskiego: *Polskość Battle of Britain*

T. Katelbacha: *Akt pierwszy dramatu* (dok.)

K. Bagińskiego: *Cenzura w Polsce*

J. Paszkowskiego: *Wybuch drugiego Powstania Śląskiego*

P. Wandycza: *Nieznane listy Petlury do Piłsudskiego*

oraz działy

DOKUMENTY — POLEMIKI — KSIĄŻKI —
LISTY DO REDAKCJI

Str. 240

Cena egz. F. 15 (22sh; \$ 3)